

Pokochaj siebie!
łatwo powiedzieć...
Jemu się udało!

*Lata
chude,
lata
tłuste*

GOK
MOJA AUTOBIOGRAFIA
WAN

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

GOK WAN

Lata chude, lata tłuste

MOJA AUTOBIOGRAFIA

Z angielskiego przełożyła
ANNA ESDEN-TEMPSKA



Wydanie elektroniczne

O książce

W swojej autobiografii Gok Wan brytyjski stylist, projektant mody i prezenter telewizyjny – opowiada o szczęśliwym dzieciństwie, niełatwym okresie dorastania, o zmaganiach z nadwagą, a potem anoreksją, wreszcie o trudnym procesie akceptowania swojej orientacji seksualnej i ujawniania jej przed najbliższymi. Robi to zabawnie, ciepło, czasem z zadumą.

Jego droga na szczyt nie była usiana różami, ale to właśnie zmagania z przeciwnościami losu i własnymi ograniczeniami okazały się pomocne w poszukiwaniu własnej tożsamości nie tylko seksualnej oraz budowaniu pewności siebie i dodawały siły w dążeniu do celu. A teraz Gok Wan przekazuje te doświadczenia nam!

Tytuł oryginału:
THROUGH THICK AND THIN. MY AUTOBIOGRAPHY

Copyright © Gok Wan 2010
All rights reserved

First published by Ebury Press, an imprint of Ebury Publishing, a Random House Group company

Gok Wan has asserted his right to be identified as the author of this work
in accordance with Copyright, Designs and Patents Act 1988

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014

Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2014

Redakcja: Jerzy Lewiński

Zdjęcia na okładce: © Trevor Leighton
Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7985-049-5

WYDAWCA
Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[O książce](#)

[Dedykacja](#)

[Od autora](#)

[PROLOG. Jedzenie](#)

[Rozdział pierwszy. Gdzie się to wszystko zaczęło](#)

[Rozdział drugi. Panda](#)

[Rozdział trzeci. Lata Goka-baleriny](#)

[Rozdział czwarty. Puklerz mody ze ścięciem w warkocze](#)

[Rozdział piąty. Ukryty Wan](#)

[Rozdział szósty. Pieprzyć egzaminy!](#)

[Rozdział siódmy. Pierwszy smak wolności](#)

[Rozdział ósmy. Osamotnienie](#)

[Rozdział dziewiąty. Donovan albo Chapman](#)

[Rozdział dziesiąty. Londyn wzywa](#)

[Rozdział jedenasty. Szkoła teatralna](#)

[ROZDZIAŁ DWUNASTY Głódówka](#)

[Rozdział trzynasty. Znów w domu](#)

[Rozdział czternasty. Smutek na głębokim tłuszczu](#)

[Rozdział piętnasty. Lacroix i nowicjusz Wander](#)

[Rozdział szesnasty. W świecie kolorów](#)

[Rozdział siedemnasty. Najazd o północy](#)

[Rozdział osiemnasty. Platynowy stolik](#)

[Rozdział dziewiętnasty. Jeden z wielu w IT](#)

[Rozdział dwudziesty. Agent poszukiwany](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy. Metka ponad wszystko](#)

[Rozdział dwudziesty drugi. Ambicja żeby się wkręcić](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci. Nago](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty. Kto by pomyślał](#)

[Rozdział dwudziesty piąty. Sława](#)

[Rozdział dwudziesty szósty. Nowe horyzonty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy. Ach, moda!](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy. Ubieranie mamy](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty. Sygnał ostrzegawczy](#)

[Rozdział trzydziesty. Życie od nowa](#)

[Rozdział trzydziesty pierwszy. Patrząc wstecz](#)

[Podziękowania](#)

Dla Mai i Loli. Kocham Was najbardziej na świecie i jeszcze bardziej, na zawsze i jeszcze trochę. Mam nadzieję, że kiedyś przeczytacie tę książkę i nauczycie się czegoś na moich błędach. Obiecuję, że nigdy nie będziecie samotne... dopóki żyję.

Całuję, wujek Gok

Od autora

Ta książka w całości opiera się na moich wspomnieniach. Ale nie ma pamięci niezawodnej i jestem przekonany, że niektórzy pewne rzeczy mogli zapamiętać inaczej. Jednak to moje życie, widziane z mojej perspektywy – tak je pamiętam. Siadźcie, odprężcie się; mam nadzieję, że spodoba się Wam ta jazda.

Jajka po babcinemu

Składniki

*2 duże jajka
sól
lekki sos sojowy*

Sposób przygotowania

Gotuj jajka około 10 minut albo tyle, ile trzeba, żeby były na twardo. Ostudź pod zimną wodą. Potłucz skorupki i obierz. Wrzuć jajka do miseczki i posiekaj byle jak zwykłym nożem. Dodaj szczyptę soli i kapnij 4-6 razy sosem sojowym. Jedz małą łyżeczką i myśl o swoich bliskich. O tym, jak bardzo są dla ciebie ważni.

PROLOG

Jedzenie

Zawsze kochałem jeść. Nie mogło być inaczej, skoro jedzenie od początku było w centrum mojego świata. Żartujemy z mamą, że wyskoczyłem z niej z pałeczkami w dłoni i gdyby powitała mnie matczynym uśmiechem, zamiast podawać mi od razu miskę makaronu, to może i lubiłbym sport, a nie spring rollsy!

Dla mojej rodziny jedzenie jest wszystkim. Było nam nie tylko niezbędne do życia tak jak innym, ale i potrzebne, żeby przetrwać finansowo. Stanowiło źródło naszego utrzymania. Przez całe moje życie rodzice prowadzili takie czy inne restauracje, więc nigdy nie brakowało nam jedzenia i wszyscy bardzo je lubiliśmy. Hołowaliśmy zasadzie: jeśli sprawi ci to przyjemność, zjedz to. Nieustannie karmiliśmy gości, ale przestrzegaliśmy też własnych pór posiłków i zwyczaju wspólnego siadania do stołu. Nadal tak jest.

Jak się spotykamy, to już po pięciu minutach mówimy o jedzeniu albo zaczynamy jeść. Odwiedziny w domu, w Leicesterze, nie byłyby udane bez dim sum w restauracji cioci albo domowego posiłku przygotowanego pieczołowicie przez mamę i brata. Kiedy siadamy w jakimś lokalu na mieście całą rodziną, każdy zajmuje zwyczajowe pozycje. Tata siada u szczytu stołu obok mamy. Ja przy siostrze i dzieciach mojego brata, a brat i jego żona na pozostałych miejscach. Zamówienie zawsze składa tata. Podchodzi kelner z dzbankami gorącej herbaty ulung, nalewa, a tata pyta nas, na co mamy ochotę. Odpowiedź jest zawsze ta sama:

– Cokolwiek, tato. Sam wybierz.

Po tym stwierdzeniu odkładamy z trzaskiem jadłospisy z długimi, spisanyymi po chińsku listami dań. Ponieważ żadne z nas, poza ojcem, nie zna chińskiego, zdarzają się niespodzianki. Nigdy nie wiemy, co zostało zamówione, ale na ogół potrafimy zgadnąć, co się pojawi. Kiedy zaczynają nadciągać dania, gratulujemy ojcu wyboru.

– Mmm, faszerowana papryka i czarna fasola... pyszności. Albo:

– Nie jadłem tego od wieków, czy to z wieprzowiną?

Albo:

– Fasolka w sosie... mmm... Ale gdzie jej do twojej, tato!

Potem kosztujemy wszystkich potraw, zachwycając się, że ryba taka świeża albo makaron taki chrupki. Wszystkie chińskie restauracje podają jedzenie na środek stołu, więc dzielimy się ulubionymi kąskami. Mama uwielbia chińskie grzyby, więc jak tylko zje jeden, to na pewno dostanie drugi od kogoś z nas. Lisa, moja bratowa, lubi biały ryż w otoczce hau gau, ale nie cierpi nadzienia z krewetek. Brat sprawnie rozbiera całość, zręcznie wyjmując nadzienie i zjada je, żeby podać żonie chrupkie skorupki – mistrzostwo w sztuce walki na pałeczki!

Zawsze jest duża micha gotowanego ryżu. Tradycja nakazuje, aby podawała go innym najmłodsza zdolna do tego osoba przy stole. Kiedy byłem najmłodszy w rodzinie, to mnie – zgodnie z sięgającym tysięcy lat zwyczajem – przypadał ten obowiązek. Pamiętam radość z wypełniania tego, co do mnie należy. Czułem się ważny, pełniąc tę zaszczytną powinność.

I uwielbiałem to. Do tej pory, kiedy podaję ryż, zdarzają mi się chwile absolutnego szczęścia, bo dla mnie ryż to symbol stabilizacji, jedności, bycia razem. Jedzenie to miłość i rodzina.

* * *

Ale gdzieś tam po drodze jedzenie zaczęło znaczyć dla mnie zbyt wiele. Stało się moim najlepszym przyjacielem. Dawało mi szczęście, ciepło, poczucie bezpieczeństwa i pociechę. Stało się moim nałogiem, tajemnicą, wszystkim. Całe dni myślałem o jedzeniu i zdobywaniu go, bo tylko wtedy potrafiłem czuć się szczęśliwy. Jadłem za dużo, nie umiałem się powstrzymać, po części dlatego, że jadłem nie to co trzeba (stałe miałem wokół siebie gotowe dania w zachodnim stylu), i nie o tej porze co trzeba (w mojej rodzinie siadanie do stołu i zabieranie się do solidnego posiłku w środku nocy, kiedy rodzice wracali z restauracji, było całkiem normalne), a po części dlatego, że za bardzo to pokochałem. Jedzenie miało straszne skutki dla mojego ciała, puchłem w oczach, z pulchnego dziecka stałem się chorobliwie otyłym podrostkiem, który czuł się zawstydzony, bezwartościowy i odrzucony.

Jedzenie mi to zrobiło, ale jednocześnie stało się moją jedyną ucieczką od świata, który patrzył na mnie i śmiał się, drwił ze mnie, dręczył i mi zagrażał. Jedzenie było teraz moim wrogiem. Musiałem stoczyć z nim walkę... i ten pojedynek omal mnie nie zabił. Myślę, że w jedzeniu tkwi sekret całego mojego życia.

Gdzie się to wszystko zaczęło

1

Nie mam pojęcia, jak to się stało, że utyłem. Oczywiście wiem, jak utyłem – bo jeśli trzylatek je tyle co dorosły żołnierz, to utyje – ale po prostu nie pamiętam, jak przeistoczyłem się z chudego chłopczyka w cycatego grubasa. Mam bardzo mało zdjęć z dzieciństwa (tak mało, że przez wiele lat siostra droczyła się ze mną i mówiła, że jestem adoptowany), no i w efekcie nie wiem dokładnie, kiedy to się stało.

Ostatni dowód, że byłem szczupły, to zdjęcie zrobione, zanim poszedłem do szkoły, więc mam na nim jakieś cztery lata. Stoję przed restauracją dziadka o nazwie Hung Lau – pierwszym chińskim lokalem w Leicesterze. Dziadek otworzył ją pod koniec lat sześćdziesiątych i to tam zaczął praktykować tata. Pozuję do fotografii w wielkich okularach przeciwsłonecznych taty, w szortach i koszulce z obrazkiem z *Księgi dżungli* (już wtedy wyraźnie nie czułem się skrępowany przed obiektywem i widać, że jest we mnie coś dziewczęcego). W owym czasie mój brat i moja siostra byli pulchni. Ja najwyraźniej nie chciałem zostać w tyle.

Moja siostra Oilen jest z nas najstarsza, urodziła się cztery lata przede mną. Jest wrażliwa i bardzo mądra – mama do dziś opowiada, jak to w wieku siedmiu lat napisała książkę, i do tej pory nie mogę wyjść z podziwu – siostra zawsze mi imponowała. No i mam jeszcze starszego brata zawadiakę. Kwok-Lyn jest ode mnie starszy tylko o piętnaście miesięcy, więc dorastaliśmy bardziej jak bliźnięta – mama ubierała nas jednakowo, mieliśmy podobne nawyki i chichotaliśmy z tych samych rzeczy. Pojawiłem się na scenie jako ostatni, przyszedłem na świat w roku 1974 i zostałem ochrzczony imieniem Kowkhyn, zdrobniale Gok. Byłem bardzo małym dzieckiem. Według rodzinnej legendy po urodzeniu ważyłem tyle co torebka cukru i kiedy przywieźli mnie do domu, byłem mniejszy niż mój pierwszy pluszowy miś. Nawet najbardziej maciupkie pieluchy były dla mnie za duże, więc mama używała zamiast nich papierowych chusteczek. Wszyscy w rodzinie nazywali mnie „Mały” i choć byłem nie mniej rezydentny od nich, to przezwisko szybko do mnie przylgnęło.

Jako rodzeństwo byliśmy do siebie podobni, a jednak i bardzo różni. Oilen była pewna siebie i bardzo zdolna, Kwok-Lyn silny i stanowczy, choć łagodny. Ja nie byłem ani bystry, ani silny, ale potrafiłem wszystkich rozśmieszyć. Łatwo nawiązywałem kontakt z ludźmi i lubiłem czułości. Uwielbiałem przytulać ludzi i bardzo się do nich przywiązywałem, zwłaszcza do żeńskich przedstawicielek rodziny, do których garnąłem się, kiedy nas odwiedzały. Swojej cioci Dawn mówiłem, jaka jest piękna, i to było szczere. Zawsze, od najmłodszych lat, umiałem dostrzec w kobietach piękno.

Różnice różnicami, ale cała trójka była pracowita. Tę cechę wpoił nam ojciec, John Tung Shing Wan. Urodził się w wiosce na północy Hongkongu – w miejscu, gdzie mamy łowią rannem ryby na lunch. Do Wielkiej Brytanii wyemigrował z rodzicami. W latach sześćdziesiątych przybył do Leicesteru. Wkrótce dziadek otworzył tu restaurację, w której ojciec uczył się fachu.

Pewnego razu tata wybrał się do Southampton. Tam poznał moją mamę Myrę, niewinną córkę samotnej sprzątaczkii. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Mama mówi, że kiedy tylko się spotkali, od razu wiedziała, że to ten jedyny, ale związek nie był dla nich łatwy. W latach sześćdziesiątych małżeństwa mieszane właściwie nie istniały. Z tego powodu zetknęli się z mnóstwem uprzedzeń, doświadczyli ostracyzmu. Ale kochali się, zostali razem i całe życie poświęcili stworzonej przez siebie rodzinie. Ich wzajemna miłość jest tak wielka, że czasem myślę, czy w ogóle na świecie mogła być jakaś miłość przed nimi. Uważam mamę za jedną z najbardziej spełnionych kobiet na świecie, bo osiągnęła to, czego najbardziej pragnęła – znalazła mężczyznę, którego kocha, i ma rodzinę, którą ubóstwia i którą będzie się opiekować do końca swoich dni.

Poza innymi przeciwnościami losu moi rodzice nie mieli pieniędzy. Utrzymywali się z niewielkiej pensji wypracowywanej przez ojca w rodzinnej restauracji. Kiedy się urodziłem, mieszkaliśmy w przyczepie kempingowej w parku – jestem prawdziwym parkowym lumpem. Potem, kiedy nam się polepszyło, przeprowadziliśmy się do Beaumont Leys, nowego, najnowocześniejszego osiedla komunalnego w Leicesterze, które tworzyły rzędy zgrabnych domków z czerwonej cegły, z białymi okiennicami i porządnie ogrodzonymi sztachetami ogródkami z tyłu. Było tak, jakbyśmy przybyli do swojej krainy Oz (tyle że nasza droga do celu nie była wybrukowana żółtą kostką, ale krewetkowymi chipsami). Byliśmy tam szczęśliwi, a w moich najwcześniejszych wspomnieniach zapisały się zabawy w ogrodzie w letnim słońcu z mamą. W dzieciństwie zaznałem wiele miłości, rozpieszczany przez rodziców czułem się bezpiecznie, uwielbiałem brata i siostrę.

Kiedy Kwok-Lyn poszedł do szkoły, tęskniłem za nim, bo do tej pory stale się razem bawiliśmy, ale przyjemnie było stać się pępkiem świata w domu, kiedy starsze dzieci szły na lekcje. Każdego ranka mama, ze mną w wózku, odprowadzała do szkoły mojego brata i moją siostrę. Mijaliśmy dzielnicę, w której mieszkaliśmy, i pięliśmy się na wzgórze, aż pod bramy szkoły. Kiedy tam docieraliśmy, mama mówiła: „Pomachaj i powiedz »do zobaczenia«”. Teraz zdaję sobie sprawę, że w ten sposób chciała mi dać do zrozumienia, że oni nie opuszczają nas na zawsze – po prostu dorastają. Oilen zawsze chętnie szła do szkoły – była bystra i lubiła się uczyć – a mój wspaniały brat uśmiechał się tylko zawiadacko i pędził do klasy do kolegów.

Kiedy ruszaliśmy z powrotem, odwracałem się w wózku i pytałem: „Mamo, możemy pójść kupić coś słodkiego? Przymierzam, że nie powiem nic Kwok-Lynowi ani Oilen”. Mama najczęściej ulegała moim prośbom o cukierkowe szczęście, bo lubiła mnie trochę rozpuszczać. Zwykle wybierałem mieszankę, ponieważ wydawało mi się, że dostaję za wydane pieniądze trochę więcej. Od najmłodszych lat w jedzeniu chodziło mi o ilość, nie jakość. Kupowałem dwadzieścia gumowatych misiów po pół pensa, w sumie za dziesięć pensów – no i niech jakiś supermarket pobije taką ofertę! – do tej pory czuję te kwaskowate owocowe smaki i kawałki galaretki przylepiające się do zębów. Kto mógł wtedy przypuszczać, że jestem żelkowym ćpunem?

Dzisiaj, kiedy trudno wypatrzeć mnie na planie *Jak dobrze wyglądać nago*, prawie zawsze znajdzie się mnie skulonego gdzieś w kącie, plotkującego przez iPhone i wżerającego się w paczkę żelków! Uwielbiałem słodczyce, a moja kochająca matka chciała, żebym był szczęśliwy, szybko więc przyzwyczaiałem się, że mogę dostać tyle smakołyków, ile tylko za-

pragnę, a pragnąłem dużo. Tak zaczął się mój trening, jak (nie) jeść.

* * *

Kiedy miałem rok, tata odszedł z restauracji swego ojca i otworzył własną – Bamboo House. To było w połowie lat siedemdziesiątych i Bamboo należała do bardzo nielicznych jeszcze chińskich knajpek w Leicesterze. Miała fantastyczną lokalizację, w samym centrum, i każdy, kto liczył się w mieście, musiał słyszeć o ojcu, Bamboo, miłej atmosferze w tym lokalu i wspaniałym jedzeniu. Bamboo powstała w samą porę, gotowa na boom ekonomiczny w latach osiemdziesiątych. Ojciec mógł nacieszyć się tym, że ludzie dzięki dobrej koniunkturze stali się bardziej rozrzutni.

Bamboo House przyciągała bardzo różną klientelę, od biznesmenów po piłkarzy i wszystko, co pomiędzy. Restaurację upodobali sobie też aktorzy z Haymarket Theatre i tata pamięta wieczorne popijawy z takimi sławami, jak Rod Hull i Jim Davidson (legenda rodzinna głosi, że ojciec odgrywał rolę terapeuty i powiernika Jima, kiedy ten przechodził jeden z kryzysów małżeńskich).

Tata prowadził interes z powodzeniem przez dziesięć lat i spędzał mnóstwo czasu w Bamboo. Tak naprawdę lepiej pamiętam restaurację niż nasz dom w Beaumont Leys. Kiedy byliśmy jeszcze bardzo mali, tata często zabierał wieczorem mnie i brata do pracy. Ubieraliśmy się w maleńkie smokingi i muszki, a on oprowadzał nas dumnie po restauracji niby kuczki na pokaz, pięknie przyczesane, strzelające oczami, zachwycone tym, że są w centrum uwagi. Kobiety w restauracji zawsze się nade mną rozczulały, mówiły, że jestem taki miłutki, i pozwalały mi wdrapywać się im na kolana i przytulać się do nich, co uwielbiałem.

Kiedy zacząłem chodzić do szkoły, wakacje spędzałem w piwnicy pod restauracją, śpijąc z siostrą, bratem i Louise, córką przyjaciół rodziców, piosenki Abby. Udawaliśmy, że jesteśmy słynnym zespołem popowym. Do tej pory mam żal, że przydzielono mi rolę Bjorna, najmniej charyzmatycznej postaci z tej czwórki. Tańczyliśmy w piwnicy, która służyła jako magazyn dodatkowych stolików i krzeseł, a Oileen układała choreografię, jakbyśmy byli prawdziwym zespołem coverowym. Używając starych butelek po coli jako mikrofonów, śpiewaliśmy z playbacku piosenki i naśladowaliśmy ulubione numery, aż opanowaliśmy je do perfekcji i mogliśmy je odgrywać z całą pasją.

Na gorze, w restauracji, widywałem, jak tata wita gości i zaprasza ich do środka. Był fantastycznym gospodarzem – znał ulubione dania klientów, śmiał się z ich żartów i pytał, co u nich słychać. Pamiętał najdrobniejsze szczegóły dotyczące ich rodzin, zdrowia i pracy. Goście uwielbiali go za to i wracali do jego lokalu, za każdym razem serdecznie witani i podejmowani przepysznym jedzeniem. Lubili swobodną atmosferę w Bamboo. Dlatego chciałem być taki jak tata. Świetnie czuł się we własnej skórze i zawsze się sprawdzał jak ulubione danie. Był i nadal jest dla mnie wzorem.

Pod koniec 1979 roku interes w Bamboo House szedł kwitnąco i naszej rodzinie dobrze się powiodło. Tata jeździł ogromnym jaguarem, a mama miała w szafie fantastyczne kreacje, które wkładała wieczorem do pracy. Nadal mieszkaliśmy w tej samej dzielnicy, ale ona bardzo się zmieniła. Kiedyś było tu czysto i ładnie jak w pudełeczku. Teraz wszystko się rozstało, sięgało coraz dalej od centrum handlowego Beaumont leżącego w sercu tej części mia-

sta. I w miarę ekspansji nasze osiedle stawało się jednym z najbardziej niebezpiecznych w Leicesterze – z mnóstwem problemów społecznych, bezrobociem (mimo że w okolicy były zakłady przemysłowe) i przestępczością. Ale byłem za mały, żeby dostrzec pogłębiającą się biedę i beznadzieję. Wydawało mi się, że możemy żyć beztrąsko w naszym przytulnym kokonie nasyconym aromatem nieskończonej, wysmażonej na głębokim tłuszczu miłości.

Skoro restauracja cieszyła się takim powodzeniem, tata postanowił rozszerzyć działalność i udostępnić naszą salę prób gościom (zdrajca). Choć interes szedł dobrze, zdał sobie sprawę, że powinien zainwestować więcej gotówki, niż jest w stanie, i przyjął jednego ze swoich przyjaciół na wspólnika. Niestety, plan nie do końca wypalił i niedługo potem tata musiał sprzedać swoją połowę restauracji temu człowiekowi. I to był dla nas koniec Bamboo House.

Stek o drugiej w nocy

Składniki

*ładny kawałek wołowiny T-bone
słodka cebula
pieczarki
biały długoziarnisty ryż
olej roślinny
koniak Remy Martin
sól i biały pieprz*

Sposób przygotowania

Przeplucz ryż trzykrotnie zimną wodą, żeby oczyścić go z mączki, potem wsyp do kociołka do gotowania ryżu i gotuj (około 20 minut). Wlej 4 łyżki oleju do mocno rozgrzanego woka i pokręć nim, aby rozprowadzić olej po całej powierzchni. Kiedy zaczyniesz skwierczeć, dodaj posiekaną cebulę, grzyby i szczyptę soli z pieprzem. Smaż do uzyskania złocistego koloru. Potem przełóż cebulę i pieczarki do naczynia i przykryj, żeby nie wystygły.

Wlej na wok kolejne 4 łyżki oleju i podgrzej. Połóż wołowinę i podpiekaj z jednej strony 3 minuty, a z drugiej 2, dopraw solą i pieprzem do smaku. Kiedy stek jest niemal gotowy, ostrożnie chlupnij odrobinę koniaku Remy Martin do woka i szybko rozprowadź z triumfalnym uśmiechem.

Weź sobie solidną porcję puchatego ryżu na duży talerz z lat osiemdziesiątych, na brzegu ułóż podsmażoną cebulę i pieczarki. Na środku – stek. Polej stek i ryż sosem, który powstał z oleju i alkoholu. Serwuj z mażnięciem angielskiej musztardy i jedz o drugiej w nocy, kiedy mama i tata wracają z restauracji.

Fantastyczne!

Utrata Bamboo House była dla taty ciosem, ale postanowił znów spróbować i zaczął rozglądać się za odpowiednim miejscem na restaurację. W roku 1984 wpadł mu w oko stary dwupiętrowy dom na obrzeżach centrum Leicesteru, przy Fosse Road North. Choć pierwotnie w budynku mieściły się biura, tata stwierdził, że na górze da się urządzić wygodne mieszkanie dla nas wszystkich, a na dole lokal. Ambitnie uznał, że to będzie dobra inwestycja. Restauracja miała się nazywać Panda. Przesądni krewni taty ostrzegali, że to może przynieść pecha, bo pandy to ginący gatunek i lokal na pewno w ciągu kilku tygodni zrobi klapę. Tata nie dał za wygraną. Panda to odpowiednia nazwa, no i powstała Panda.

Miałem jedenaście lat, kiedy się przeprowadziliśmy na Fosse Road North. Bardzo się cieszyłem, że będę mieszkał nad restauracją. Wydawało się to takie eleganckie i nowoczesne, a także oznaczało, że będziemy więcej czasu spędzać z mamą i tatą. Jak to bywa w każdym biznesie, szczególnie gastronomicznym, sukces jest okupiony wielkim wysiłkiem, a z powodu fatalnych godzin pracy mama i tata rzadko bywali w domu. Moim rodzicom niełatwo było godzić prowadzenie popularnej restauracji z wychowywaniem trójki małych dzieci. Nie było dnia, żebyśmy ich nie widywali, ale spędzaliśmy ze sobą niezbyt dużo czasu. Mama zawsze rano odprowadzała nas do szkoły i czekała w domu, kiedy wracaliśmy o wpół do czwartej po południu. Tata pojawiał się, kiedy tylko mógł, starając się sprostać wymogom życia rodzinnego i prowadzenia restauracji.

Niedziele były dla nas świętem. Tylko w te dni rodzice zamykali lokal i planowaliśmy wszyscy razem coś miłego. Na przykład szliśmy popływać albo do kina. Głównym punktem programu było wspólne jedzenie. Zaczynaliśmy od śniadania, a potem zabieraliśmy sporą wałówkę na piknik albo szliśmy gdzieś do restauracji. Zawsze było mnóstwo jedzenia i śmiechu w tym dniu, w którym tata starał się nadrobić cały tydzień.

Wkrótce zaczął się remont lokalu na nową restaurację i do dziś zapach gipsu i farby przypomina mi tamten dom. Kiedy wspominam wystrój Pandy, stwierdzam, że tata był całkiem na czasie jak na tamte lata. Ściany pokryto mokrym gipsem i zostawiono, żeby wysechł bez gładzenia, z nierównościami. Na podłodze ciemnowiśniowa wykładzina z mosiężnymi wykończeniami przy progach. Elementy drewniane pomalowano na ciemny brąz. A pod sufitem powieszono elektryczne trzyskrzydłowe wiatraki. Obrusy były kremowe i w brązach. A każde nakrycie miało podstawkę na pałeczki, co w owych czasach było nowością. W sali dla gości mieściło się tylko osiem stołów, co sprzyjało rodzinnej, przytulnej atmosferze; klient mógł się tu spodziewać serdecznego przyjęcia.

Dość duży, żeby rozumieć, jakie wyzwanie podejmuje tata, byłem bardzo podekscytowany. To było wielkie ryzyko, bo w ten interes zainwestował wszystkie oszczędności, ale chciał zbudować nowe życie dla swojej rodziny, a to jest warte ryzyka. Był dumnym, pracowitym człowiekiem, który wierzy, że może coś osiągnąć. Wyraźnie widzę w sobie cechy, które mu-

siałem po nim odziedziczyć – determinację, chęć działania, obsesyjne dążenie do celu, strach przed porażką i potrzebę bycia najlepszym. Dziękuję, tato!

* * *

Panda miała być restauracją, jakiej w Leicesterze jeszcze nie widziano. Od czasu, kiedy dziadek zakładał tu swój lokal, powstało sporo chińskich knajpek i barów z jedzeniem na wynos, konkurencja była więc duża, ale tata wyrobił już sobie markę wśród tamtejszych mieszkańców i przedsiębiorców jako szanowany restaurator. Teraz tworzył nową jakość jedzenia na mieście. Nie trzeba już było wybierać pomiędzy typowym chińskim menu z różnymi rodzajami makaronu a stekiem z frytkami. Dzięki Johnowi Wanowi goście mogli wedle życzenia zagłębić się w cudowny świat chińskiej kuchni.

Tata wprowadził bardziej wykwintne menu niż w Bamboo House i nagle chińskie jedzenie, dotąd nieznanne, stało się w Leicesterze dostępne – wodorosty, kung pao, zupa z płetwy rekina... to wszystko było nowe, fascynujące i ludzie chcieli tego spróbować. Najwyraźniej Pandzie nie groziła plajta. Kiedy restauracja została otwarta, szybko odniosła niebywały sukces.

Z okazji otwarcia lokalu tata wydał przyjęcie, na które zaprosił wiernych gości Bamboo House. Niektórzy stali się naszymi przyjaciółmi. Byłem na tej imprezie i to tam po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, jak bardzo przez ostatnich parę lat zmieniłem się fizycznie. Dotąd pamiętam, jak tego wieczoru wyglądała moja siostra. Miała ładnie ostrzyżone włosy z grzywką, prostą sukienkę w czarno-czerwone azteckie wzory, płaskie pantofelki ze zwężonym noskiem i plastikowy czarno-czerwony naszyjnik z zachodzących na siebie ośmiokątów, które układały się półkoliście wokół jej szyi. Robiła wrażenie dorosłej. Była piękna, pewna siebie.

Dla kontrastu ja nie byłem już uroczym cherubinkiem, z którym mój tata paradował po restauracji i który gramolił się na kolana gości. Urosłem i przybrałem na wadze, stałem się otyłym dwunastolatkiem u progu dojrzewania. W pyzatej twarzy prawie nie było widać mi oczu. Miałem podstrzyżone na okrągło włosy, choć byłem już trochę za duży na fryzurę na grzybka. W tłustych paluchach robiły się dołeczki, nogi nabrały masy, ale nie jak u sportowca – przypominały bardziej dwa grube wałki kebabu. Pojawiło mi się brzuszysko, wylewające się znad paska spodni. Górna część tułowia też się rozrosła, ale nie jak u umięsnionego wojownika, tylko nabrała krągłości, z zaczątkami tłustych piersi. Skóra napięła się mocno pod naporem powiększającej się masy, tak jakby ciała przybywało szybciej, niż ona dawała radę rosnać. Tego dnia, na przyjęciu, dotarło do mnie, że jestem grubszy od brata i siostry.

W naszej rodzinie nikt nie wyglądał na niedożywionego, ale ja byłem najmłodszy i do tej pory najdrobniejszy. Dlatego nowe odkrycie tak mną wstrząsnęło. Oni byli ode mnie starsi, więc wydawało mi się, że powinni dalej przybierać na wadze, no, może choć po sześć kilo rocznie jak ja – a tu nagle ich wyprzedziłem. Byłem teraz najgrubszy z rodziny grubasów Wanów.

Tego dnia zdałem też sobie sprawę, że Oilen już nie jest tęga. Straciła dziecięcą pulchność i wyszczuplała. Wyrosła z niej piękna panna. Tak jakby tamtego dnia przeistoczyła się z dziewczynki w kobietę. Uosabiała wszystko, czym chciałem być. Ale nie byłem taki mądry i dorosły jak Oilen, tylko gruby, nieśmiały i zażenowany. Po raz pierwszy w życiu wstydzilem

się swojego wyglądu.

* * *

Kiedy mama wyszła za tatę, od razu chętnie przejęła wartości kultury, z jakiej wyrastał. Choć urządził sobie życie na Zachodzie, kultywował wiele chińskich tradycji, zwyczajów i przesądów. W ich duchu zostaliśmy wychowani. Nasz dom zdobiły chińskie symbole. Naprzeciw okien wisały lustra, paliliśmy kadzidełka przy drzwiach, co było dość osobliwe jak na Leicester w latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych. Za tatą przyjechali tu z Hongkongu jego bracia; cała rodzina osiadła w Leicesterze i założyła restauracje i knajpki z jedzeniem na wynos. Spotykaliśmy się z chińskimi krewnymi podczas świąt i rodzinnych uroczystości, takich jak urodziny i przyjęcia z okazji ukończenia miesiąca życia (chińskie dzieci są trzymane do tego momentu w domu). Mama upierała się, że musimy poznać wszystkie chińskie tradycje i przestrzegać chińskich obyczajów, poczynając od chińskiego Nowego Roku, a kończąc na paleniu symbolicznych banknotów dla przodków i jedzeniu prosiaczka. Nadal to robimy i teraz to uwielbiam – smakuje mi moje chińskie dziedzictwo.

Tata chciał, żebyśmy poznali też chiński, ale nie miał kiedy nas uczyć. Tak naprawdę praktyczniej było, żeby to on nauczył się angielskiego, bo w domu rozmawialiśmy w tym języku. Ale kiedy byliśmy mali, w sobotnie poranki chodziliśmy do chińskiej szkoły, tyle że ja tam tylko siedziałem pod ławką i zaglądałem dziewczynkom pod spódniczki (wiem, to dziwne, prawda?). Ogólnie byłem nieznośny i trudno było sobie ze mną poradzić. Chodziliśmy tam zresztą tylko dlatego, że przekupywano nas słodyczami i chrupkami, które dostawaliśmy na drogę powrotną.

To chińska kultura taty podkreślała znaczenie jedzenia. W niej nie jest możliwe przekarmienie kogokolwiek. Im więcej daje się komuś jeść, tym bardziej okazuje się mu miłość, więc stale zachęcano nas do jedzenia, bez umiaru. Im robiliśmy się grubszy, tym bardziej czuliśmy się kochani.

* * *

Pomagałem w Pandzie od czasu jej otwarcia i teraz wiem, że to tam uczyłem się, jakie to ważne, by inni czuli się dobrze, by czuli się mile widziani i dowartościowani. To tam zdałem sobie sprawę, jak istotne jest zrozumienie drugiego człowieka i zatroszczenie się o niego. Każdym trzeba się odpowiednio zająć. Te umiejętności doskonaliłem każdego wieczoru, tydzień po tygodniu, rok po roku w Pandzie.

Praca w restauracji była fajna. Dostawałem symboliczną zapłatę i lubiłem być w tym całym rozgardiaszu i krzątać się wśród gości. W weekendy obsługę stanowiły zwykle przyjaciółki mojej siostry, które chciały sobie dorobić do kieszonkowego. Nie było czasu na samotność. Wielu stałych bywalców już mnie znało, witali mnie z otwartymi ramionami i z uśmiechem na twarzy. Dzięki temu czułem się ważny i byłem szczęśliwy.

Jednym z pierwszych powierzonych mi zadań była praca w szatni. Witalem przychodzących gości, odbierałem od nich płaszcze i dawałem im w zamian numerki. Odznaczałem ich nazwiska w notesie i prowadziłem do środka. Tam zaczynały się czary-mary mamy i taty. Mama, ze swoją trwałą z lat osiemdziesiątych, była tą nieśmiałą, ale to świetnie się sprawdzało w ich

dobrze przećwiczonym duecie. Tata był showmanem. Znał imiona gości i witał ich tu jak u siebie w domu. Kiedy usiedli, zaczynał swój występ, uśmiechał się, klaskał w dłonie i mówił: „Pozwólcie, że was nakarmię!”. Stali bywalcy wiedzieli już, co będzie dalej, nowi goście byli zaintrygowani i zachwyceni, kiedy czytał im menu, komponując przepyszna i przebogata w smaki ucztę.

Kiedy posiłek był zamówiony, przychodziła kolej na mnie, abym odegrał swoją rolę w rodzinnym cyrku. Rzuciłem się od swego stanowiska przy wejściu, uzbrojony w mały notes z kalką, i przyjmowałem zamówienia na napitki. Jak wiecie, to bardzo ważne zadanie! Traktowałem je szalenie poważnie i często polecałem wino: „Próbowali państwo domowego białego? Jest wspaniałe do kurczaka, którego zasugerował tata. A może wolą państwo czerwone? Podobno cotes du rhone jest bardzo dobre”.

Aż się wzdygam, kiedy teraz o tym myślę, bo przecież nie miałem więcej niż dwanaście lat, kiedy tak doradzałem gościom, które wino mają pić. Najwyraźniej nie miałem pojęcia, o czym mówię, ale praca w restauracji dodawała mi odwagi, żeby być godnym synem mojego ojca. Goście przez grzeczność szli zwykle za moimi podpowiedziami i wkrótce wykombinowałem, że to pewny sposób na sprzedanie najdroższych gatunków win.

Szkoliłem się, podpatrując nie tylko rodziców, ale i siostrę. Oilen była kelnerką w naszej restauracji od jej otwarcia. Świetnie radziła sobie z klientami, bo znała tę grę – kiedy mówić, kiedy podać i kiedy szybko posprzątać ze stołu. Goście ją lubili i ona umiała z nimi rozmawiać. Nie bała się wdawać w pogawędki, ale ja nie miałem takiej pewności siebie i mogłem polegać tylko na swoim uśmiechu, żeby zjednać sobie sympatię.

Kwok-Lyn nie chciał pracować po stronie jadalnej, więc pomagał w kuchni i zmywał naczyń. W białym fartuchu i dresie ciągnął wielkie kontenery ze stali nierdzewnej pełne brudnych naczyń. Od parującej gorącej wody pot zalewał mu czoło, ale nigdy nie narzekał.

Tak to wyglądało. Cała rodzina w komplecie. Każde z nas odgrywało wyznaczoną sobie rolę.

„Przybywajcie, przybywajcie! Oto jedyny w swoim rodzaju cyrk rodziny Wanów!”

Solona ryba i smażony ryż

Składniki

ugotowany dzień wcześniej ryż
4 jajka (roztrzepane)
groszek
dymka
suszona solona ryba
sos rybny
sól i pieprz
sos sojowy
olej roślinny

Sposób przygotowania

Nagrzewaj wok z 4-5 łyżkami oleju. Kiedy zacznie dymić, dodaj groszek i dymkę i smaż pół minuty. Dodaj roztrzepane jajka, sól i pieprz. Mieszaj około 20 sekund. Kiedy jajka się zetną, dodaj ugotowany ryż i mocno pomieszaj, żeby nie przywarł do woka. Dodaj sosu sojowego i rybnego do smaku i pokrusz na to suszoną rybę. Pomieszaj w woku jeszcze ze 2 minuty, a potem nałóż do dużej okrągłej miski i udekoruj posiekaną dymką. Jedz, smacznego, tylko zarezerwuj sobie czas, żeby potem trochę poleżeć.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lata Goka-baleriny

W rodzinie i w restauracji czułem się bezpiecznie. Poza nimi to inna sprawa. Rodzina Wanów wyróżniała się w morzu białych twarzy. Tata Chińczyk, duża, ubrana w fartuch mama Angielka i trójka grubych, mieszanej rasy dzieci. Narazaliśmy się na wiele przykrości, kiedy tylko wystawiliśmy nos za próg. Mamę zaczepiano na ulicy i mówiono, że te dzieci, które wozi spacerówką, to chyba nie jej własne. A nas przezywano i wołano za nami „kundle”.

W pewien sposób spływało to po nas jak po kacze. Jako komórka rodzinna byliśmy silni jak miska makaronu, gdzie każdy składnik wzmacnia smak, tworzy jakość dania i sprawia, że jest ono całością. W obrębie swojej niezawodnej, zżytej, kochającej rodziny byłem chroniony. Ale kiedy znalazłem się poza nią, miałem więcej lat i trochę więcej samoświadomości, odkryłem, że jestem łatwym celem ataków.

Moją pierwszą szkołą była podstawówka Barley Croft mieszcząca się w parterowym budynku w samym sercu Beaumont Leys. W latach świetności szkoła szczyciła się oferowanymi udogodnieniami, takimi jak ogromne boisko i własne „studio muzyczne” (tak naprawdę oznaczało to pudło tamburynów i pianino trzymane w małym pokoju przeznaczonym na pracownię muzyczną).

Lubiłem szkołę podstawową i czułem się tam szczęśliwy. Było fajnie. Mili nauczyciele i nikt mi nie dokuczał. Byłem potężniejszy od większości uczniów i pewnie bali się mnie zaczepiać. Uczyłem się średnio, ale radziłem sobie z lekcjami, nie miałem ani szczególnie dobrych, ani złych stopni.

Wkrótce po moim pojawieniu się w szkole dyrektor wygłosił mowę na temat chińskiego Nowego Roku, a Oilen, Kwok-Lyna i mnie poproszono, żebyśmy usiedli z przodu. To był jeden z tych momentów w moim życiu, kiedy czułem się najbardziej dumny. Myślałem, że mam coś wyjątkowego, czego inni nie mają. Choć nic nie mówiłem ani nic nie robiłem, to było jak występ i bardzo mi się podobało, że wszyscy na nas patrzą.

W szkole odkryłem, że świetnie rozumiem dziewczynki i kobiety. Otaczałem się barwnym gronem koleżanek i zawsze bardziej interesowały mnie rysunki i skakanka niż piłka nożna i latanie po boisku. Bawiłem się włosami koleżanek, doradzałem, jak je przyczesać, albo starannie splatałem im warkoczyki. Oceniałem ubiory nauczycieli: „Podoba mi się sukienka pani Clark, pięknie wygląda” albo „Pan Merton ma za krótkie spodnie, widać mu skarpetki”. Dziewczyny słuchały z uwagą i zawsze się ze mną zgadzały, co sprawiało, że czułem się świetnie, i choć zarzuciłem ten zwyczaj na wiele lat, to było coś w rodzaju praktyk z patrzenia na ludzi i dociekania, kim są, na podstawie tego, jak się ubierają.

Chyba od najwcześniejszych lat wiedziałem, że moje życie będzie związane z płcią przeciwną. Jak sądzę, to coś więcej niż to, że jestem gejem. W wieku sześciu lat raczej się nie zastanawiałem, z kim wolę chodzić do łóżka, więc chyba nie dlatego wybierałem sobie takie, a nie inne towarzystwo. Prawie nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że mam penisa, nie

mówiąc już o tym, bym chciał go wykorzystywać z chłopakami! Chłopcy zawsze wydawali mi się nieznośni, prymitywni, niechlujni i arogancy. Dziewczynki były o wiele spokojniejsze. Potrafiły dyskutować, słuchały, co się do nich mówi, i – jeśli nie zwiodyły mnie moje różowe okulary – pozwalały mi odczuć, że jestem wyjątkowy. Jako jedyny chłopak w grupie mogłem zabłysnąć i się wyróżnić. Wśród chłopców nigdy by mi się to nie udało. Byłbym tylko jednym z wielu na boisku.

Nawet nauczycielki zdawały się mnie lepiej rozumieć. Jedną z nich w szkole podstawowej była panna Richards, wysoka, piękna kobieta, która nie mogła mieć wtedy więcej niż dwadzieścia osiem lat. Zawsze ubierała się w neutralne kremowe odcienie beżu i lekkiego różu. Miała oliwkową karnację, a jej włosy w kolorze karmelu z miodowymi pasemkami przez cały rok wspaniale harmonizowały z cerą. Panna Richards była miła i serdeczna, taktowna i łagodna, nigdy nie krzyczała jak inni nauczyciele.

Każdego dnia o trzeciej po południu cała klasa zamykała podręczniki, porządkowała szafki, pakowała swoje zabawki i zbierała się na dywanie. Panna Richards siadała na pomarańczowym plastikowym krześle i zaczynała czytać historię „na koniec dnia”. Na wyścigi biegłem naprzód, żeby zdobyć przywilej przycupnięcia najbliżej jej krzesła. Przesuwałem leciutko dłońią po jej nogach, kiedy czytała. Miękki, ciepły dotyk jej nylonowych rajstop przepęśniał mnie rozkoszą. Byłem oczarowany jej cichym głosem, kiedy tak nam czytała z idealnym wyczuciem tempa i ekspresją. Przy jej krześle mogłem sobie wyobrazić, że to ja sam przeżywam przygody bohaterów bajek. Wiem, że to może się wydawać dziwaczne, i jestem pewien, że dziś władze szkolne miałyby coś na ten temat do powiedzenia, ale wtedy dla mnie, niewinnego dziecka, to wszystko było cudowne.

Od najmłodszych lat miałem obsesję na punkcie porządkowania i akcesoriów. Uwielbiałem torby, piórniki i nowe podręczniki. Na każdy semestr dostawaliśmy zeszyty w łososiowym kolorze, z liniowanymi kremowymi kartkami w środku i z zaznaczonymi na bładoniebiesko marginesami. Było coś bardzo przyjemnego w otwieraniu nowych zeszytów. Do tej pory przepadam za ich zapachem – czystym, świeżym. Moje zamiłowanie do akcesoriów miało charakter praktyczny. Chodziło mi bardziej o organizację niż o obrazki z Supermanem. Chciałem mieć piórnik, w którym można porządnie poukładać ołówki, żeby nie walały się gdzieś na dnie plecaka i się nie niszczyły. Chciałem pisać w zeszytach starannie i nie psuć ich bałaganiarskimi bazgrołami. Ćwiczyłem kaligrafię, żeby „k” w moim podpisie było idealnie foremne, mocne i majestatyczne, a „y” trafiało ogonkiem dokładnie tuż za linię. Pochylony, z nosem przy kartce, pisałem wolno i uważnie, zaznaczając swoje własne terytorium.

Lubiłem różne zadania, szczególnie jeśli trzeba było coś zrobić lub udekorować, i uwielbiałem zajęcia plastyczne, choć rysunki nie wychodziły mi najlepiej. Ale miałem wycucie koloru i potrafiłem skomponować wszystko tak, żeby ładnie wyglądało. Zawsze bardzo mi na tym zależało i bardzo się o to starałem.

Od czasu odegrania wielkiej roli podczas spotkania poświęconemu chińskiemu Nowemu Rokowi lubiłem zwracać na siebie uwagę i występy. Niestety, ze szkolnego chóru mnie wyrzucano, bo bardzo kiepsko śpiewałem. Zostałem zdegradowany do uderzania w trójkąt, czego się strasznie wstydziłem. Lubiłem bawić ludzi i łatwo mi to przychodziło. Kiedy miałem jakieś siedem lat, siostra przebierała mnie w różową krynolinę baletnicy, a ja biegałem po domu tam i z powrotem na czubkach palców, że niby jestem Gokiem-baleriną. Tak strasznie bolały

mnie stopy, że na samo wspomnienie robi mi się słabo, ale cierpienie nie miało znaczenia, bo udawało mi się zwrócić na siebie uwagę.

Wkrótce chciałem tego więcej i więcej. Uwielbiałem to, że wszyscy na mnie patrzą, i płakałem, kiedy musiałem zdejmować strój baletnicy. Oilen latami się ze mną droczyła, według niej to był wyraźny znak, że jestem gejem, ale ja sądzę, że bardziej chodziło o występy.

Kiedy miałem osiem lat, mama upierała się, żebyśmy z Kwok-Lynem wychodzili pięknie wystrojeni na środek pełnej gości sali i śpiewali kolędy. Czasami marudziłem, że się wstydzę, ale w głębi duszy bardzo to lubiłem i byłem zachwycony, kiedy dorośli bili nam brawo, uśmiechali się i chwalili nas na potęgę.

* * *

W miarę jak dorastałem i robiłem się coraz bardziej świadomy świata, osobą, która zaczęła wywierać na mnie największy wpływ, stała się moja siostra. Myślę, że niełatwo jej było jako najstarszej z rodzeństwa. Nasza rodzina żyła w gorączkowym rytmie i niekonwencjonalnie, a ponieważ mama i tata mieli mnóstwo pracy w restauracji, na Oilen spadało wiele obowiązków – często musiała zajmować się nami, młodszymi. W efekcie dla mnie była kimś dorosłym, kto tłumaczy, doradza i w wielu przypadkach uczy dorastania. Spora odpowiedzialność jak na kogoś zaledwie o cztery lata starszego! Ale mnie się zawsze wydawało, że Oilen tak dużo wie. W szkole tylko ona pochodziła z mieszanego anglo-azjatyckiego związku i musiała być bardzo twarda, żeby sobie z tym radzić. Dokuczali jej, jak zresztą większości dzieci, ale nigdy nie stała się prawdziwą ofiarą, w dużym stopniu dlatego, że była pewna siebie i nie bała się mówić tego, co myśli. Była silna i zawsze zdawała się panować nad swoimi relacjami z ludźmi, czego nie da się powiedzieć o mnie. Stale brakowało mi wiary w siebie, ciągle szukałem akceptacji, a niczyja akceptacja nie liczyła się bardziej niż ta Oilen.

Dla mnie siostra była uosobieniem piękna, z tymi swoimi wielkimi, okrągłymi jak czarki stopionej czekolady ciemnymi oczami i gęstymi, lśniącymi włosami, które prześlicznie okalały jej przypominającą kształtem serduszko twarz. Była kobieca i drobna – w przeciwieństwie do mnie. Miałem grubo ciosane rysy, gargantuiczną posturę i wszystko przyduże. Jak cała rodzina Wanów Oilen walczyła od czasu do czasu z nadwagą, ale ja zawsze zachwycałem się siostrą. Zakradałem się do jej liliowego pokoju, kiedy jej tam nie było, kładłem się na jej łóżku, brałem książkę *Małe kobiety* w okładce w kolorze zgaszonego rózu i udawałem, że jestem Oilen.

Mój gust był kształtowany przez gust siostry; uwielbiała Abbę, Eurythmics i Roxy Music, więc ja też – do tego stopnia, że, zaproszony do audycji radiowej Czwórki *Desert Island Discs* (Płyty z bezludnej wyspy), wybrałem *Thorn in My Side* i *Jealous Guy* jako dwa z ośmiu nagrań, które bym wziął ze sobą na swoją wyspę. To ona zaprowadziła mnie do sklepu w Leicesterze, żebym kupił sobie pierwszą płytę w życiu – *Uptown Girl* Billy’ego Joela. Przyczyniła się też w wielkim stopniu do mojego zainteresowania ubraniami. Gdy dorastała, zaczęła bawić się stylem. Panował wtedy neoromantyzm, moda na trendy androgyniczne i wyzywającą elegancję. Mężczyźni się malowali, lubili falbanki, długie włosy i szaleńcze fryzury. Dziewczyny prowokowały kreacjami o męskim kroju, spódniczkami bombkami, rajstopami w paski

i starannie nałożonymi na powieki cieniami we wszystkich kolorach tęczy. Oilen nosiła czarną wąską spódnicę, czarne rajstopy i za dużą szarą męską marynarkę. Niedbale związywała włosy w koński ogon i stroszyła grzywkę. Całości dopełniały wielkie srebrne koła w uszach. Moja siostra bardzo mi się podobała w tym stroju, był fajny i nowoczesny i wydawało się, że wraz z nim zmienia się jej osobowość. Biła od niej absolutna pewność siebie.

Zafascynowała mnie potęga ubioru. Na długo przedtem, nim dowiedziałem się czegokolwiek o typach sylwetki czy o tym, jak poprzez odpowiednie dodatki tworzyć kreacje, zacząłem widzieć w ubiorze coś więcej niż kawałki materii, którą się okrywamy dla przyzwoitości. Zauważyłem, że strój zmienia nie tylko twoją osobowość, ale i to, jak inni na Ciebie reagują. Wyraża te cechy, które chcesz demonstrować. Daje Ci możliwość bycia kimś innym. Chciałem się ubierać stylowo, z polotem, ale to było niemożliwe – nadal byłem dzieckiem, a zresztą moje ciało zaczęło wykraczać poza wszelkie normy wiekowe, więc należało przede wszystkim zadbać o wygodę i względy praktyczne. Nosiłem workowate spodnie i wielkie bawełniane koszulki. O modzie mogłem sobie pomarzyć.

Oilen miała tak wielki wpływ na moje życie, że właściwie zrobiłbym wszystko, żeby tylko być z nią albo – jeszcze lepiej – jak ona. Pewnego dnia odbierała mnie po lekcjach. Często się to zdarzało, bo tata i mama musieli trochę odsapnąć między porą lunchu i kolacji. Siostrze towarzyszyła barwna grupka jej szkolnych koleżanek. Wszystkie w granatowych mundurkach i spuszczonej do połowy podkolanówkach. Jedna z dziewczyn opowiadała o czymś, co się tego dnia zdarzyło, i nazwała jednego z nauczycieli zboczeńcem. Nie mogłem mieć więcej niż dziewięć lat, ale doskonale pamiętam, jak zaintrygowało mnie to nowe słowo. Wydało mi się szalenie dorosłe, po prostu fantastyczne – zboczeniec! Oilen i jej przyjaciółki były takie dojrzałe i mądre w porównaniu ze mną, z tym swoim rzucaniem mimochodem słów, których nie rozumiałem. Cały zamieniłem się w słuch, ale nie pojmowałem, o czym mówią. Idąc za bandą mojej siostry, zacząłem więc wrzeszczeć na całe gardło: „Jestem zboczeniec... cześć, jestem zboczeniec... miło mi poznać, jestem zboczeniec... Przepraszam, jak nazwisko?... Zboczeniec!”. Moja siostra i jej koleżanki obejrzały się na mnie zdumione, ale jak to nastolatki, tylko zaczęły się skręcać ze śmiechu, ubawione głupotą braciszka Oilen. A ja pomyślałem, że to im się spodobało, więc zachwycony, że zwróciłem na siebie ich uwagę, popisywałem się dalej i krzychałem jeszcze głośniej: „Jestem zboczeniec!” w nadziei, że się im podlizę, choć tylko robiłem z siebie jeszcze większego głupka.

Bardzo chciałem, żeby Oilen i jej koleżanki przyjęły mnie do swojej paczki, ale oczywiście one miały swoje sprawy, a siostra nie chciała, żeby młodszy brat stale się za nią włóczył i zawracał jej głowę. Przez lata dojrzwania, kiedy ja nadal byłem dzieckiem, odganiała mnie od siebie. Zamykała się w swoim pokoju, „sekretowała się” z przyjaciółkami i nie pozwalała mi wchodzić. Albo szła przodem z koleżankami ze szkoły, a ja musiałem iść kawałek z tyłu, żeby nie podsłuchiwać, o czym mówią. Strasznie chciałem do nich dołączyć. Kiedyś przybiegłem do nich do kuchni i zaproponowałem, że pomogę im robić kanapki.

– No, dobrze – powiedziała Oilen. – To rób.

I wszystkie wyszły, zostawiając mnie tam samego. (Nawet teraz, kiedy o tym piszę, czuję gorycz tamtego odrzucenia!).

Doskonale rozumiem, dlaczego takie rzeczy się zdarzały, i nie obwiniam siostry, ale ciężko mi z tym było w czasach, kiedy najbardziej na świecie zależało mi na jej akceptacji. Oczy-

wiecie ona zawsze mnie kochała i wiedziałem, że się o mnie troszczy.

Tymczasem Kwok-Lyn i ja – bliscy wiekowo i nadal bardzo podobni pod względem zachowania – spaliśmy we wspólnym pokoju, przez co bardzo zżyliśmy się ze sobą (dopiero gdy Oilen wyjechała na studia, doczekałem się własnego kąta). Zawsze kiedy byłem z bratem, czułem się silny. Akceptował mnie takim, jakim jestem, bezwarunkowo. Nigdy mnie nie oceniał, jak to się zdarzało Oilen. Nigdy nie mówił, co powinienem zrobić, jak mama i tata. I nigdy nie stroił sobie ze mnie żartów, jak koledzy w szkole. Kwok-Lyn był moim najlepszym przyjacielem, ale musiało minąć dużo czasu, zanim zdałem sobie z tego sprawę.

Kwok-Lyna zawsze łączyła bardzo bliska więź z mamą. Oilen i ja dokuczaliśmy mu trochę, mówiliśmy na niego „maminsynek”, „Boski-Lyn”. Wiedzieliśmy, że mama go nie faworyzuje, tylko że jemu po prostu jej wsparcie jest bardziej potrzebne niż nam. Jak w wielu chińskich rodzinach to on jako najstarszy syn musiał się liczyć z wielką odpowiedzialnością i oczekiwaniami. Tata chciał, i chce nadal, żeby „Boski-Lyn” przejął rodzinny biznes, reprezentował rodzinę i zawsze dokonywał właściwych wyborów – nie ma miejsca na porażki czy błędy, gdy jesteś najstarszym synem! To musiało być wielkie obciążenie dla Kwok-Lyna i myślę, że właśnie dlatego mama otaczała go szczególną opieką. Nie chciałbym czuć na sobie takiej presji.

* * *

W tym samym roku, kiedy poszedłem do szkoły średniej, Oilen wyjechała do college'u, żeby zrobić maturę. Czasami zastanawiam się, czy te lata byłyby dla mnie inne, gdybym miał siostrę przy sobie, czy umiałaby mnie obronić przed tym, co czyhało za rogiem, ale nigdy się tego nie dowiem. Niestety, tylko przez tydzień byliśmy razem w tej samej, „dużej” szkole.

Latem, przed rozpoczęciem roku szkolnego, wszyscy nowi uczniowie uczęszczali przez tydzień na zajęcia wprowadzające do naszego nowego piekła – Babington Community College.

Bardzo się denerwowałem, ale jednocześnie cieszyłem, że będę więcej czasu spędzać z Oilen i Kwok-Lynem. Wyobrażałem sobie, że oni – a szczególnie Oilen, taka bystra i reżolutna – panują tam nad sytuacją tak samo jak w domu. I spodziewałem się, że będę z nimi w stałym kontakcie. Jednak rzeczywistość okazała się zupełnie inna.

W tamtym tygodniu mnóstwo się działo: napięty rozkład zajęć, spotkania i oczywiście lekcje, a nowicjusze byli trzymani z dala od starszych uczniów. Codziennie próbowałem znaleźć Oilen, podczas przerw i pory na lunch biegałem po całej szkole w poszukiwaniu swojej wszechmocnej siostry. Jednak nigdzie jej nie wypatrzyłem. Byłem bardzo rozczarowany, ale rozumiałem, że jest zajęta tym, co muszą robić ci ważni starsi uczniowie.

Wprowadzający tydzień był przerażający. Mieliśmy lekcje w językach, które tylko słyszałem kiedyś w telewizji, mieliśmy plan, którego musieliśmy się trzymać nieponaglani przez nauczycieli, byliśmy wrzucani do sali pełnej obcych dzieci z innych szkół podstawowych, no i był... wuef!

Przez całą szkołę podstawową udało mi się niemal całkowicie uniknąć wychowania fizycznego. Mama (zawsze raczej po mojej stronie niż po stronie szkoły) nauczyła się pisać genialne usprawiedliwienia i jej mistrzowskie wywody skutecznie gasiły zakusy nauczycieli. Zdołałem przejść przez szkołę podstawową, nie wykonując żadnych porządnych ćwiczeń poza biega-

niem dookoła boiska. Ale duża szkoła to była – dosłownie – całkiem inna liga, i miałem straszliwe przeczucie, że nie zdołam wymigać się od wychowania fizycznego, które napawało mnie takim lękiem.

* * *

Wuef to była tortura. Łatwo sobie wyobrazić, że dla kogoś grubszego niż inni każda aktywność fizyczna to jak kara za obżarstwo. W dodatku bardzo różniłem się od reszty uczniów. Miałem kruczoczarne, przetłuszczające się włosy i zaczynał mi się młodzieńczy trądzik. Zrobiłem się korpulentnym, nieatrakcyjnym podrostkiem. Rozpaczliwie wstydziałem się swojego wyglądu. A sport zawsze przypominał mi o tym, jaki jestem niezdarny i kluchowaty.

Słyszałem straszliwe opowieści o wuefie od brata i siostry – o wspólnych wielkich szatniach, siedmiokilometrowych biegach terenowych i potwornościach publicznych kąpiei pod prysznicami. Tak bardzo nienawidziłem swojego ciała, że na samą myśl o przebieraniu się w czyjejs obecności zbierało mi się na wymioty. Perspektywa znalezienia się całkiem nago pod prysznicem z innymi, „normalnymi”, dziećmi sprawiała, że policzki mnie paliły, zasychało mi w gardle, głowa pękała z bólu, a serce waliło jak młotem. Byłem przerażony, że ktoś mógłby zobaczyć, co kryje się pod moim ubraniem.

Pierwszego dnia kazali nam wypełnić nasz nowy plan zajęć. Rozdali nam poliniowane kartki z wydrukowanymi dniami tygodnia i godzinami lekcji na marginesach. Poniedziałek był w porządku: angielski, nauki ścisłe, francuski i po południu nauki społeczne. Wtorek też świetnie: po dwie lekcje nauk ścisłych i plastyki, a po południu zajęcia teatralne. Środa... O cholera! To, co mnie najbardziej przerażało. Po południu dwie lekcje wuefu. Kiedy pan Dunn czytał rozkład zajęć i wszyscy wypełniali rubryki w swoich planach, mnie kompletnie ścięło. Ręce zaczęły mi się trząść, niepokój wypełnił każdą cząsteczkę ciała. Wpadłem w panikę, pragnąłem, żeby natychmiast wparowała tu mama z jednym ze swoich słynnych usprawiedliwień i mnie uratowała. Chciałem, żeby powiedziała: „Nie przejmuj się, nikt ci nie każe ćwiczyć na wuefie... Nie musisz iść pod prysznic z innymi chłopcami, nie musisz się przebierać na oczach kolegów. Zbieraj rzeczy, idziemy”. Ale nikt – ani mama, ani tata, ani nawet Oilen – nie pojawił się w drzwiach. Chodziłem teraz do dużej szkoły i takie tu są zasady. Byłem skazany na wuef i nikt w żaden sposób nie mógł temu zapobiec.

Zdawało się, że natychmiast zrobiła się środa, tak jakby te dwa dni ktoś mi ukradł. Myślałem tylko o jednym – wuef na śniadanie, lunch i kolację. Przedpołudniowe godziny w środę zleciały w okamgnieniu i zanim się spostrzegłem, rozległ się dzwonek na lunch. Dokładnie za czterdzieści minut stanę w kolejce przed szatnią, ze strojem gimnastycznym w torbie, w gronie dwudziestu wysportowanych chłopaków, którzy aż palą się do tego, żeby zmierzyć się ze sobą w futbolu, rugby czy koszykówce. A potem oni będą śmiać się i dowcipkować, zrzucając ubrania i myjąc się pod prysznicami. Razem, bez żadnego nadzoru...

Dla mnie to był koniec świata, umierałem i nie było tu nikogo, kto by mnie ocalił. Przerwę na lunch spędziłem samotnie, patrząc na przesuwające się wskazówki zegarka. Z każdą sekundą moje przerażenie rosło. Tłukłem się po szkole, od korytarza do korytarza, od boiska do klasy, w poszukiwaniu ucieczki.

Chwilę przed dzwonkiem wzywającym na popołudniowe zajęcia znalazłem się w głównym

holu, gdzie za szybą siedziała recepcjonistka i rozkładała jakieś papiery. I właśnie wtedy stres w moim młodym tłustym ciele eksplodował. Poczulem ciepło na nogach i zdałem sobie sprawę, że się moczę. Nim zdołałem to pohamować, zsikałem się do końca, i choć czułem ulgę, zacząłem się trząść – ze strachu, upokorzenia i zimna zarazem. Trudno sobie wyobrazić mój wstyd, kiedy tak stałem w mokrych spodniach, sparaliżowany strachem i nienawiścią do samego siebie. I wtedy zabrzmiał dzwonek. Zdołałem podejść do recepcjonistki i poinformować ją, że narobiłem bałaganu. Na jej twarzy malowały się szok i obrzydzenie, kiedy dzwoniła do mojej mamy.

– Mama jest już w drodze po ciebie – poinformowała mnie z za swojej szyby lodowatym, karcącym tonem. – Możesz tu poczekać. Tylko nie siadaj na żadnym krześle!

Stałem więc – mokry, zziębnięty i upokorzony – przy recepcji aż do przybycia mamy. Na szkolnych korytarzach panowała cisza. Trwały popołudniowe zajęcia. A we mnie narastał lęk, że za każdymi zamkniętymi drzwiami sal lekcyjnych nauczyciele i uczniowie nie myślą o niczym innym, tylko o grubym, śmierdzącym chłopaku przy recepcji, który zasikał spodnie.

Do tej pory nie wiem, czy zmoczyłem się ze strachu, czy też wiedziałem, że to jedyny sposób, by uniknąć pokazania swojego nagiego ciała. To było zresztą tylko odroczenie tego, co nieuchronne – w końcu i tak co tydzień musiałem ścierpieć tortury przebieralni i wuefu. Stało się jednak jasne, że moja waga przejmuje kontrolę nad moim życiem.

* * *

Ostatniego dnia tamtego tygodnia trafiłem wreszcie na Oilen. Było gorąco, staliśmy pod ścianą sali gimnastycznej przy boisku i patrzyłem do góry na siostrę, mrużąc oczy od słońca. Oilen powiedziała, że w tej szkole muszę na siebie uważać i że jeśli ktoś będzie mnie przezywał albo mi dokuczał, to muszę się bronić i też mu nawtykać.

Ale ani ona, ani ja nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że czasy szkoły średniej będą dla mnie początkiem wielu lat cierpień.

Puklerz mody ze ściegiem w warkocze

Zanim jeszcze skończyłem jedenaście lat, zdawałem sobie sprawę, że jestem gruby. Poszedłem do podstawówki jako pulchny chłopaczek i tyłem w miarę odkrywania w sobie pasji do jedzenia. Uwielbiałem nawet szkolne obiady.

Mama nigdy nie chciała szyć w domu angielskich potraw, a kiedy już z rzadka zdarzyło jej się coś takiego, to było okropne. Jej frytki były fatalne, ale ja jako jedyny z rodziny udawałem, że mi smakują, bo warto było katować się tłustym smakiem bez wyrazu, żeby nie sprawić jej przykrości. W domu prawie zawsze więc jedliśmy chińszczyznę. Zmusiłem się nawet do polubienia liczi, których z początku nie cierpiałem. Tata przynosił je nam do domu, a skoro Oilen i Kwok-Lyn je jedli, to nie chciałem być gorszy. Jednak bardzo lubiłem angielską kuchnię, zwłaszcza w dobrym wydaniu, i uważałem, że szkolne obiady są przepyszne. Dostawałem dokładki i opychałem się, ile wlezie. Cała nasza trójka tak bardzo uwielbiała kurczaka w potrawce, że mama poszła do szkoły po przepis (założę się, że była jedyną mamą, która coś takiego zrobiła).

Jako dzieci z osiedla komunalnego dostawaliśmy darmowe mleko. Dla mnie psychota. A jeszcze w szkole podstawowej była jaskinia Aladyna – sklepik. Ten istny stół szwedzki ze smakołykami stanowił pokusę, której nie można było się oprzeć. Pod pozorem, że chcę tam pomagać, udało mi się zwinąć wiele torebek moich ulubionych chipsów o smaku sosu worcester. Poza chrupkami uwielbiałem czekoladę i inne słodycze (ale unikałem tego, co wymaga długiego żucia – najważniejsze, żeby się szybko napchać).

Etapy naszego życia nadal wiązały się z jedzeniem. Przez większość czasu myśleliśmy o tym, co jemy albo co będziemy jeść. Tata chciał, żebyśmy trenowali karate, i – podobnie jak w przypadku lekcji chińskiego – jedynym sposobem, żeby nas do tego zmusić, było przekupstwo. Po treningu dostawaliśmy kubeł Kentucky Fried Chicken. To głównie zapamiętałem z karate – nie strój czy ćwiczenia, ale te lekko chrupiące, a zarazem soczyste, mocno nasycone olejem kawałki kurczaka z fast foodu. Jedzenie sprawiało, że było mi ciepło, przyjemnie i przepełniało mnie szczęście. Ale w małych Chinach zbierało się na wielką burzę.

* * *

W szkole średniej nawet jedzenie mi nie pomagało. Od samego początku szło mi tam jak po grudzie. Czuję się obcy. Nie byłem prymusem, byłem gruby, mieszanej rasy i wyraźnie odróżniałem się od reszty. Ja jeden po lekcjach szedłem do restauracji i pracowałem w weekendy. A w miarę jak dojrzywałem, zaczynałem sobie uświadamiać, że i moja seksualność nie jest taka jak innych chłopców. I oni też to czuli. Byłem wymarzoną ofiarą klasową. Komu łatwiej dokuczyć, jak nie grubemu, pedałowatemu Chińczykowi? W jednej chwili odebrano mi poczucie bezpieczeństwa, jakie miałem w szkole podstawowej. Szkoła średnia była dla mnie

jak kubeł zimnej wody.

Z początku rówieśnicy tylko mnie ignorowali, tak jak ignorowali inne nieatrakcyjne dzieci. Trzymałem się z takimi samymi odrzutami jak ja, których dostrzeganie wydawało się czymś poniżej godności tym z grupy popularnych. Ale ta nasza przyjaźń była bardziej z musu niż z wyboru. Nikt inny nas nie chciał, a w grupie czuliśmy się bezpiecznie.

Choć miałem tych kilkoro przyjaciół, czułem się wyobcowany i strasznie samotny – naprawdę zaczynałem nienawidzić swojego wyglądu. Kiedy dało mi się we znaki dojrzewanie, zacząłem rosnąć i w wieku trzynastu lat miałem już prawie metr osiemdziesiąt. Ważyłem o wiele za dużo, choć nie wiem dokładnie ile. Na pewno ponad siedemdziesiąt sześć kilogramów. Byłem potężniejszy niż większość znanych mi dorosłych. Poza tym moja skóra eksplodowała pryszczami, a moje czarne włosy stale były tłuste. Krótko mówiąc, uważałem się za najbardziej nieatrakcyjną osobę na świecie.

Snułem marzenia, jak bym wyglądał, gdybym miał magiczną moc dokonania przemiany. Byłbym szczupły i przystojny. Miałbym płaską, choć dobrze umięśnioną klatkę piersiową, a nie taką jak u tłustej dziewczyny. Miałbym prężny brzuch z ładnym małym pępkiem dokładnie pośrodku, a nie takim, który ginie gdzieś głęboko w zwałach tłuszczu. Moje ręce byłyby silne i szczupłe, a nie takie ciastowate. Byłbym szatynem o gładkiej różowawej cerze i dużych, interesujących oczach zamiast tych szparek bez wyrazu.

Rozpaczliwie chciałem poczuć się atrakcyjny i dopasować się do reszty. Ale z każdym rokiem było tylko gorzej. W Babington Community College nie obowiązywały mundurki, nosiłem więc jedynie to, co było w moim przypadku praktyczne – dresy Marks & Spencer. Spodnie z gumą w pasie były przykrótkie na moje długie nogi. Przez to jeszcze bardziej odróżniałem się od reszty. Nienawidziłem tych dresów. Były okropne i w nich czułem się jeszcze bardziej paskudny. Miałem wrażenie, że są jak więzienny kombinezon, tyle że zamiast odpowiedniego znakowania piętkuje mnie ich kiepski krój.

Z każdym dniem moje poczucie własnej wartości leciało w dół, a brak pewności siebie robił ze mnie łatwy cel dla dręczycieli. Zaczęło się stopniowo, ale jak już ruszyło, to coraz intensywniej, nacierało ze wszystkich stron. To nie była przemoc w hollywoodzkim stylu, nie przybierała formy szturchnięć, kopniaków czy pobicia. Może z czymś takim łatwiej bym sobie poradził. Ale byłem wysoki i miałem dość masy, żeby każdy, nawet największy łobuz, dobrze się zastanowił, zanim odważyłby się mnie zaatakować. Dokuczanie mi niespecjalnie rzucało się w oczy. Gdyby było jawne, to też pewnie znosiłbym je lżej, bo mógłbym podjąć grę i może nawet w jakiś sposób się odgryźć. Ale nigdy nie wziął się na mnie jakiś chuligan czy nawet dwóch. To było coś bardziej podstępnego i zmyślnego. Takie kap, kap, kropla po kropli, ubliżające mi szept, szydercze uśmiechy, sączący się strumyk kpin i przezwisk. Wydawało się, że wszyscy są przeciwko mnie. Nauczyciele zdawali się nic nie zauważać, tak jakbym tylko ja słyszał te ściszone głosy w klasach, na korytarzach czy w stołówce, tę niekończącą się szyderczą litanię. I choć nie zdarzały się teatralne ciosy, dowcipy w rodzaju strzelania z papierowej torby czy typowe rozkładanie na łopatki grubasa, to bez przerwy trwało takie malutkie poszcypywanie, szturchnięcia i podkopywanie ze wszystkich stron – kiedy stałem w kolejce w stołówce lub czekałem na zajęcia pod klasą. To były miniaturowe ataki, zbyt nieistotne, żeby iść ze skargą albo narzekać, ale przez swoje zmasowanie bardzo bolały i rozbijały psychicznie. Rówieśnicy prowadzili przeciwko mnie wojnę psychologiczną, byłem bezradny, nie

miałem jak się bronić. Mogłem tylko słuchać, aż wszystkie te słowa zaczęły pobrzmiwać echem w moich myślach i uwierzyłem, że oni mają rację – jestem głupi, gruby, brzydki, łakomy, jestem śmieciem, jestem gejem...

To znęcanie się nade mną sprawiało, że czułem się strasznie samotny, bo nikt inny nie uważał, że coś takiego się dzieje, a nie chciałem z nikim rozmawiać o swoim upokorzeniu. Bałem się też powiedzieć o tym komuś z rodziny. Mieli dość własnych problemów.

W Leicesterze powstawało wiele nowych chińskich restauracji. Wszystkie naśladowały tę, którą stworzył tata. A pod koniec lat osiemdziesiątych zaczął się kryzys. Ludzie nie wydawali pieniędzy na jadać na mieście. Nasz notes z rezerwacją stolików nie był już pełen zapisów.

Tata zaczynał odczuwać skutki tej sytuacji, martwił się o zdrowie – swoje i mamy. Byli wiecznie przemęczeni, nigdy nie mieli czasu dla siebie. Poza restauracją bez reszty poświęcali się dzieciom. Nigdy nie mieliśmy wakacji, jak większość rodzin, bo nie było dobrej pory, żeby na jakiś czas zamknąć lokal. Rodzice robili sobie wolne od pracy tylko podczas okazjonalnych odwiedzin u babci, matki mojej mamy, a te nigdy nie trwały dłużej niż dwa, trzy dni.

Tak więc w wieku trzynastu lat i ja byłem skrajnie wyczerpany – w tygodniu chodziłem do szkoły, a w weekendy pracowałem w restauracji. Życie naszej rodziny zdominowała Panda i wydawało się, że jesteśmy najciężej pracującą rodziną w mieście, ale wiedziałem, że to dla nas kwestia być albo nie być.

Strasznie samolubne byłoby powiedzenie rodzicom, jak bardzo jestem nieszczęśliwy, kiedy tak ciężko szedł im biznes i robili wszystko, żeby tylko nie utonąć. Nie próbowałem też walczyć ze swoją pozycją szkolnej ofiary, bo nie wiedziałem, jak się bronić. Starłem się po prostu jakoś wytrzymać docinki – ciota, gruby, balon, świrus, pedał, głupek – ale strasznie mnie to męczyło, odbierało mi całą pewność siebie i sprawiało, że sam siebie nienawidziłem.

Życie stało się ciągłym zmaganiem, by jakoś znieść okrucieństwo rówieśników, którzy nawet nie wiedzieli, jak wielkie mają szczęście, że są „normalni”.

Jedynym sposobem, jaki przychodził mi do głowy, żeby przerwać to wszystko, było zadowolenie prześladowców i zaprzyjaźnienie się z nimi, więc zacząłem strugać wariata. Wkrótce robienie z siebie głupszego, niż jestem, weszło mi w krew. Wykombinowałem sobie, że jeśli sam z siebie się wyśmiewam, to tamci zostawią mnie w spokoju. Pomyślałem, że odkryłem sposób obrony i że niewidzialna zbroja nienawiści do samego siebie jest kuloodporna – ale oczywiście nie była. Dawała im kolejny powód do patrzenia na mnie z góry. I szydzili ze mnie jeszcze bardziej.

* * *

Nie tylko w szkole słyszałem żarty na swój temat i niewybredne komentarze dotyczące mojego wyglądu. Dla grubasów jedzenie w miejscach publicznych to grzech niewybaczalny. Jak ktoś otyły może robić coś tak nagannego, świadczącego o zepsuciu, zachłanności i nieliczeniu się z innymi, i... JEŚĆ? Czasem miało się wrażenie, że konsumpcja ciastek i hamburgerów na ulicy w Leicesterze to coś takiego, jak publiczne obściskiwanie się i całowanie w krajach Bliżniego Wschodu, zbrodnia, za którą można trafić do aresztu.

Pewnego dnia, kiedy miałem prawie trzynaście lat, wracałem do domu ze sklepu na rogu. Miałem przynieść tacie gazetę i w nagrodę za fatygę uraczyłem się czekoladowym batonikiem.

Pierwszy kęs był niesamowity, ale kiedy już miałem odgryźć następny, by znów poczuć w ustach tę kremowość pomieszana z chrupkością, rozległo się tak głośne trąbienie, że zatrzymałem dłoń w pół ruchu. Minęła mnie brudna, stara biała furgonetka. Z jej okna, z miejsca obok kierowcy, wychylał się jakiś budowlaniec. Zapyłona, poplamiona farbą gęba z kpiącym uśmiechem. To jego trąbienie zakłóciło moją czekoladową rozkosz. Nie wystarczyło mu, że zwrócił na siebie uwagę całej ulicy. Wykrzyczał jeszcze ze swojego pieprzonego auta: „Kwik, kwik, ty gruba świnió, jedz sałatę!”

Kompletnie zdębiałem, nadal myślałem o pysznym smaku czekolady i nie do końca dotarło do mnie, o co chodzi. Uśmiechnąłem się i odruchowo pomachałem do bydlaka! Gdy furgonetka zniknęła w oddali i zdałem sobie sprawę, co zrobiłem, zmartwiałem z przykrości i wstydu, czując wstręt do samego siebie i wszystkich dookoła. Minęły wieki, nim znów byłem w stanie swobodnie jeść w czyjejs obecności.

* * *

W końcu, po dwóch latach bezustannej udręki, zdałem sobie sprawę, że jest coś, co mogę zrobić dla poprawy swojej sytuacji. W lecie 1987 roku, kiedy miałem trzynaście lat, poprosiłem mamę, żeby zabrała mnie na zakupy.

Jeszcze tego nie wiedziałem, ale właśnie miałem dokonać swojej pierwszej metamorfozy.

Poszliśmy do sklepu Next (w owych czasach dość ekskluzywnego) i kupiliśmy kremowy sweter ze ścięciem w warkocze, beżowe sportowe spodnie i brązowe klasyczne stębnowane zamszowe półbuty. Poszedłem też do fryzjera. Poprosiłem, żeby zostawił mi długą grzywkę, która ma być szcieszana na lewo, co za pomocą sporej ilości żelu i tapirowania nawet się udało. W ten sposób dokonała się moja przemiana.

Nie schudłem i na pewno nie byłem zadowolony ze swojego ciała, ale czułem się inaczej. Czułem, że wyglądam fajnie i modnie, i po raz pierwszy zyskałem jakąś pewność siebie poza Pandą. Po raz pierwszy na własnej skórze doświadczyłem, czego może dokonać ubiór. Jak zmienia emocje i dodaje wiary w siebie. Do tamtej pory tylko to widywałem – patrzyłem na innych i zazdrościłem im.

Pierwszy dzień nowego roku szkolnego był niesamowity. Pamiętam, że się denerwowałem, ale byłem też podekscytowany. Miałem pokazać w szkole swoje nowe wcielenie. Czułem, że coś w środku mnie się zmieniło, byłem nieco silniejszy.

Kiedy teraz współpracuję z organizacjami charytatywnymi, które pomagają ofiarom szkolnej przemocy, mam podstawową radę: musicie być silniejsi od tych, którzy was dręczą. Oni są sprytni. Potrafią przekonać was, że to wasza wina. Sprawią, że poczujecie się osamotnieni, a jeśli są naprawdę dobrzy w te klocki, to będzie się wam nawet zdawało, że na nic lepszego nie zasługujecie. Ale wy możecie im powiedzieć „nie”. Macie do tego prawo. Kiedy stawicie opór, ci dranie zastanowią się dobrze, czy warto was dręczyć, bo robią z was ofiary tylko wtedy, kiedy mogą wam sprawić ból. Lubią patrzeć na czyjeś cierpienie. Jeśli zobaczą, że się nimi nie przejmujecie, zostawią was w spokoju.

Dziwne, ale mam wrażenie, że i wtedy o tym wiedziałem. Mój nowy wygląd nie mógł w żaden sposób zmienić tego, że byłem gruby i wyglądałem na geja, i jeśli tamci dalej chcieliby mnie prześladować, to nic nie stało im na przeszkodzie. Ale ja już inaczej bym to przyjmo-

wał. Miałem nową zbroję i dopóki sam z siebie byłem zadowolony, nie mogli mi nic zrobić. Dla mnie ten sweter ze ścięciem w warkocze był trochę jak kostium Supermana. I to działało. Wszedłem do klasy i choć nie pamiętam dokładnie reakcji uczniów, musiała być pozytywna. W ciągu kilku dni wyzwiska ograniczyły się do jednego „pedał!” na korytarzu i może kilku „balon, balon!”, kiedy stałem w stołówce w kolejce, ale z tym już byłem w stanie sobie poradzić.

Już nie bałem się chodzić w pewne rejony szkoły i tego, że złapią mnie tam dla uciechy jak kupę mięsa jakieś osiłki z piątej klasy. Trzymałem fason i kiedy mi dokuczali, puszczałem to mimo uszu. Na swój sposób przyzwyczałem się do tego i wyzwiska na ogół sływały po moim tłustym ciele jak po kaczcce. Słowa były te same, ale teraz miały inne znaczenie. „Gruby” przestało być obraźliwe, po prostu opisywało, jaki jestem, i tyle. Co za idioci, wołają takie rzeczy, jakby odkrywali Amerykę. Czy ja chodzę po szkole i co chwila krzyczę: „O, fortepian! ... nauczyciel... krzesło... ściana”? Moja nowo odkryta pewność siebie była zadziwiająca. Brzydkie kaczątko nie zamieniło się w łabędzia, ale czuło się świetnie i zaczęło kwakać jak najęte.

Przeobrażenie dało mi pewność siebie, jakiej potrzebowałem, żeby znaleźć sobie nowe grono przyjaciół, co od dawna skrycie planowałem. W moim kostiumie Supermana odkryłem, że jestem w stanie podejść do osób, które dawniej wydawały mi się poza moim zasięgiem. Mogłem z nimi pogadać, pożartować i wypróbować nową osobowość adekwatną do mojej nowej garderoby. I to się sprawdziło. Niedługo zaprzyjaźniło się ze mną kilka dziewczyn. Wkrótce zupełnie zapomniały, że kiedyś wszyscy mi dokuczali. Tak jakbym nigdy nie był tym chłopakiem, odganianym, wyszydzanym, uważanym za kogoś gorszego. Dziwne, jak szybko potrafimy wybaczać i zapominać. Zostałem powitany w ich świecie z otwartymi ramionami i wszedłem do niego bez wahania.

Zawsze marzyłem o takiej akceptacji, myślałem, że gdybym tylko mógł być „jednym z nich”, byłoby cudownie. Zdawało się, że lubiani rówieśnicy mają życie usłane różami. Zadowoleni z siebie, nikt ich nie wyśmiewa i nie prześladuje. Teraz zdaję sobie sprawę, jaki byłem naiwny. Sądziłem, że nigdy nie jest im smutno, nigdy nie czują się odrzuceni lub samotni. Zmylił mnie ich wygląd zewnętrzny.

* * *

Cieszyłem się nowo zdobytą akceptacją, ale to było słodko-gorzkie doznanie. Miałem wyrzuty sumienia, że nie przyjaźnię się już z towarzyszami niedoli. Widziałem, jak się męczą, a kiedy stają się celem ataku, więdną i kulą się w sobie, żeby tylko uniknąć konfrontacji i dodatkowych docinków. Mój wewnętrzny superbohater wołał, żebyśmy stanął w ich obronie albo żeby to oni sami dali odpór agresji, żeby znaleźli w sobie siłę do walki – ale oni nie potrafili, tylko (jak kiedyś ja) przemykali cichutko, trzymali się razem i uważali, by nie zwracać na siebie za bardzo uwagi. Bardzo chciałem, żeby ich oświeciło, może mogliby znaleźć na siebie jakiś nowy pomysł, jak ja tego lata. Ale wtedy było mi za ciężko ująć się za nimi. Jedna z dziewczyn z tamtej grupy spytała mnie, dlaczego jej unikam. Powiedziałem, że nie chodzi o nią, ale o mnie. Musiałem się zmienić, bo nie miałem wyboru. Nie mogłem już dłużej znieść złości. Tłumaczyłem jej, że nie wstydzę się naszej przyjaźni, ale tego, za kogo mieli mnie

ci, którzy tak okrutnie mi dokuczali. Może ona jest silniejsza ode mnie i może sama już o tym wie. Do tej pory pamiętam wyraz jej twarzy. Było jej przykro, ale ze sposobu, w jaki słuchała, wnioskowałem, że rozumie.

Szkoła to trudne miejsce, a jak się ma niskie notowania, może być najbardziej samotnym miejscem na świecie. Pewnie powinienem zostać ze swoimi pierwszymi przyjaciółmi i jakoś wytrzymać ataki. Może byłem tchórzem, że poddałem się presji rówieśników, by być jak wszyscy inni. Może byłem oszustem, farbowanym lisem. Ale wiedziałem jedno – muszę się zmienić, jeśli mam przetrwać.

Poza tym właśnie działo się ze mną coś jeszcze trudniejszego. W głębi duszy wiedziałem, że jestem gejem, i bym zdołał przeżyć, mój wewnętrzny bohater musiał dać z siebie wszystko.

Kanapki ze skondensowanym mlekiem w dni wolne od szkoły

Składniki

*2 kromki białego chleba na osobę
masło do posmarowania chleba
mleko skondensowane*

Sposób przygotowania

Posmaruj masłem obie kromki. Nożem albo łyżką nałóż skondensowane mleko na jedną z nich. Będzie chciało spływać, więc trzeba się pospieszyć, żeby powstała gruba i równa warstwa (tak naprawdę to się nie da), nim się nakryje tę lepką breję drugą kromką, masłem do dołu. Przetnij na 4 części, pozostawiając skórkę, i pałaszuj, nie zważając, że kapie, pomrukując z zachwytu nad tym kulinarnym arcydziełem. Najfajniej jest jeść takie kanapki w południe podczas szkolnych wakacji, kiedy się czeka, aż mama i tata skończą serwować lunch.

Przepis: Oiley Boily Luz

Zmusiłem się do zmiany. Nie chciałem być chłopakiem, którym wszyscy gardzą. Poddałem się własnej stylizacji, i to najwyraźniej zadziało. Ale nadal musiałem odwracać uwagę od swojej tuszy i tego, co mi się we mnie wydawało paskudne, więc zacząłem tworzyć nową osobowość, wykorzystując żarty, poczucie humoru i cięte riposty, by inni nie dostrzegali moich wad. Ten pomysł świetnie się sprawdzał i przyciągał do mnie takie osoby, jakich nigdy wcześniej nie znałem. Zaprowadziły mnie na nowe dla mnie, podniecające i bardziej ryzykowne ścieżki, które miały posmak zakazanego owocu.

Osoby, z którymi się teraz przyjaźniłem, okazały się nieobliczalne, fascynujące. To była banda różnych dziewczyn, które kierowały się w życiu takimi zasadami, jakich dawniej sobie nawet nie wyobrażałem. Moim dawnym znajomym zależało na dobrych stopniach. Słuchali rodziców i starali się nie sprawiać kłopotów. Te dziewczyny były fajniejsze. Zbuntowane. Jeśli nauczyciele czegoś zakazali, stanowiło to dla nich wyraźną wskazówkę, żeby to zrobić. Super!

Szczególnie bliskie stały się dla mnie trzy z nich – Soul, Rachel i Amy. Wiele wieczorów spędziliśmy razem przy huśtawkach albo zaciągając się papierosami, włóczyliśmy się po ulicach i zastanawialiśmy się, jak by się tu zabawić.

Zacząłem palić w wieku dwunastu lat. Mój tata palił. Z popielniczką w kształcie pandy stawał przed restauracją i wypuszczał kłęby dymu z papierosów luksusowej marki Rothmans. Bardzo mi imponował. Czasem zostawiał w popielniczce zapalonego papierosa, kiedy siedł obsłużyć gości, a ja ukradkiem zaciągałem się kilka razy. To było oczywiście obrzydliwe, kaszlałem i prychałem, ale robiłem to nadal, bo chciałem być taki jak tata. Nie miało znaczenia, że ani Oilen, ani Kwok-Lyn nie palą (choć mój brat zaczął palić, gdy miał szesnaście lat). Tata kupował rothmansy w pudłach po dwieście paczek i wkrótce zacząłem je podbierać. Nim skończyłem trzynaście lat, paliłem już na dobre, podobnie jak całe moje towarzystwo.

Uwielbiałem swoją nową paczkę, czułem, że nareszcie gdzieś przynależę poza restauracją. Wyrabiałem sobie pojęcie o świecie i stale potrzebowałem nowych bodźców, a nowe środowisko mi je zapewniało. Mieliśmy podobne poczucie humoru. Przekonałem się, że nie muszę ciągle śmiać się z samego siebie.

Dookoła było mnóstwo okazji do żartów. Zacząłem się wygłupiać, dowcipkując z sytuacji i innych osób zamiast tylko z siebie. I odkryłem, że to fantastyczne uczucie rozśmieszać ludzi. Lubiłem bawić paczkę swoich fajnych koleżanek, a trzymanie się z nimi przynosiło bonus – to były atrakcyjne sikorki, więc nigdy nie brakowało chłopaków, którzy chcieli z nami pogadać.

Od dziecka wiedziałem, że inaczej reaguję na chłopców niż na dziewczyny. Chłopcy byli zagadkowi i nieokrzesani, nieznośni i intrygujący. Dziewczyny były przewidywalne. Mogłem z nimi swobodnie rozmawiać i śmialiśmy się z tych samych dowcipów. Interesowały mnie rzeczy, które w ich życiu były ważne: przyjaźń, sprawy rodzinne i oczywiście wygląd. Tak naprawdę nie rozumiałem, co to znaczy być gejem. Wiedziałem tylko, że jestem inny od reszty

chłopców. Dla mnie określenie „gej” było wyzwiskiem. Być wybrykiem natury to nic przyjemnego i oczywiście tego nie chciałem, więc przyjąłem, że nie jestem gejem, tylko podobają mi się chłopcy, tak samo jak moim przyjaciółkom.

Ale nic nie było już takie proste. Miałem trzynaście lat i hormony we mnie buzowały, a mój fizyczny pociąg do chłopców zaczynał dominować w moich fantazjach. Zastanawiałem się, jak by to było leżeć obok chłopaka albo trzymać go za rękę, bawić się jego włosami lub nawet go całować. Choć te myśli wydawały mi się odrażające, bo się bałem, że jestem gejem, były też podniecające i coraz bardziej uporczywe, aż wreszcie z trudem mogłem się skupić na czymkolwiek innym. Ale kiedy patrzyłem na swoje ciało, wpadałem w rozpacz. Tak bardzo różniłem się od innych chłopaków. Pomimo nowego stylu nadal byłem gruby i w dodatku tak wysoki, że mogłem patrzeć z góry na większość rówieśników i nauczycieli. Miałem pyzată gębę i wielkie, krzywe zęby, świńskie, tonące w tłuszczu oczka i podwójną, galaretowatą, obwisłą pod ciężarem przybieranej latami wagi brodę. Inni chłopcy byli tacy przystojni, wyglądali tak zdrowo – dranie jedne! – mieli smukłe i umięśnione sylwetki. Byli też o wiele mniejsi ode mnie. Nawet ci najwyżsi. Byli szybcy i zwinni, nie to co ja, z tym swoim słoniowatym człapaniem. Byli piękni, a ja zdecydowanie nie. W porównaniu z nimi wyglądałem jak Hagrid z *Harry’ego Pottera*. Podobali mi się prawie wszyscy, zazdrościłem im urody i swobodnego sposobu bycia – pociąg to nie wszystko, chciałem też być taki jak oni. Ale nikomu się nie zwierzyłem, zakopałem to głęboko pod swoimi zwałami tłuszczu.

Wielu chłopaków zaczęło pożyczać ubrania od starszych braci i przeobrażać się stopniowo w młodych mężczyzn z wyżełowanymi włosami. Wszyscy wkraczaliśmy w ten dziwny okres dojrzewania i niektórym już nawet sypał się wąsik. Jako pół-Chińczykowi, przedstawicielowi najmniej zarośniętej rasy świata, nigdy nie udało mi się tego osiągnąć.

Na razie znalazłem sobie bezpieczną przystań w grupie koleżanek. Łatwo mi było okazywać żywe zainteresowanie ich aparycją czy tym, kto im się podoba, a ponieważ nigdy nie mogłem wyglądać tak jak one, nie stanowiłem konkurencji. Mogłem podpatrywać, jak flirtują, droczyć się z chłopakami i czasem nawet się z nimi całują. Należałem do ich paczki, a ponieważ przyjaźniłem się z tymi dziewczynami, chłopcy mniej mi dokuczali. Po co mieliby to robić, skoro miałem klucz do tego, co im się marzyło?

I Rachel, i Amy były pewne siebie i lubiane, ale ton naszej grupie nadawała Soul (to nie jest jej prawdziwe imię). Była jedną z najładniejszych dziewczyn w szkole. Inteligentna, śmiała, dowcipna i fajna. Mieszkała z mamą i dwójką młodszego rodzeństwa parę minut piechotą od szkoły, co ułatwiało wagary. Soul była mieszanej rasy pięknoscią i w moich oczach uosobieniem ideału. Jej nowoczesna mama nie kryła, że lubi sobie wypić, pobalować i robić mocny makijaż. W ich domu panowało wieczne lato – non stop goście, z otwartych okien płynęła głośna muzyka reggae i nie obowiązywały żadne reguły. Soul mogła podejmować decyzje jak dorosła, choć mieliśmy dopiero po trzynaście lat. Tak jakby jej mama z radością uznała, że wreszcie mogą być dla siebie najlepszymi przyjaciółkami.

Uwielbiałem dom Soul, choć większość ścian nosiła ślady alkoholowych balang, w ubikacji zawsze brakowało mydła i papieru toaletowego, a o mały zdziczały ogródek nikt nie dbał. Może dom należałoby dobrze przewietrzyć, ale było tam tak interesująco. Na mikrofalówce zawsze leżała otwarta paczka papierosów B&H, zawsze było towarzystwo, a brak zasad oznaczał, że mogliśmy udawać, że panujemy nad własnym życiem.

Jak większość nastolatków pilnie eksperymentowałem, robiłem to, co sprawiało, że czułem się dorosły. Od czasu do czasu próbowałem popalać marihuanę. Nigdy jej specjalnie nie lubiłem, bo wpadałem po niej w apatię i paranoję, ale jak inni to robili, to i ja czasem się przyłączałem. Piliśmy tani alkohol: Mad Dog 20/20 i Diamond White. Lubiałem to, że nabieram po nim odwagi i nie jestem taki skrępowany. Dorastałem blisko alkoholu, w restauracji zamawia się go do jedzenia, i choć w mojej rodzinie pije się mało, szybko się przyzwyczałem, że częścią mojego życia towarzyskiego są wypady na drinka z przyjaciółmi.

* * *

Im więcej przestawiałem z dziewczynami, tym bardziej cierpiały na tym moje wyniki w nauce. Zmieniłem podejście. Nie miałem już czasu na odrabianie lekcji. Często nawet samo chodzenie do szkoły wydawało się zbyt dużą fatygą. Nigdy nie byłem prymusem, ale do tej pory pilnie się uczyłem i miałem przeciętne stopnie. Poza tym moi dawni przyjaciele byli w większości zdolnymi uczniami i pomagali mi. O coś takiego nigdy nie mógłbym poprosić nowych koleżanek. Musiałem być wyluzowany – najbardziej wyluzowany na świecie – a prośba o pomoc by mnie zdemaskowała. Kiedy tak w trzeciej klasie zawałałem sprawdziany, kłamałem i się buntowałem, narobiłem sobie zaległości. Nauczyciele zaczęli się niepokoić.

Zawsze szanowałem dorosłych i nauczyciele nie byli wyjątkiem, ale w obliczu porażek mój stosunek do nich bardzo się zmienił. Brawura moich przyjaciół stała się zaraźliwa i nabrałem odwagi, żeby się odszczekiwać, choć dawniej siedziałbym cicho i posłusznie robił, co mi się każe. Nauczyciele już nie widzieli we mnie dobrze rokującego ucznia. Byłem hałaśliwym, rozwydrzonym chłopakiem, który przeszkadza w lekcjach i nie czeka na słowa zachęty. W głębi duszy nie znosiłem wkurzać nauczycieli – zawsze chciałem być akceptowany – ale zaczęło mi się podobać, że jestem w centrum uwagi, kiedy się źle zachowuję. Koledzy z klasy się śmiali i mnie podpuszczali. A kiedy się zaśmiewali z tego, co robię, nie śmiali się ze mnie – i byłem uratowany.

Uczyłem się trzymać swoją widownię w napięciu, zanim wymyśliłem dowcip i dochodziłem do celnej puenty. Czy robiłem sobie kpiny z nauczyciela, pyskowałem, czy zgrywałem głupka – wywoływałem śmiech i to sprawiało mi frajdę, jakiej wcześniej nie zaznałem. Dzięki temu czułem się akceptowany i potrzebny, daleki od dręczonego grubego brzydala, którym jak wiedziałem, naprawdę jestem. Znalazłem cel w swoim nowym życiu – zabawianie innych.

* * *

W trzeciej klasie wybrałem sobie zajęcia teatralne, bo to mogło mnie wyzwolić od wuefu, którego nadal szczerze nie znosiłem. Poza tym kabaretowe występy w klasie szły mi tak dobrze, że wydawało się to wyborem naturalnym i sądziłem, że mogę być w tym całkiem niezły. Na szczęście miałem rację. Bardzo szybko zajęcia teatralne stały się jedynymi, których nie zawałałem.

Odbywały się na scenie w szkolnym teatrze o pomalowanych na czarno ścianach, z ciemnymi kurtynami od sufitu do ziemi i z pełnym profesjonalnym wyposażeniem w reflektory i światła. Z tym miejscem wiążą się moje najlepsze wspomnienia z czasów szkolnych. Mie-

liśmy dość młodego nauczyciela. Nazywał się Steven Skidmore. Był pomysłowy, wyrozumiały i dowcipny. Jestem pewny, że gdyby moja seksualność była wtedy bardziej rozwinięta, tobym się w nim straszliwie zadurzył, ale na jego szczęście z przejęcia, że stoję na scenie, nie miałem ochoty na amory (tak jest ze mną do dziś!). Zajęcia z teatru były głównie praktyczne, więc nie było dobrych czy złych odpowiedzi, tak jak na matmie albo angielskim. Dostawaliśmy oceny za to, jak się zaprezentowaliśmy, na ile udało się nam przekazać emocje, i to mi się podobało. Ocena A – za smutek, A z plusem – za deprechę jak wszyscy diabli!

Awanturnicze zachowanie poza teatrem stało się moją, okupioną pewnymi wyrzutami sumienia, przyjemnością. Fajnie być wyluzowanym i trochę niegrzecznym chłopcem, ale wiedziałem, że wkrótce sprawię tym przykrość rodzicom. Ładowałem się w kłopoty i kiedy się o tym dowiedzą, w domu nie będzie już spokoju. W tej sytuacji teatr stał się dla mnie bezpieczną przystanią. Na zajęciach czułem się jak u siebie, mogłem sobie odpuścić i być sobą. Nie miałem oporów, by wyjść na scenę i grać. Nie bałem się, że wypowiadając swoje kwestie, wyjdę za bardzo na geja, i nie wstydzilem się mówić grupie, jak się czuję. To było jedyne miejsce na świecie, gdzie nie liczyły się moje opasłe, groteskowe kształty. Tu odnajdowałem wiarę w siebie i nie wstydzilem się swojego wyglądu. Tu liczył się bardziej mój charakter niż postać fizyczna.

Co roku z okazji świąt Bożego Narodzenia w szkole wystawiano jakiś spektakl. Zwykle bardzo ambitny, niektórzy mówili nawet, że zbyt ambitny jak na szkołę publiczną w naszej dzielnicy. (Pewnie lokalne władze sądziły, że jej absolwenci prędzej skończą jako podpalacze czy narkomani niż wschodzące gwiazdy scen czy ekranu. Mam zaszczyt być dowodem, że te łotry nie miały racji). Uczniowie pracowali przy oświetleniu, dekoracjach, projektowali kostiumy i grali w spektaklu. Tamtego roku nasza szkoła wystawiała *Prawdziwie dzikozachodni show*. Sztukę napisał i reżyserował pan Skidmore. Akcja miała miejsce – jak łatwo zgadnąć – na Dzikim Zachodzie w dawnych czasach; pełno tam było saloonów, spluwaczek, kowbojów i przerysowanej gry – szczególnie w wykonaniu niżej podpisanego. Dostałem rolę kaznodziei. To była świetna postać dla aktora. Hałaśliwy, zły i podstępny, nastawiony tylko na kantowanie swoich podopiecznych, choć tyle gada o Bogu. Dostałem dla siebie specjalną pieśń w stylu gospel – na wpół mówioną, z ciężkim środkowowschodnim akcentem, a na wpół wykrzychaną, jak z filmu *Blues Brothers*.

To była wielka chwila w moim życiu. To wtedy zakochałem się bez reszty w występach. Przebrany za kaznodzieję, zyskałem prawo do bycia kimś innym. Nie byłem samotnym, z trudem dającym sobie radę chłopakiem, nie byłem gruby, brzydki, szykanowany i nie byłem gejem... Byłem kaznodzieją i: „Alleluja! Żadna miłość na świecie nie pokrzyżuje planów dobremu Panu Bogu!!!”.

Bezpiecznie było ukryć się w tej roli przed kłopotami w szkole, swoją seksualnością, poczuciem winy wobec bliskich i strachem przed tym, że mogą nie być lubiani. Choć z moimi nowymi przyjaciółmi czułem się o wiele lepiej, nadal sporo mnie kosztowało zdobywanie aprobaty innych i nie do końca pasowało mi zgrywanie buntownika. Ale udział w przedstawieniu dał mi prawdziwe poczucie, że nie jestem sam. Należałem do zespołu.

Graliśmy przedstawienie przez trzy wieczory. To było niesamowite, te nerwy, napięcie, publiczność – kochanie, ten gok-tajl uderza do głowy! Stałem na scenie i wrzeszczałem, krzyczałem i śpiewałem z całego mojego tłustego serduszka. Zachwycona publika ochała i achiała

we właściwych momentach, a w połowie mojej pieśni po prostu wiła się ze śmiechu ubawiona moją parodią ewangelickich kazań. Złapałem bakcyła! Występy miały być moim nowym uzależnieniem, moją nową miłością – moim nowym jedzeniem! Chciałem ucztować tak co wieczór, raczyć się miłością, uwielbieniem, brawami i spełnieniem.

* * *

O ile *Prawdziwie dzikozachodni show* sprawił, że pokochałem światła rampy, o tyle przedstawienie w następnym roku pokazało mi jeszcze inną cechę mojego charakteru. Kiedy byłem w czwartej klasie, wystawiliśmy *Kopciuszka*, a ja dostałem rolę Dandinięgo, zniewieściałego towarzysza księcia. Dandini jest karykaturalny i arogancki. To krzykacz, który potrafi jednym zdaniem zmieszać z błotem każdego, kto mu wejdzie w paradę. Bez reszty się w nim zakochałem.

Dotąd zawsze wstydzilem się prawdziwego Dandinięgo, który we mnie tkwił, a tu nagle miałem go uwypuklić, zachowywać się skandalicznie i wcale nie jak chłopak. To było bardzo wyzwalające grać część swojej osobowości, którą z takim trudem ukrywałem, i pozwolić jej wyrwać się na zewnątrz, robiąc przesadne gesty i zabawnie drepcząc. Mój kostium składał się z białej koszuli, filuternie zarzuconej na szyję apaszki i czarno-białych spodni w groszki pożyczonych od Magdy z szóstej klasy.

Magda była nie z tej ziemi. Pojawiła się w Babington Community College, żeby zrobić maturę. Zakochałem się w niej jak w Dandiniem. Nikogo się nie bała, ogromna – nosiła rozmiar dwudziesty – pruć korytarzami i wszyscy musieli schodzić jej z drogi. Nie wstydziała się siebie i nie krępowało jej, jak ktoś się na nią gapił – farbowała włosy na rudo i nosiła jaskrawe, zwracające uwagę kolory. W naszym przedstawieniu grała złą macochę i śpiewała mocnym głosem, jakby to był Royal Albert Hall. Scena należała do niej i nie było takiej siły na świecie, która by jej mogła ją odebrać. Magda to moje pierwsze doświadczenie z kabaretem gejowskim. Podobnie jak drag queen była bystra i miała cięty język. Tak jakby myślała szybciej od innych. Jej wielka postać wypełniała scenę i moje serce do granic wytrzymałości. Była po prostu cudowna. Kiedy martwiłem się, że gram tak wyraźnie geja, patrzyłem na nią i myślałem: jeśli ona może, to mogę i ja! Tyle się od niej nauczyłem i jeśli czegoś żałuję, to tego, że za późno zdałem sobie z tego sprawę, aby jej za to podziękować.

Na szczęście widzowie pokochali Dandinięgo. Przypadł im do serca i wzruszał każdego z trzech wieczorów, kiedy się pojawiał. Uwielbiali jego dosadne uwagi i zaśmiewali się z jego skandalicznych zachowań, a kiedy księżę poślubił *Kopciuszka*, widzieli, że to złamało serce Dandiniem, i mu współczuli. Teraz, po dwudziestu latach, wiem, jak bardzo ważny jest w moim życiu Dandini. Gdy występuję dla tysięcy widzów albo nawet jestem w gronie najbliższych przyjaciół, on czasem powraca. Jest wrażliwy, lubi robić z siebie głupka, dopóki wyzdajecie sobie sprawę, że on też chce być kochany. Nie łudzi się, że księżę kiedykolwiek odwzajemni jego uczucie, ale to nie szkodzi, jeśli tylko Dandini zyska miłość publiczności. Nie jest idiotą, wie, że pasuje bardziej do roli sługi niż przystojnego, charyzmatycznego księcia, ale pociechą dla niego jest wyjątkowa więź z widownią.

* * *

Dzięki Dandiniemu i Magdzie zacząłem podchodzić spokojniej do swojej gejowskiej natury. Zaakceptowałem, że jestem gejem i że w pewnym momencie będę musiał coś z tym zrobić. Byłem też już wtedy przekonany, że potrafię grać na scenie. I zacząłem snuć marzenia, że może uda mi się zostać aktorem.

Występy na szkolnej scenie i na zajęciach teatralnych nie mogły mnie jednak do końca uratować. Miałem piętnaście lat i nie widziałem żadnego sensu w nauce. Ponieważ wyraźnie dałem do zrozumienia, że nie mam zamiaru się ugiąć i zabrać do roboty, w szkole doszli do wniosku, że szkoda ich i mojego czasu. Nauczyciele, zmęczeni moim podejściem do nauki i pyskowaniem, tracili cierpliwość do kolejnych wybryków oraz częstego opuszczania lekcji. Stwierdzili, że przypadek jest beznadziejny, i postawili na mnie krzyżyk. Kiedy zbliżały się letnie egzaminy, poprosili, bym odszedł ze szkoły, zanim miałem szansę do nich przystąpić. Lokalne władze uznały za dobry pomysł wysłanie mnie na „przedłużone praktyki zawodowe” do restauracji taty. (Nie wiem, co by zrobili, gdyby tata był bezrobotny – może wysłaliby mnie na „przedłużone praktyki korzystania z zasiłku”).

No i stało się. Zawaliłem naukę i wyszedłem ze szkoły bez żadnego wykształcenia. Znalazłem się na równi pochyłej. Przyszłość rysowała się w ciemnych barwach, mogły czekać mnie kolejne porażki, bieda i najpewniej różnego rodzaju uzależnienia. To nie był wcale mało prawdopodobny scenariusz. Na każdego ucznia takiego jak Oilen, która robiła postępy, poszła na uniwersytet, znalazła dobrą pracę i wyrwała się stąd, przypadało bardzo wielu takich, którzy nie dali rady. Niektóre dziewczyny zachodziły zbyt młodo w ciążę, niektóre kończyły jako narkomanki albo zadawały się z niewłaściwymi chłopakami, przez których marnowały sobie życie. Mnóstwo uczniów nie widziało dla siebie żadnych perspektyw.

Niewiele brakowało, abym do nich dołączył. Kwok-Lynowi udało się dostać do college’u, a mnie, z głową pełną marzeń i prawie kompletnym brakiem wiary w siebie, odesłano do restauracji. Kochałem mamę i tatę i byłem im wdzięczny, że dali mi życie, dach nad głową, a teraz pracę, ale Panda była ich marzeniem, nie moim. Nie lubiłem już tej restauracji. Zdominowała moje życie – bez reszty – a teraz musiałem w niej pracować w pełnym wymiarze godzin, bo powiedziano mi, że nie jestem dość bystry czy zdolny do dalszej nauki. Miałem zasilić statystyki jako jeszcze jeden młody człowiek skazany na program praktyk i powinienem być wdzięczny, że w ogóle mam pracę, bo dzięki temu nie muszę już chodzić do szkoły czy skończyć na ulicy.

Byłem bardzo nieszczęśliwy i dezorientowany. Jak mogłem tak strasznie zawalić? Nawet odrobinę żałowałem, że porzuciłem w trzeciej klasie dawnych przyjaciół. Może gdybym pozostał niekochany, prześladowany przez wszystkich, to pracowałbym pilnie i coś osiągnął. Przy najmniej miałbym problem z rozglądaniem się, co dalej. A teraz czułem się bezradny. Nie miałem wykształcenia, ze szkoły mnie wyrzucili, musiałem zostawić za sobą Dandiniego, ale moje uczucia wobec chłopców zdecydowanie nie były przelotne.

Nawet przed sobą samym bałem się przyznać, że jestem gejem, a co dopiero przed kimkolwiek innym. Przerazało mnie, że jak rodzina się dowie, to mnie potępi, a może nawet odrzuci. Ojciec pod wieloma względami był typowym Chińczykiem. A w tamtej kulturze w ogóle nie ma czegoś takiego jak homoseksualizm. O tym się nie mówi. To, że jestem gejem, mogło być dla niego wielkim wstydem. Czy nie uzna, że nie zasługuję już, aby należeć do rodziny? Nie byłem gotów na podjęcie takiego ryzyka. Rodzina to wszystko, co miałem. Nie potrafiłem nawet pomyśleć, co by było, gdybym nie mógł spodziewać się w razie potrzeby pomocy z jej strony. Moja seksualność pozostawała więc w ukryciu.

Ale coraz trudniej przychodziło mi nie zdradzić się ze swoją „mroczną tajemnicą”, bo zaczęły się prawdziwie dorosłe fascynacje. Pierwsze wielkie zauroczenie przeżyłem w wieku trzynastu lat. Dotyczyło jednego z kelnerów w restauracji taty – mówiono o nim „Niebieskooki”. Miał jakieś dwadzieścia pięć lat. Wysoki blondyn. Jeden z najseksowniejszych facetów, jakich w życiu widziałem. Był fanatykiem fitnessu, przejeżdżał też setki kilometrów tygodniowo rowerem w drodze do pracy. Zupełnie oszalałem na punkcie Niebieskookiego. Miał muskularne, dojrzałe ciało, mocno zaznaczone kości policzkowe, męską linię szczęki i miękko opadające włosy z naturalnymi miodowymi przebłyskami. Kiedy uśmiechał się do mnie zawiadaczko jak chłopiec, czułem się najszcześniejszy na świecie.

Niebieskooki docierał co wieczór do restauracji zgrzany i zarumieniony od swojego kolarskiego Tour de Leicester. W toalecie dla gości przebierał się z wilgotnego od potu stroju w ubiór do pracy – białą koszulę, smokingowe spodnie i czarną muszkę. Można się było założyć, że będę czatował na niego w łazience, by podejrzeć choć odrobinę, jak się rozbiera. Jestem całkiem pewny, że on wiedział, co robię. Ale choć miał dziewczynę i było mu z nią dobrze, nigdy nie kazał mi wyjść. I jestem przekonany, że czasami stał chwilę dłużej w samych slipach, aby sprawić przyjemność moim hormonom. Ryzykowałem, ale pokusa była nie do odparcia, i wykombinowałem sobie, że w razie wpadki jakoś się z tego wytłumaczę. Na moje szczęście nasze codzienne randki o siedemnastej nigdy nie wyszły na jaw. A także nie rozwinęły się w nic ponad rozpalanie mojej wyobraźni.

Jedzenie nadal dominowało w moim życiu i było dla mnie wielką przyjemnością. Miałem ogromny apetyt i go zaspokajałem. Praca w restauracji oznaczała, że jedzenie stałe było w zasięgu ręki, więc jadłem bez przerwy. Teraz, kiedy nie chodziłem już do szkoły, moja aktywność fizyczna spadła jeszcze bardziej, ale nie mogłem przestać się opychać. To był mój narkotyk i stale się nim szprycowałem. Zapełniał mi godziny nudy i dawał krótkotrwałe poczucie szczęścia. Przybierałem na wadze i moja tusza stała się kwestią pierwszoplanową. Brzydziłem się swojego wyglądu i nawet branie prysznicza sprawiało mi przykrość i wywoływało zażenowanie. Nim się rozebrałem, puszczałem gorącą wodę przez przynajmniej dziesięć minut, by lustra w łazience zaszły parą i żebym przypadkiem nie zobaczył w nich odbicia swojego opasłego ciała. Do tej pory mam ten nawyk. Jak mógłbym się spodobać Niebieskookiemu czy komukolwiek innemu, jeśli sam nie mogłem na siebie patrzeć? Ale nie miałem pojęcia, jak poradzić sobie z problemem tuszy, a nawet czy naprawdę chciałbym to zrobić. Bo przecież jedzenie było dla mnie jedyną pociechą.

Mijały miesiące. Coraz bardziej niecierpliwiła mnie i męczyła moja sytuacja. Miałem dość pracy we wszystkie wieczory i weekendy i nawet moje bardzo dorosłe myśli o Niebieskookim nie mogły tego zrównoważyć. Czułem się tak, jakby moje życie się skończyło, a miałem nadal

zaledwie piętnaście lat.

Postanowiłem coś ze sobą zrobić. Wiedziałem, że restauracja nigdy nie zaspokoi moich ambicji, więc zacząłem się rozglądać za czymś, co by mi odpowiadało. Wertowałem ogłoszenia drobne w lokalnej gazecie w poszukiwaniu pracy. W głębi serca marzył mi się anons w rodzaju: potrzebny zdolny młody aktor gej do nowego przedstawienia, wymagana gotowość do wyjazdu w trasę dookoła świata. Ale szpalta za szpaltą trafiałem tylko na oferty dla pomocy domowych i sprzedawców. Od czasu do czasu zdarzało się też coś dla pracowników wykwalifikowanych w dziedzinach całkiem mi obcych.

Gdy miałem szesnaście lat, postanowiłem wypróbować parę opcji i wkrótce doczekałem się pierwszego dnia pracy w firmie wstawiającej podwójne szyby w oknach. Niewielkie biuro było zbudowane – wierzcie albo nie wierzcie – z PVC. Stało tam sześć czy siedem biur, każde złowieszczo wyposażone w telefon i miejscową książkę telefoniczną. Po drugiej stronie ustawiono stolik dla szefa ekipy, a obok, na ścianie, wisiał „dzwonek udanej sprzedaży”. Pokój był sterylny i biały, zimny, bezduszny, tak jakby skonstruowano go na wzór przerośniętej trumny na skazane tu na śmierć marzenia, nadzieje i śmiech.

Po poranku nauki, jak nie zadawać „zamkniętych” pytań, opanowaniu cennika i przećwiczeniu standardowych powitań chwyciliśmy za słuchawki. Uzbrojeni w spisy numerów telefonów, marząc o dźwięku dzwonka, posuwaliśmy się numer po numerze.

Z każdym kolejnym telefonem umierała maleńka cząstka mnie. Nienawidziłem tego zajęcia – było niewdzięczne, nudne, zmuszające do powtarzania w kółko tego samego, a stałe „nie” i „odpieprz się” rujnowały moją i tak chybotliwą pewność siebie. Od swojego biurka popatrywałem na majaczący w oddali dzwonek i myślałem: nic mnie to nie obchodzi, nie znoszę podwójnych szyb, nie wiem, na co to PVC – ale dźwięk tego dzwonka byłby jak orgazm i przez kilka tygodni bardzo się starałem.

Po miesiącu nie byłem już w stanie znosić tego dłużej. Pokonany, pełen wstydu, opuściłem zespół PVC, by szukać czegoś lepszego. I nigdy nie udało mi się sprawić, żeby zadzwieczał ten cholerny dzwonek.

Tymczasem przyjaciel taty otworzył małą knajpkę tuż pod miastem – będę ją tu nazywał Piekiełkiem, a jego wujkiem A. Tata namówił wujka A, żeby wziął mnie na próbę, bo mam wieloletnie doświadczenie w pracy w restauracji i dobre podejście do gości.

Piekiełko było małym lokalem o tanim wystroju. Miało stoliki nakryte ceratą w czerwono-białą kratkę i niewyszukane menu. Osiedle kameralne. Poza piekarnią knajpka nie miała konkurencji. Zacząłem tam pracować i szybko się przekonałem, jakie miałem szczęście, kiedy pomagałem w restauracji taty. Jego goście byli weseli i znajomi, uprzejmi, doceniali starania i pamiętali, jak mam na imię – uświadomiłem sobie, że pod wieloma względami stali się dla mnie jak przyszywana rodzina.

W Piekiełku było zupełnie, ale to zupełnie inaczej. Goście byli opryskliwi, niewdzięczni i trzymali się na dystans. Nie mieli ochoty wdawać się w rozmowy i nie interesowało ich, co myślę. Chcieli tylko, żeby zostawić ich w spokoju nad zapiekаныmi ziemniakami i kawałkami nędznego kupnego ciasta.

Wujek A poślubił białą kobietę, ciocię A. Była ładna, młodsza od mamy i paliła. Obsługiwała stoliki razem ze mną, a jej mąż zajmował się przyrządzaniem potraw w kuchni. W trójkę spędzaliśmy całe dni na podawaniu, smażeniu, krojeniu i wycieraniu w Piekiełku. To było

monotonne i nudne, a na domiar tej męki ciocia A miała słabość do zespołu Shakatak i z nikim się nie liczyła. Upierała się, żeby puszczać w kółko tę samą płytę (pewnie jedyną, jaką wydali), raz za razem, na pełny regulator, przez cały pieprzony dzień! Kołysząc biodrami, krążyła po knajpce w nylonowym fartuchu, przecierała stoliki i zbierała naczynia, podśpiewując do wtóru temu pieprzonemu Shakatak! To było tak, jakby moja głowa uwięzła w windzie z natrętną muzyczką albo jak jakieś przemyślne tortury dla jeńców wojennych. Ubrania prześmiardły mi tanim bekonem, a ręce były spierzchnięte i spękane od stałego zmywania. W głowie mi się mieszało i miałem świdrujące szумы w uszach. Piekiełko uświadomiło mi, że za nic na świecie nie chcę takiej egzystencji, więc po kilku tygodniach poprosiłem tatę, aby mnie jakoś usprawiedliwił, i wróciłem do jego restauracji z podkulonym ogonem i trwałą alergią na Shakatak.

Rozpaczliwie się zastanawiałem, co robić, żeby nie przespać swojego życia. Znów pracowałem w pełnym wymiarze godzin i znów jak w błędnym kole pociechę i radość dawało mi tylko jedzenie, ale sprawiało, że byłem gruby i zdołowany, a żeby poprawić sobie samopoczucie – jadłem. Jedyne, co mi chodziło po głowie, to marzenie, aby zostać aktorem. Oglądałem filmy i fantazjowałem, że pewnego dnia stanę się przystojnym odtwórcą głównych ról. Wmówiłem sobie, że gdybym tylko miał szansę występować – a to jedyna rzecz, w jakiej jestem dobry – to nagle zrobiłbym się szczupły i przystojny. I wtedy nie będzie już miało znaczenia, czy jestem gejem, bo w artystycznych kręgach wszyscy faceci to geje, oni przecież zajmują się sztuką. To było moje jedyne pragnienie. Wydawało mi się, że tylko w ten sposób mogę zaznać choć odrobinę szczęścia.

Ale musiałem znaleźć sposób na zrealizowanie swojego marzenia.

Mamy poridź z przegrzebkami

Składniki

szklanka długoziarnistego pachnącego ryżu

3 cienkie plastry surowego korzenia imbiru

łodyga/liść konserwowej rzepy

około 1,8 litra zimnej wody

6 suszonych przegrzebków (namoczonych uprzednio w gorącej wodzie i połamanych po zmięknięciu na kawałki – zachowaj płyn z namoczenia!)

sos sojowy

Sposób przygotowania

Płucz ryż w zimnej wodzie, aż będzie czysta. Odcedź. Wsyp do garnka, zalej 1,4 litra wody. Zagotuj. Kiedy woda zacznie wrzeć, dodaj imbir, kawałki przegrzebków, rzepę i wodę z namoczenia przegrzebków. Gotuj na małym ogniu 45-60 minut, aż ryż nabierze konsystencji gęstej papki. Dodaj wody, jeśli wolisz mniej zwartą wersję. Możesz też dodać mniej wody na początku i w miarę gotowania dolewać, by osiągnąć gęstość, jaką lubisz. Podawaj w dużej misce z sosem sojowym do smaku. Ostrzeżenie: wygląda jak klej do tapety, ale smakuje jak rodzinna miłość.

Przepis: mama Wan

Praca w restauracji rodziców i knajpce wuja oraz próby sprzedawania podwójnych szyb doprowadziły mnie na skraj rozpacz. Choć miałem uraz do szkoły, wiedziałem, że muszę dorosnąć i przestać się bać porażki. Użyłem więc swoich pałeczek desperacji, pogrzebałem nimi w sobie i wydobyłem dość odwagi, by zastanowić się nad kontynuowaniem edukacji. Ale tym razem to ja miałem wszystkim pokierować.

* * *

Kiedy po raz pierwszy przekroczyłem próg Charles Keene College w Leicesterze, nie miałem pojęcia, czego się spodziewać. Byłem zdenerwowany i speszony, ale wiedziałem, że muszę to zrobić, jeśli mam kiedykolwiek zostać aktorem. Nie brakowało mi zapału, tylko umiejętności i pewności siebie, musiałem więc wyruszyć w poszukiwaniu szans na spełnienie swoich marzeń. Pierwszym krokiem było zapisanie się do college'u.

Szedłem przez dziedziniec przy wejściu do studia tanecznego w przybudówce, a w głowie roiło mi się od pytań. Czy nauczyciele będą tacy jak w szkole? Czy im się spodobam? Czy powiedzą mi, że jestem za gruby, aby dostać się na kurs? Czy stwierdzą, że jestem za bardzo gejowaty? Czy będę musiał nosić mundurek? Cholera, a gdzie ja kupię mundurek, który by na mnie pasował?

W college'u zajęcia teatralne prowadziła Deane McQueen. Choreografka, aktorka, specjalistka od sztuki występów scenicznych. Wkrótce stała się najważniejszą osobą w moim życiu. Z wyglądu nie przypominała nikogo, kogo znałem. Ubierała się wielowarstwowo ni to w damskie, ni to w męskie dzianiny, miała szpakowate włosy, krótko ostrzyżone po bokach i postawione na czubku głowy. Zawsze była mocno umalowana, ze staranną czarną kreską i ciemnym cieniem wokół oczu. Uosobienie wdzięku i energii. Często porywcza i wymagająca, była zarazem ciepła i dominująca i miała zniewalającą wiarę w swoich uczniów – naprawdę uważała, że jej podopieczni mają wszystko co trzeba, żeby zaistnieć w zawodzie.

Na pierwsze spotkanie z Deane szedłem wystraszony, kompletnie pozbawiony pewności siebie. Stałem przed jej biurkiem i opowiadałem, jak to wywalili mnie ze szkoły i nie zdobyłem żadnych kwalifikacji i jak po wielu prowadzących donikąd próbach podjęcia pracy postanowiłem pójść za marzeniem, którym jest dla mnie zostanie aktorem. Nie potrafiłem spojrzeć jej w oczy, pochyliłem głowę, zbyt zawstydzony sobą, żeby ją unieść. Niepokój i smutekomal mnie nie pokonały – gdybym umiał się na to zdobyć, obróciłbym się na pięcie i wyszedł.

Ale prawda była taka, że nie miałem już dokąd iść. Zawaliłem prawie wszystko w swoim życiu i wpadłem w paranoję, że będzie się tak działo nadal, choćbym nie wiem jak się starał. Nie tylko nie miałem pojęcia, kim jestem, ale i nie wiedziałem, kim mógłbym być. Przez lata mówiono mi, że jestem głupi, brzydki i wstrętny, i nawet kiedy dokonałem swojej przemiany,

czułem, że stale muszę kogoś udawać, by przetrwać. Ten hałaśliwy, okropny osobnik sprawił, że wyleciałem ze szkoły. Przyjaciół, których zabawiałem niczym klasowy błazen, nie było już przy mnie, żeby mi przyklaskiwać. Czuję się nic niewart. Zgłoszenie się do Charles Keene College to było moje wołanie o pomoc.

Deane mnie wysłuchała, a potem stwierdziła, że według niej najbardziej odpowiedni dla mnie byłby kurs pierwszego stopnia BTEC, prowadzony przez Liz Valentine, niegdyś świetną tancerkę. Był to roczny program łączący zajęcia z aktorstwa, tańca i muzyki, rozszerzony o teorię teatru, w tym zarządzanie. Kiedy mi to wyjaśniała, stałem jak osłupiały. Zakres zajęć wydawał się niesamowicie ambitny. Jak ja, gruby, głupi chłopak, mógłbym opanować tyle przedmiotów w jeden rok? Gra to jedno, ale zarządzanie i taniec?!

Ale pomimo strachu było jakoś inaczej. Ten mój lęk był ekscytujący. W pewien sposób od razu zaufałem Deane. Nawet wtedy, podczas pierwszej rozmowy, potraktowała mnie, jak nikt inny do tej pory. Tak jakby wiedziała, że mam do zaoferowania coś więcej niż tylko roznoszenie dań albo proponowanie podwójnych szyb. Słuchała tego, co mówię, i im bardziej byłem szczery, z tym większym przekonaniem zapraszała mnie do swojego świata. Nie wstydziłem się przyznać, że się boję i że zawałem szkołę z własnej winy. Widziała, że jestem zdesperowany, i zamiast się śmiać albo mnie odrzucić, słuchała i wydawało się, że rozumie.

Po wyjściu z jej gabinetu poczułem wielką ulgę. Usiadłem pod studium tanecznym i się rozpłakałem.

A mimo to gdy dochodziłem do domu, byłem pewien, że znów dałem plamę. Czemu Deane miałyby znaleźć miejsce dla nieśmiałego grubego Chińczyka, który tak strasznie namieszał sobie w życiu? Przywykłem do przykrych niespodzianek, do tego, że nic się nie układa, dlatego teraz miałyby być inaczej?

Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że Deane od razu zdecydowała się mnie przyjąć. Kilka dni później, zdumiony i zachwycony, znalazłem w skrzynce pocztowej list. Dostałem się na kurs! Mama i tata byli ze mnie dumni. Zostałem oficjalnie przyjęty do college'u! Ogarnął mnie strach zmieszany z podnieceniem, a jednocześnie poczułem się dorosły i bardziej optymistycznie spojrzałem w przyszłość. Mimo wszystko coś osiągnąłem, nawet jeśli to było tylko miejsce na kursie pierwszego stopnia BTEC.

* * *

Zacząłem tuż po skończeniu siedemnastu lat, we wrześniu 1992 roku. Dzień po dniu staraliśmy się dowieść, że zasługujemy na zdobyte miejsca na kursie. Odgrywaliśmy różne role, tańczyliśmy, muzykowaliśmy, aranżowaliśmy scenę i mieliśmy lekcje z teorii. W kilka dni zorientowałem się, że to kurs w sam raz dla mnie. To, czego mnie uczyli, pozwalało mi rozwinąć skrzydła. Nauka była fantastycznym doświadczeniem. Jak gąbka chłonałem wszystko, co mi przekazywali. Codziennie czekało mnie mnóstwo zajęć i dopiero po kilku tygodniach przywykłem do takiego rytmu, ale czułem się świetnie. Miałem dokąd iść każdego dnia.

W college'u było zupełnie inaczej niż w szkole. Mogliśmy palić w stołówce i sami organizowaliśmy sobie czas, a moi koledzy z grupy mieli bardzo różne talenty i umiejętności. Niektórzy byli tancerzami i marzyli o występach z baletem Rambert, inni chcieli reżyserować, zajmować się stroną techniczną przedstawień albo zarządzaniem teatrem i pracować w Hay-

market Theatre w Leicesterze. Niektórzy, uzdolnieni muzycznie, potrafili grać prawie na każdym instrumencie, a inni, jak ja, byli aktorami.

Prawdziwie dzikozachodni show należał do przeszłości. Kaznodzieja i Dandini nie byli już potrzebni, bo porywałem się na coś większego i lepszego. Odniosłem sukces na kursie, interpretując role z Pintera, Czechowa, Ortona i Osborne'a. Głowa pękała mi od natłoku informacji – to było dla mnie naprawdę niesamowicie ciekawe. Improwizowałem, płakałem, śmiałem się i myślałem bardziej intensywnie niż kiedykolwiek dotąd. Zacząłem kontrolować, jak mówię i jakiego języka używam, i było tak, jakbym po raz pierwszy zaczął właściwie oddychać. Słuchałem, jak inni analizują teksty, i nie mogłem wyjść z podziwu, że wszyscy jesteśmy tacy interesujący, wyjątkowi, że każdy ma własne zdanie. Zrobiłem się bardziej ufny wobec otoczenia i zacząłem nawiązywać przyjaźnie.

Również lekcje tańca były znośne, a nawet przyjemne. Moje ciało zaczęło poruszać się inaczej. Już nie dźwigałem się ciężko z miejsca na miejsce z zażenowaniem, jakbym musiał przeproszać, że żyję. Nagle zacząłem być świadomy swojej przestrzeni. Wiedziałem, że nigdy nie będę drugim Nuriejewem, ale to mi nie przeszkadzało. Biegałem po studiu w podskokach, brykałem, fikałem koziołki – raz nawet próbowałem zrobić przewrót do tyłu! Po raz pierwszy nie miało znaczenia, że jestem grubszy od innych, tak naprawdę pod pewnymi względami to mi dawało fory. Mogłem wykorzystać swoje gabaryty do zwrócenia na siebie uwagi na scenie. Kto by przegapił takiego grubasa, a w dodatku Chińczyka – który pojawia się i nie odpuszcza.

Ironia losu polegała na tym, że im więcej występowałem i tańczyłem, tym byłem chudszy. Takie niby nic, a jednak dość, żeby pozwolić sobie na kanapkę z podwójną kiełbaską podczas każdej przerwy na lunch. Koledzy mnie nie przezywali, nie wytykali mnie palcami, nie dogryzali mi ani nie dokuczali – lubili mnie. I po raz pierwszy w życiu wiedziałem, że to nie z powodu roli, jaką odgrywam.

Chodziło o prawdziwego mnie.

Im bardziej w siebie wierzyłem, tym bardziej byłem szczęśliwy. Nadal w weekendy pracowałem dla mamy i taty, ale czułem się spełniony, bo nie skupiałem się już tylko na restauracji. Wiedziałem, że to tymczasowe zajęcie, kiedy zdobywam umiejętności, które pozwolą mi dołączyć do grona wschodzących gwiazd na krajowej arenie. Zapomniałem, jak okrutnie dręczyli mnie koledzy w szkole, już nie byłem nieudacznikiem i nawet zaczynałem akceptować to, że jestem gejem, że to też część mojej osobowości.

* * *

Podjąłem trudną decyzję, że powiem Oilen o swoich skłonnościach. Bałem się, ale czułem, że jej mogę zaufać. Siostra studiowała już wtedy na uniwersytecie. Wynajmowała z kilkoma koleżankami mieszkanie w Hendon, więc wybrałem się do niej. Miałem na sobie kamizelkę w czarno-czerwonej kratę, która na zawsze już kojarzy mi się z tamtą ważną chwilą.

Nie wiem, czego oczekiwałem, ale tak bardzo nabiłem sobie tym głowę, że właściwie spodziewałem się jakichś fajerwerków, kiedy złożę swoje przełomowe oświadczenie.

Usadziłem Oilen i z bijącym sercem i spoconymi dłońmi popatrzyłem jej w oczy.

– Myślę, że jestem gejem – powiedziałem.

– Przecież wiem – odparła, jakby nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia.

Stwierdziła, że zawsze się tego domyślała, już w czasach Goka-baleriny, i że nie jest to dla niej żadne zaskoczenie. Później przyznała, że to ją martwiło, bo wiedziała, że przez to będzie mi w życiu o wiele trudniej.

W tym momencie może i byłem rozczarowany, ale mimo wszystko bardzo mi ulżyło, że mam kogoś, kto wie. Oilen stała się moją powiernicą. Niedługo potem powiedziałem i Kwok-Lynowi. Ogromnie pomogło mi to, że ani brat, ani siostra w najmniejszym stopniu nie zmienili stosunku do mnie. Ale nie byłem pewien, jak mam zabrać się do wyjawienia prawdy innym.

Na kursach było dwóch innych gejów. Z niczym się nie kryli i najwyraźniej świetnie się czuli we własnej skórze. Andrew był wysoki, pryszczaty i genialnie twórczy. Ubierał się na luzie, a jego ciuchy wyglądały tak, jakby warto je było uprać, ale on nie dbał o takie drobiazgi, bo zajmował się znacznie bardziej wzniosłymi sprawami, jak instalacje artystyczne czy semiotyka. Fergus był tancerzem, robił skoki szpagatowe, aby wyrazić rozpacz czy frustrację, a jego skręcone w dredy włosy tylko fruwały po studiu. Chodziły słuchy, że jest biseksem. Cudownie było mieć w swoim otoczeniu kogoś, kto zaakceptował swoją seksualność. Im więcej widziałem, tym bardziej frapowało mnie, co to naprawdę znaczy być gejem.

Tak długo skrywałem swoje skłonności, że nauczyłem się unikać wszelkich rozmów o dziewczynach i seksie. Ale w college'u czułem się swobodnie i wiedziałem, że koledzy nie potępiają mnie ani nie odrzucą za to, kim jestem.

Byłem gotów się przyznać, ale nie miałem pojęcia jak.

Oczywiście trzymałem się z grupą dziewczyn z kursu, razem paliliśmy w stołówce, dyskutowaliśmy o przedstawieniach, plotkowaliśmy i – oczywiście – one gadały o chłopakach. Zawsze kiedy poruszały ten temat, czerwieniłem się jak piwonia z zażenowania i pospiesznie się ulatniałem pod byle jakim pretekstem (zwykle nieprzepartej potrzeby kupienia kolejnej buły z podwójną kiełbaską). To było nieznośnie upokarzające, bo najczęściej one mnie testowały, sprawdzały, czy zwyczajnie przyznam, że jestem wielką grubą ciotą. One wiedziały. I ja wiedziałem, że one wiedzą!

Pewnego dnia siedzieliśmy sobie, czekając na zajęcia z tańca, i jedna z dziewczyn zaczęła mówić, który chłopak wydaje się jej najfajniejszy na naszym kursie. Na samą wzmiankę o tym wpadłem w panikę, że i mnie zapytają, co myślę, ale jednocześnie nie potrafiłem oderwać się od słuchania tej rozmowy. Większość zgodziła się, że to biseksualny Fergus, ale jedna dziewczyna powiedziała, że jej raczej podoba się Dylan, wysoki blondyn, fan Donovana. Coś mnie napadło i zamiast spieć raka i polecieć do kantyny, powiedziałem nieco skrzekliwym z nerwów głosem:

– Ja też myślę, że Dylan, ale mógłby trochę bardziej zadbać o czystość paznokci!

Od razu miałem chęć spruć się po pysku i błagać, żeby ktoś dołożył mi krzesłem – co ja, do cholery, wyczyniam? Rozmowa utknęła w miejscu i zapadło potworne, pełne napięcia milczenie. Poczulem, że się czerwienię, ale ku mojemu własnemu zaskoczeniu nie ze wstydu, ale z emocji. Wbiłem wzrok w podłogę. Wydawało się, że minął cały dzień, nim odezwała się wreszcie jedna z dziewczyn:

– Dylan jest fajny, ale pozuje na jakiegoś pieprzonego hipisa, choć jego rodzice mieszkają w niezłej rezydencji. Wiem też, że to chrześcijanie wierzący w powtórne narodzenie i że głosują na torysów!

W tym momencie wszyscy zaczęliśmy pokładać się ze śmiechu i nie mogliśmy się uspokoić,

dopóki nie zawołali nas na zajęcia.

Przynajmniej wreszcie się przyznałem. Nie było tak strasznie, nikt nie umarł i nie straciłem nikogo z przyjaciół. Wszystkie te lata paniki, frustracji i sekretów rozplynęły się w ułamku sekundy. Poczułem się wyzwolony. Od tej chwili już się nie obwiniałem, kiedy jakiś chłopak wpadł mi w oko. Mogłem dołączyć do wszystkich rozmów dziewczyn i zrobiłem krok naprzód w kierunku szczęścia.

Miałem siedemnaście lat, byłem gruby i jak nowo narodzony!

Miesiące mijały jeden po drugim i szybko zbliżałem się do końca kursu. Miałem szansę na najwyższe oceny – nieźle jak na odrzut ze szkoły piękności – i Deane chciała, żebym się zapisał na dwuletnie kursy wyższego stopnia.

Nie mogłem wprost uwierzyć, że idzie mi tak dobrze. Ten sukces i ujawnienie się przed koleżankami z college'u sprawiły, że moja wiara w siebie poszybowała w górę. Postanowiłem, że skończę następny kurs i postaram się dostać do szkoły teatralnej w Londynie, co byłoby kolejnym krokiem w kierunku zaspokojenia moich wielkich ambicji, żeby zostać aktorem.

Czegoś takiego nie mógłbym nawet brać pod uwagę dwanaście miesięcy temu, kiedy przyszedłem do college'u kompletnie załamany, ale teraz miałem dość siły, aby rozważać perspektywę studiów w szkole teatralnej. To była wielka frajda wiedzieć, że jestem w czymś dobrym i że to może mi przynieść sławę i pieniądze. Wyobrażałem sobie, jak by to było mieszkać w wielkim apartamencie na Park Lane, jadać w świetnych restauracjach na londyńskim West Endzie i obracać się w interesujących kręgach artystycznych.

Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie wyrwę się z domu. Znudził mnie Leicester. Zawsze przypominał mi o tych nieszczęsnych czasach szkolnych. Ogromnie chciałem uciec gdzieś, gdzie mógłbym być kimś innym. Na widok Big Bena w wiadomościach o dwudziestej drugiej czułem dreszczyk emocji, marzyłem o dniu, kiedy będę należał do magicznego świata, jaki miał do zaoferowania Londyn.

Bo oczywiście to tam chciałem się znaleźć. Wiedziałem, że to stolica szans, gdzie wszystko jest możliwe. To tam mieszkają słynni aktorzy. Tam czytają scenariusze i uczą się swoich kwestii, śmieją się, rozmawiają. Są tacy cudowni. To w Londynie aktorzy znajdują uwielbienie i szczęście, bo tam rozumie się ich powołanie. Ludzie lubią aktorów, a to znaczyło, że polubią i mnie, bo ja zostanę aktorem, kochanie! Czekać no, Henry Higginsie, czekać no...

Takie myśli dominowały w mojej głowie i mobilizowały mnie do starań o dobre wyniki w college'u. Pozwoliłem sobie na marzenia i byłem pewien, że jak ciężko popracuję, to mogę je spełnić.

* * *

Ostatni semestr dobiegał końca, złożyliśmy już nawet prace pisemne. Dziewczyny i ja postanowiliśmy wybrać się do miasta na drinka, żeby to uczcić. Przed południem mieliśmy lekcje tańca, więc byliśmy w odpowiednich do tych zajęć strojach, kiedy tak gadaliśmy i szliśmy spacerem do centrum. Miałem na sobie czerwone polo, granatowe spodnie od dresu i czerwone sportowe buty Reeboka – strój, który miał mnie przenieść na nowy etap życia.

Panował duży ruch, może dlatego, że tego dnia wypłacano zasiłki. Ludzie spieszyli każdy

w swoją stronę albo czekali na autobusy obładowani zakupami, a bezrobotna młodzież wałęsała się bez celu lub okupowała ławki. Zmierzaliśmy do dobrze znanego nam pubu, gdzie obsługiwano każdego, bo niektóre dziewczyny miały dopiero siedemnaście lat.

Śmiejąc się i żartując, mijaliśmy właśnie Sainsbury's przy Gallowtree Gate. Kiedy zbliżyliśmy się do wielkiego pomarańczowego napisu, poczułem dziwny niepokój.

Jakieś dziesięć metrów od nas stała grupa chłopaków, najstarszy mógł mieć dwadzieścia jeden lat. Było ich z ośmiu, wszyscy ubrani jednakowo, w białe spodnie od dresów i luźne bluzy z kapturami. Gapili się na mnie, kiedy się zbliżałem, i instynkt mi podpowiadał, że coś jest nie tak. Dziewczyny nic nie zauważyły i beztrosko pruły naprzód. Dalej śmiały się i gadały. Mnie ogarnęło przerażenie, ale było za późno, żeby się zatrzymać albo zawrócić. Mogłem tylko iść dalej, choć znalazłem się teraz za naszą grupą, właściwie zupełnie sam. Serce zaczęło mi walić, zrobiło mi się niedobrze, ścisnęło mi gardło i żołądek. Tamci musieli dostrzec strach na mojej twarzy, zwarli szereg i ruszyli na mnie ze złowieszczymi uśmieszkami. Krew uderzyła mi do głowy, wpadłem w panikę, ale nie mogłem wykrztusić słowa ani zawołać dziewczyn, które szły dalej. W kilka sekund mnie otoczyli, najstarszy doskoczył bardzo blisko, jego twarz prawie dotykała mojej. Cały zmartwiałem ze strachu. Napierał na mnie – popychał, dociskał, onieśmielał. W oczach prześladowcy zobaczyłem nienawiść, a jego usta to widok, którego nigdy nie zapomnę – zaciśnięte wargi na pożółkłych zębach. Jego afro było poskręcane w małe dredy, a oddech cuchnął narkotykami i dymem papierosowym.

Chciałem się obrócić i uciec, ale nie mogłem. Moje bezradne grube ciało było jak sparalizowane. Odepchnął mnie piersią, a potem jak jakiś King Kong uderzał się pięściami w klatkę piersiową.

– No co, kurwa! Ty pierdolona cioto! Myślisz, że jesteś taki wielki? Chodź, damy ci wy-cisk, ty pierdolony zboku!

Kiedy to powiedział, zaczął się uśmiechać. Wiedział, że ma nade mną pełną władzę. Twarz mnie paliła, a w gardle tak mi zaschło, jakbym nigdy nie miał w nim kropli wody. Oczy zaszczyły mi łzami, a wargi zaczęły drżeć ze strachu. Wyciągnął ręce i znów mnie popchnął. Zachwiałem się, ale zdołałem utrzymać równowagę. Nie spuszczałem z niego wzroku. Zrobił jeden krok do mnie, aż oparł się nosem o mój policzek, i warknął:

– Jak jeszcze raz zobaczę na mieście twoją brudną pedalską gębę, to cię, kurwa, zabiję. Zrozumiano?

Nic nie powiedziałem.

– Zadałem ci pytanie, ty dupku, odpowiadaj! – wrzasnął, ale ja nie byłem w stanie wykrztusić słowa.

Szczęka mi opadła, jak nie moja. W głowie miałem pustkę, a serce biło tak szybko, że myślałem, że wyfrunie mi z piersi. Wkurzony i jeszcze bardziej wściekły, sięgnął do kieszeni bluzy i wziął do ręki coś w kształcie noża. Poruszając tym i cofając się, jeszcze raz warknął:

– Pieprzony pedalino... Zabiję cię.

Kiedy odchodzili, spluwając, rechocząc i gratulując sobie nawzajem, zostałem zupełnie sam. Wróciły wspomnienia z czasów, kiedy byłem przedmiotem nienawiści i prześladowań. Poczułem się bezradny i przerażony. Nie chciałem, żeby spotykało mnie coś takiego. Co zrobiłem nie tak? Dlaczego chciał mnie zabić? Czy ten gang wiedział o czymś, czego ja nie wiedziałem? Byłem w potwornym szoku, po moim policzku spłynęła łza upokorzenia. Cały się

trząsałem. Czułem się wykorzystany, pobity, załamany i nic niewart. Jak wtedy, kiedy miałem trzynaście lat, ale to nie były już złości i kpiny jak w szkole, to było coś, o czym słyszy się w wiadomościach albo co widuje się w kinie. I to właśnie mi się zdarzyło.

Moje przyjaciółki nic nie zauważyły, a kiedy je dogoniłem i opowiedziałem, co się stało, nie mogły uwierzyć, że się nie zorientowały. Widziały, że jestem wstrząśnięty, bo byłem błądy jak chusta. Obejmowały mnie, zmieszane. Czuły się trochę winne. Już nie panikowałem, ale przeraźliwe poczucie zagrożenia nie mijało i chciałem jak najszybciej wydostać się z centrum, wrócić do domu.

Zadzwoiłem do brata i po kilku minutach on już gnał, żeby mnie zabrać. Nigdy nie zapomnę, co tamtego dnia zrobił dla mnie Kwok-Lyn – to była chwila, kiedy uświadomiłem sobie, jak wiele brat dla mnie znaczy i jak bardzo się o mnie troszczy. Przez ostatnie lata oddaliśmy się od siebie, jak to rodzeństwo, kiedy zaczyna się szkoła i każdy ma swoich przyjaciół. Jako nastolatek Kwok-Lyn stał się zamknięty w sobie, nieśmiały i nie przepadał zbyt za towarzystwem – wydawało się, że woli być sam. Nie lubił być na widoku w restauracji, o wiele bardziej odpowiadało mu chowanie się na zapleczu, w kuchni. W szkole nie rzucał się w oczy. Otaczał się nieudacznikami, takimi osobami, które zapomina się niemal natychmiast, kiedy traci się je z pola widzenia. Dokuczano mu jak Oilen i mnie, ale wydawało się, że on to odbiera inaczej. Wyzwiska i okrutne słowa jakby odbijały się od niego, podczas gdy mnie głęboko zachodziły za skórę i sprawiały straszny ból.

Nigdy nie zapomnę, jak bezpiecznie się poczułem, kiedy Kwok-Lyn po mnie przyjechał. Byłem uratowany. A on, nabuzowany, chciał natychmiast wiedzieć, co to byli za chłopcy, co powiedzieli i co zrobili. Kiedy mu o tym opowiadałem, znów poczułem się silny, bo wiedziałem, że brat nikomu nie pozwolił mnie skrzywdzić. Potem poczułem złość. Nienawidziłem tamtej bandy. Jak śmieli mnie straszyć? Pragnąłem ich śmierci.

Opisałem Kwok-Lynowi, jak wyglądali i jak ich herszt groził, że mnie zabije. Opowiedziałem mu o wszystkim z wyjątkiem tego czegoś w kształcie noża w kieszeni. Zataiłem to, bo bałem się, że jak brat się dowie, to nic go nie powstrzyma i ich wytropi, a wtedy sam znajdzie się w niebezpieczeństwie, a nawet może zginąć od ciosu ostrzem. Bezpieczniej było, żeby znał tylko część historii. W drodze do domu milczeliśmy, ale kiedy dojechaliśmy na miejsce, załamane się i poskarżyłem się mamie, opowiedziałem nawet o tym przedmiocie w kształcie noża. Była wstrząśnięta, zmartwiona, i to mnie trochę ukoło.

* * *

Od tamtej pory zmagalem się z paranoją. Nie wychodziłem na miasto z obawy, że natknę się na tamtą bandę albo ich herszta. Do sklepów i parku w okolicy też nie zaglądałem, bo może i tam mógłbym na nich trafić. Lęk we mnie narastał, przejmował całkowitą kontrolę nad moim życiem.

Do dziś ogarnia mnie złość na myśl o tamtym chłopaku – bo przecież to był tylko chłopak – i o tym, jak rujnujący miał wpływ na moje życie. Jestem pewien, że nasze spotkanie na nim samym nie wywarło większego wrażenia, dalej robił swoje. Na pewno to, co powiedział i zrobił, nic dla niego nie znaczyło. Takie tam sobie żarty z kumplami dla zabicia czasu; najprawdopodobniej zaraz o tym zapomniał. Nie mógł mieć najmniejszego pojęcia, że właśnie stał na

proch całą pewność siebie, którą z tak wielkim trudem budowałem, i pozostawił we mnie uraz na całe życie.

Paranoja narastała. Stwierdziłem, że już nie tylko centrum jest poza moim zasięgiem, ale że w ogóle nigdzie nie jestem bezpieczny. Przestałem wychodzić z domu, chyba że nie miałem innego wyboru. Wyprawa do sklepu stała się wielkim przedsięwzięciem – aby się na nią poważnie, musiałem długo tłumaczyć sobie, że nic mi nie grozi. Naprawdę za każdym razem musiałem zmuszać się do wyjścia, żeby cokolwiek zrobić, a kiedy już wyszedłem, ogarniał mnie lęk. Wpadłem w obsesję. Życie stało się jak wielkie pole minowe, gdzie każdy niewłaściwy krok może cię wysłać w nicość. Wmówiłem sobie, że niektóre miejsca są bezpieczne, a inne nie. Sale do zajęć w college'u były w porządku, ale korytarze już nie. Mała stołówka była w porządku, ale duża nie. No i tak dalej. Nauczyłem się obserwować otoczenie jak ekspert do spraw ochrony i planowałem swoje trasy, jakbym w każdej chwili spodziewał się zamachu na życie. Czujnie obserwowałem, kto się do mnie zbliża, nawet jeśli był ledwie widoczny w oddali. Rzadkie wyprawy do pubu stały się niemal wojskową operacją. Jak komandos przede wszystkim lustrowałem bar i jeśli tylko coś mnie zaniepokoiło, natychmiast wychodziłem. Wkrótce bałem się już nie tylko chłopaka, który mi groził. Wszyscy wydawali mi się potencjalnym zagrożeniem.

Trzymałem swoje obawy w tajemnicy, bo byłem pewien, że innym wydałyby się dziwactwem. W ten sposób miałem kolejny sekret, z którym musiałem radzić sobie sam. Żeby to jakoś wytrzymać, skupiłem się bez reszty na nauce i marzeniach o przeprowadzce do Londynu i studiach w szkole teatralnej. Teraz to już nie była tylko sprawa zaspokojenia ambicji aktorskich. Przeprowadzka do Londynu oznaczała wyrwanie się z Leicesteru, ucieczkę od stałego strachu przed tamtym chłopakiem, bandą i innymi, którzy chcieli mnie skrzywdzić. W Londynie miało być inaczej – to miasto, gdzie ulice są wybrukowane złotem. Byłem bardziej niż kiedykolwiek pewny, że wystarczy, bym się tam dostał, a wszystkie moje marzenia zaczną się spełniać.

Łatwa zupa tom yum Ameneh

Składniki

4 szalotki (pocięte w cienkie plasterki)
tajska zielona pasta curry
sos rybny
galanga
trawa cytrynowa
cukier
bulion warzywny
sok z limonki
pak choi
makaron

Sposób przygotowania

Dodaj szalotki, pastę curry, sos rybny, galangę, trawę cytrynową i cukier do bulionu, doprowadź do wrzenia i niech się wolniutko gotuje. Dosisiekaj do tego pak choi, dodaj makaron i sporo soku z limonki. Podgotuj jeszcze chwilę i podawaj. Zupa przyjemna, słodka i pikantna. Pożywna dla duszy, wspaniała na poukładanie sobie w głowie. Przygotowana z miłością.

Przepis: Ameneh, żywe srebro

W tym czasie, kiedy walczyłem z depresją, zacząłem się powoli odzyskiwać. Na pierwszym semestrze kursu wyższego stopnia zacząłem odzyskiwać równowagę. Bardzo starałem się zostawić za sobą tamten incydent z bandą i skupić się na zdobywaniu dobrych ocen. Zająłem się nauką; ciężka praca pomagała mi odbudowywać pewność siebie, choć stale miałem oczy dookoła głowy.

Najbardziej lubiłem lekcje z aktorstwa. Miałem świetnego wykładowcę, nazywał się Kim Jackson. Był dowcipny i kokieteryjny. Sprawiał, że czułem się dobrze. Traktował mnie jak dorosłego i wiedziałem, że ceni mój wkład w zajęcia. Odkryłem, że potrafię się w nich zatracić. Pozwalały mi czuć i myśleć jak ktoś inny. Kiedy grałem albo analizowałem jakąś postać, mogłem zapomnieć, kim jestem, i uciec od dalekiej od ideału rzeczywistości. Im więcej dopuszczałem do siebie nowych wrażeń i informacji, tym mniej zostawało miejsca na myślenie o uczuciach do samego siebie.

W pewien sposób znów stałem się tą samą osobą co przed szkolnym przeobrażeniem. Pilna nauka była moim głównym celem, a schodzenie z drogi ludziom, którym nie ufałem – codzienną taktyką. Ale nawiązałem kilka nowych przyjaźni na kursie i choć studiowałem i starałem się być kreatywny, pozwoliłem też sobie nieco odpuścić i wypróbować swoje prawdziwe ja. Poczyniłem kroki, żeby być pewną siebie, towarzyską i – no dobrze – czasami nieco apodyktyczną osobą, jaką jestem dzisiaj.

* * *

Na pierwszym roku poczułem, że potrzebna mi jest własna przestrzeń, postanowiłem więc wyprowadzić się z domu. Kilkoro moich kolegów z kursu mieszkało już osobno. Powiedzieli mi, że jako student mogę starać się o dofinansowanie wynajęcia lokum. Wyliczyłem, że gdybym dostał te pieniądze i pracował w weekendy u mamy i taty, to mógłbym sobie pozwolić na samodzielne mieszkanie. Wiedziałem, że muszę to zrobić, jeśli mam kiedykolwiek znaleźć sobie chłopaka i się zakochać.

Jeden z gości taty zajmował się trochę nieruchomościami w Leicesterze. Miał domek szeregowy jakieś pięć minut pieszo od restauracji i w końcu poszedłem go obejrzeć. Stary i zrujnowany, został przerobiony na dwa małe mieszkania i kawalerkę na poddaszu, ale kiedy otworzyliśmy drzwi frontowe, odkopnęliśmy na bok zwały zalegającej na podłodze poczty i weszliśmy schodami trzy kondygnacje w górę, poczułem się podekscytowany i wolny.

Kawalerka na poddaszu nie miała nic wspólnego z luksusami, pachniała wilgocią i pleśnią. Była maciupka, ledwie mieściło się tam łóżko. Ciemnoszara wykładzina była poplamiona, a małe okienko się nie domykało z powodu zepsutego skobla. Kuchnia składała się ze zlewu z ociekaczem i małego rozkładanego stolika, na którym stała kuchenka elektryczna o jednej fajerce. Pysznic zarósł czarną pleśnią na spojeniach, które nigdy nie były odnawiane, a toale-

ta wyglądała tak, jakby przepływała przez nią kanalizacja z całego Leicesteru, ale... od razu bardzo mi się tam spodobało. To tam miałem znaleźć niezależność i stać się kimś, kim chciałem być od tak dawna.

– Biorę! – zawołałem.

Dobiliśmy targu. Za trzydzieści funtów tygodniowo, w tym opłaty, miał to być mój nowy dom. Wyprawa do Ikei, liźnięcie żółtej i niebieskiej farby i stara narzuta na łóżko od mamy zamieniły klitkę w moje mieszkanie. Wprowadziłem się tam przejęty, że robię tak ważny krok.

Zima była jednak bolesna. Przez szparę w oknie na poddasze wdzierало się mroźne powietrze i pod parapetem w pokoju często znajdowałem sople. Mama dała mi dmuchawę, dzięki której nie leciały mi może kłęby pary z ust, ale która nie mogła rozpuścić warstwy lodu osiadającego na ścianach prysznicza.

Zimne, zagrzybione i ciasne – ale moje własne! Scena była gotowa, mogłem się zakochać.

* * *

Dylan, hipis z brudnymi paznokciami, był na drugim roku kursu wyższego stopnia i stwierdziłem już, że jednak mi się podoba. Miał długie jasne włosy i dzień w dzień przez cały rok chodził w sztruksowych spodniach. Na nadgarstkach nosił tyle bransoletek, takich na pamiątkę przyjaźni, że chyba musiał być najbardziej lubianą osobą na świecie. A podejrzenia mojej przyjaciółki co do jego chrześcijańskiego wychowania okazały się w pełni słuszne.

Nie kryłem się ze swoim zauroczeniem Dylanem i chyba wszyscy o tym wiedzieli – może dlatego, że odegrał tak istotną rolę w moim ujawnieniu się. Z zapartym tchem patrzyłem, jak skacze po studiu, a później, jak zabawia kolegów opowieściami, że uwielbia lata siedemdziesiąte i Donovana. Do tej pory słyszę jego śpiew płynący przez stołówkę wprost do mojego serca.

Uczucie do Dylana przybierało na sile i wkrótce znów zabrałem się do zmiany swojego wizerunku, tym razem naśladowując styl lat siedemdziesiątych z ich kamizelkami, paciorkami, bransoletkami przyjaźni i spodniami dzwonami. Nadal byłem otyły i bardziej przypominałem babę przebraną za faceta niż hipisa, ale serce podpowiadało mi, że jeśli Dylan ma się we mnie zakochać na zabój, to muszę schlebiać jego gustom. Moja kolekcja płyt CD zaczęła się wzbogacać o Simona and Garfunkela, Tracy Chapman i oczywiście Donovana. Nocami śniłem, że tułem się do złocistych loków Dylana, a on śpiewa mi kołysanki przy wtórze swojej sfatygowanej gitary. Jeśli w rzeczywistości dygotałem pod sześcioma kocami w swoim wilgotnym łóżku, to przynajmniej moje sny były gorące.

A potem, ku mojemu zaskoczeniu, Dylan zaczął mnie dostrzegać i jeśli nie zwodził mnie mój brak doświadczenia, przysiągłbym, że flirtuje! To był sygnał, o jakim marzyłem, i w jednej chwili pożądanie zawładnęło mną bez reszty. Uosabiał wszystko, czego pragnąłem. Był w niewymuszony sposób swobodny i piękny... był wszystkim, czym ja nie byłem – taka jest prawda. Po kilku tygodniach niezobowiązujących kontaktów w stołówce odważyłem się zaprosić go do siebie na piwo, żebyśmy sobie posłuchali płyt. Ku mojej wielkiej radości i zaskoczeniu zgodził się.

Jeszcze nigdy czekanie nie dłużyło mi się tak bardzo jak wtedy, kiedy siedziałem na łóżku, a z mojego stereo nastawionego na maksa leciał Donovan. Mówiłem o ósmej czy dziewiątej

wieczorem? Patrzyłem na mały podróżny budzik przy łóżku, na wolno poruszające się wskazówki – siódma, siódma zero trzy, siódma zero osiem. Raz za razem zmieniałem piosenkę, rozpaczliwie starając się zdecydować, która będzie najlepsza na powitanie Dylana. Po ustawiałem, gdzie tylko się dało, świeczki i je pozapalałem. Siedziałem jak na seansie spirytystycznym – siódma trzydzieści cztery, potem siódma czterdzieści dziewięć, ósma zero jeden.

Małe zepsute okienko było tak osadzone, że musiałem balansować oparty jedną nogą o róg nocnego stolika i wychylić przez parapet swoje ciężkie cielsko, aby zobaczyć na dole coś więcej niż rynnę. Nie mogłem długo utrzymać się w tej pozycji i zaraz z hukiem waliłem się pod własnym ciężarem na łóżko. Ale kiedy zegar tykał, wspinałem się i padałem, wspinałem się i padałem, wspinałem się i padałem, wypatrując mojego pięknego Dylana. Tanie świeczki szybko się wypalały i wkrótce musiałem migiem zastępować nowymi te, które gasły jedna po drugiej. Wyczerpywały mi się zapasy, a wiedziałem, że mieszkanie musi tonąć w delikatnym świetle, kiedy przybędzie Dylan. Nie mogłem zdmuchnąć płomyków, bo gdybym przegapił dźwięk nadjeżdżającego auta i chłopak by mnie zaskoczył, nie zdążyłbym pozapalać wszystkich świeczek i moje starannie wyreżyserowane powitanie byłoby zrujnowane! Wspinam się, padam na łóżko, zapalam świeczki, wspinam się, padam, znów zapalam, wspinam się, padam, zapalam więcej... ósma dwadzieścia cztery, ósma czterdzieści jeden... dziewiąta!

Kiedy wskazówki tego drańskiego zegara posuwały się tak naprzód, zaczęło dawać o sobie znać przejmujące poczucie odrzucenia. Na szczęście w tamtych czasach komórki były luksusem, bo gdybym tylko mógł, wydzwaniałbym do Dylana, żeby go zlokalizować. Zachorował? Miał wypadek? Nie przyjdzie? Obawiałem się najgorszego, a o dziewiątej trzydzieści uznałem, że albo nie żyje, albo nie jest absolutnie zainteresowany takim grubym Chińczykiem jak ja.

Zdmuchnąłem świeczki, wyłączyłem muzykę i ze złamanym sercem, gorzko rozczarowany, położyłem się na łóżku. Zamknąłem oczy i starałem się nie płakać, bo on nie był wart moich łez... Ale nie dałem rady i długo szlochałem wtulony w poduszkę.

Biiim!!!!!!

Najwyraźniej usnąłem. Obudził mnie dzwonek do drzwi. Była dziesiąta zero jeden i Dylan przyszedł. Sturlałem się z łóżka, złapałem zapałki i trzęsącymi się rękami pozapalałem wszystkie trzydzieści świeczek, aż sobie poparzyłem palce. Dzwonek szalał, kiedy przetrzepywałem poduszki, włączyłem znów Donovana i poprawiałem dziewięćdziesiąt sznurków paciorków na szyi. Nigdy nie widzieliście grubasa, który poruszałby się tak szybko jak ja, kiedy gnałem po schodach trzy kondygnacje w dół, starając się nie potknąć o pocztę, śmieci i nie zahaczyć o odpadające tapety.

Zatrzymałem się na dole. Serce mi waliło, a pot zalewał spuchnięte oczy. Po drugiej stronie drzwi stał Dylan, a ja nie posiadałem się ze szczęścia. Szybko wziętem się w garść i jakby nigdy nic otworzyłem. Kiedy zobaczyłem jego piękny uśmiech i długie, gęste jasne włosy, nie miało już znaczenia, że miał zapewne niezbyt czyste paznokcie – był uosobieniem ideału!

Wdrapaliśmy się na górę i kiedy weszliśmy do kawalerki, powiedział, że uwielbia światło świec. Trafiłem! Mam cię!

Dalszą część wieczoru wypełniły rozmowy o muzyce – przede wszystkim o artystach, o których nigdy nie słyszałem, ale udawałem, że jak najbardziej. Dylan sprawił, że poczułem się atrakcyjny, pewny siebie i miałem wrażenie, że nie ma takiego miejsca na ziemi, gdzie on

teraz wolałby być. Zauważyłem, że jego oczy w świetle świec są podobne do chińskich, zwężone w kącikach. Jego usta o pięknym wykroju lekko zaróżowiły się od ciepła herbaty. Miał długą szyję i silne ramiona tancerza wyraźnie rysujące się pod zrobionym na drutach swetrem. Doświadczałem pierwszego w życiu seksualnego zauroczenia i czułem się bosko.

Tego wieczoru nie całowaliśmy się ani nie dotykaliśmy, nie mówiąc już o uprawianiu seksu. Nie wiedziałem nawet, czy Dylan jest gejem. To nie miało znaczenia. W moim sercu był mój. Byłem w nim bezgranicznie zakochany i nawet gdyby nie był gejem, uważałem, że go przekonam. Pewność siebie, jakiej nabrałem w college'u, dawała mi siłę, by tak myśleć. Byłem przecież jednym z najlepszych aktorów na roku i Dylan to wiedział. Czy to nie wystarczy, żeby go uwieść? W tym roku naprawdę się zmieniłem – wyrastałem na młodego mężczyznę i witałem tę zmianę z szeroko otwartymi grubymi ramionami. Nie chciałem już być dręczonym chłopaczkiem, nie chciałem być głupim braciszkiem albo spanikowanym małoletnim gejem, chciałem być mężczyzną, który może kochać i wnosić coś do dojrzałego związku, a Dylan miał mi w tym pomóc. W zamian byłbym mu wierny i kochałbym go aż po grób.

Nad ranem, mocno wstawieni, padaliśmy już ze zmęczenia. Dylan powiedział, że musi iść, bo bardzo wcześnie wstaje. O, ja cię kręcę! Ja nie miałem zamiaru nigdzie się ruszyć aż do popołudnia.

Pożegnaliśmy się i opuścił moją kawalerkę. Kiedy w ekstazie rzuciłem się na łóżko, rozważałem, czy nie wdrapać się na parapet, aby zobaczyć, jak Dylan odjeżdża, ale wiedziałem, że byłoby to jak dźwiganie *Titanica* z dna oceanu, więc tylko leżałem, szczęśliwy, spełniony i bardzo, bardzo pijany, aż zasnąłem – jeszcze nigdy w życiu nie spałem tak dobrze.

* * *

Następne dni w college'u były dziwne. Nie mogłem skoncentrować się na zajęciach, mogłem myśleć tylko o Dylanie. Zawładnął całą moją świadomością i stał się najważniejszą osobą w moim życiu. Ale bałem się powiedzieć o tym dziewczynom, bo mogłyby ostrzegać, że niepotrzebnie tracę czas, albo wyśmiać moje zauroczenie.

Miłość była dla mnie czymś nowym i nie bardzo wiedziałem, jak sobie z nią radzić. Tymczasem Dylan zachowywał się wobec mnie tak samo jak przed odwiedzinami. Dalej skakał po studiu i śpiewał w stołówce... Tak naprawdę wszystko zostało po staremu. Tak jakby nie pojawił się tamtego wieczoru u mnie, nie pił piwa i nie słuchał ze mną muzyki. Dlaczego nic się nie zmieniło? Dlaczego nie rumieni się, kiedy ze mną rozmawia? Dlaczego nie ma motylków w brzuchu na mój widok? Dlaczego nie jest we mnie zakochany, jak ja w nim?

Odchodząc od zmysłów z niepewności, spytałem, czy ma ochotę znów do mnie wpaść. Byłem kompletnie zszokowany, bo powiedział, że tak. Teraz wreszcie załapałem! Jest gejem, ale jeszcze nie potrafi tego ujawnić. Gdyby okazywał mi specjalne względy w college'u, to by go zdemaskowało, więc nie dawał nic po sobie poznać. O, Dylanie. Ty piękna, zagubiona, niewinna istoto!

Tego wieczoru świece były pozapalane, lodówka załadowana piwem, a płyta Donovana znów królowała w moim mieszkanku. To miała być noc, kiedy wyznamy sobie nawzajem miłość i może nawet Dylan u mnie zostanie...

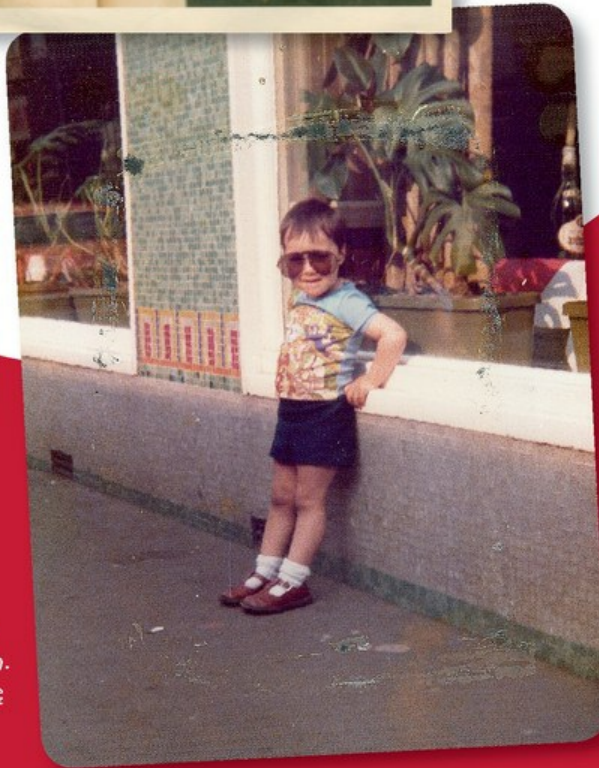
Ale czekałem, czekałem i czekałem... i czekałem. Dylan nie przyjechał, nie wypił mojego

piwa i nie zagrał mi serenady na gitarze. Pewnie w ten sposób dał mi do zrozumienia, że nie jest zainteresowany.

O dziwo, poradziłem sobie z tą odmową lepiej, niż mógłbym przypuszczać. Nie znenawidziłem go, nie czułem się skrępowany, kiedy go spotykałem w college'u, i nie zaprosiłem go więcej – bo nie mogłem mieć do niego pretensji. Czemu komuś tak pięknemu jak on miałby spodobać się ktoś taki jak ja – gruby, wystraszony i niezdarny? Nie zasługiwałem na niego i pewnie nigdy nie byłbym dla niego dość dobry. Jak mogłem być tak głupi i sądzić, że moje zdolności aktorskie to wystarczający powód, aby on się we mnie zakochał?



Z mamą na progu naszego
pierwszego domu – przyczepy
kempingowej



Ostatnie zdjęcie, na którym
jestem szczupłym dzieckiem.
Mam trzy-cztery lata, stoję
przed restauracją dziadka
Hung Lau

Mama i tata w parku Abbey,
Leicester, 1969



Mama i tata w dniu
ślubu, 1970





Mama i ja w Portsmouth,
1976



Kwok-Lyn, babcia i ja
na promie w drodze
na wyspę Wight, 1977



Od lewej: Kwok-Lyn, Oilen, babcia
i ja pod naszym nowiułtkim domem
w Beaumont Leys, 1979



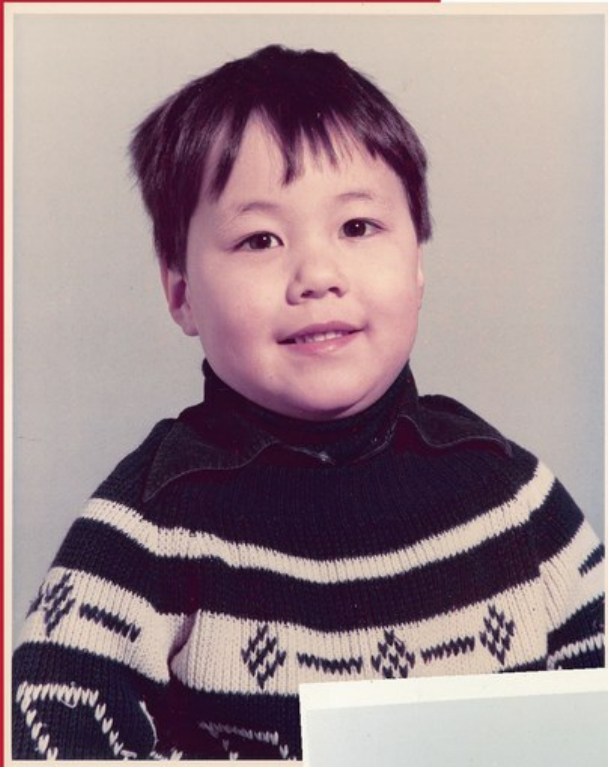
Kwok-Lyn i ja w Bamboo House.
Czy wyglądam na geja???



Mama, tata, Kwok-Lyn, Oilen
i w środku ja, Bamboo House,
1980



Kwok-Lyn, Oilen, ja i mama na
rajdzie pod osiedlem z naszymi
psami Lady i Podge, około 1983



Pierwsze zdjęcie z czasów
szkolnych, 1979



Chłopak rośnie, 1985

W wieku siedemnastu lat



Mój nowy wizerunek po pierwszym przeobrażeniu w roku 1987. Miękkko opadające pukle zastąpiła fryzura szczesana do tyłu, à la Bond – FAJNIE!





Trzeci semestr w szkole teatralnej, rok 1996,
nadal nie wydawałem się sobie dość szczupły

W tym momencie Deane McQueen była dla mnie jakby głosem z nieba. Dawała jasno do zrozumienia, że pokłada we mnie wielkie nadzieje, a szkoła teatralna stanowiła część jej planu. Przypuszczam, że stałem się jej osobistym eksperymentem. Wyciągnęła mnie z rynsztoka i zmieniła w piątkowego ucznia, który ma nie mniej szans niż inni jej podopieczni. Czuję, że to dzięki niej w ogóle składam papiery, a może nawet dostanę się na te studia.

* * *

Pierwszy raz zetknąłem się z nazwą tej uczelni, kiedy przeglądałem poradnik dla uczniów szukających możliwości dalszej edukacji i zobaczyłem, że The Central School of Speech and Drama organizuje jakieś kursy sponsorowane przez państwo.

Marzyłem o studiowaniu aktorstwa. Problem w tym, że to nie było dofinansowywane, a cenne – na ogół bardzo wysokie – trzeba było płacić z własnej kieszeni. Dla mnie stanowiło to wielką przeszkodę, bo rodzice w żaden sposób nie mogli zdobyć się na taki wydatek, nawet gdyby to miało spełnić moje marzenia. Praca mamy i taty zapewniała jedynie, że nigdy nie zabrakło nam miski makaronu na stole, ale nie pozwalała na wysłanie syna do Londynu, wynajęcie mu lokum, utrzymywanie go tam i opłatę kursów.

Ku wielkiemu poruszeniu wśród aspirujących do kariery aktorskiej wspomniana szkoła teatralna zaczęła oferować kurs teoretyczno-praktyczny dla osób, które planują pójść bardziej w kierunku pedagogicznym niż scenicznym.

Dla mnie to nic nie znaczyło, bo nie miałem pojęcia, czym jest The Central School of Speech and Drama, nie wiedziałem, że to jedna z najbardziej prestiżowych uczelni teatralnych w Wielkiej Brytanii, podobnie ceniona jak The Royal Academy of Dramatic Art, i że do jej wychowanków należy wielu moich idoli, w tym Dawn French i Jennifer Saunders, żeby wymienić tylko dwa przykłady. Ale widziałem, że to musi być coś wyjątkowego, bo Deane wyraźnie podziwiała tę szkołę, a w poradniku też pisano o niej w samych superlatywach. Do informacji dołączono artystyczne, czarno-białe zdjęcia studentów występujących na ogromnych scenach, w kostiumach, tańczących w salach z lustrami lub odpoczywających na terenie kampusu.

Zrozumiałem, że dla aktorów ta uczelnia to wielka sprawa, a nikt z mojego kursu nie bierze nawet pod uwagę, że mógłby tam złożyć papiery. Byłem przekonany, że z gry aktorskiej jestem najlepszy na roku, i jeszcze nigdy nie miałem tyle wiary w siebie co wtedy. Wiedziałem, że jestem dobry w tym, co robię, a co więcej, w ostatnim roku coś się we mnie zmieniło i polubiłem rywalizację. Bez reszty skupiłem się na celu, żeby zostać aktorem. Za wszelką cenę chciałem zdobyć miejsce w szkole teatralnej i wydostać się z Leicesteru. Pokazać wielkie „pieprzcie się” wszystkim, którzy mówili mi, że jestem bezwartościowym nieudacznikiem.

Wykorzystałem ich docinki, one mnie zmobilizowały, żeby odważyć się na coś, o czym nawet nie śmiałybym marzyć przed rokiem.

Kiedy przeczytałem prospekty, doszedłem do wniosku, że najlepszą dla mnie opcją jest kurs teatralno-pedagogiczny. Nie tylko był finansowany przez państwo, ale też oferował najwięcej zajęć z gry scenicznej, a zdobycie kwalifikacji pedagogicznych stanowiło dodatkowy plus. Kiedy nie będę zajęty przez Spielberga czy National Theatre, przyda się coś na przeczekanie – dlaczego by nie uczyć? Byłem gotów natychmiast rzucić pakowanie krewetkowych chipsów!

Moim celem było dostać się na te studia i w ten sposób spełnić marzenie Deane – to będzie mój prezent dla niej za to, że we mnie wierzyła. Potem przeprowadzę się do magicznego Londynu i zadziwię wszystkich na uczelni. Wykładowcy dostrzegą mój wielki potencjał, zachwycą się moim talentem i poproszą, żebym zmienił kierunek, i drugi rok zacznę już na prawdziwym kursie aktorskim. Potem już z górki – dyplom, znalezienie agenta, początek pracy w zespole Royal Shakespeare Company i małżeństwo z Simonem Callowem – proste jak drut!

Patrząc na fotografie w poradniku, wyobrażałem sobie, jak w przyszłym roku szkoła poprosi mnie o zgodę na zdjęcie do prospektu. Czemu nie? Na pewno brakowało im tu grubego chińskiego młodzika.

Złożyłem papiery i – ku mojej wielkiej radości – zostałem zaproszony na rozmowę i przesłuchania. Kiedy zdałem sobie sprawę, że to się dzieje naprawdę, zaczęło do mnie docierać, jak potwornie ważny jest teraz ten etap. Nieźle mi to dało w mój żółty gruby tyłek. Zmartwiałem z przerażenia.

Za to Deane cieszyła się jak szalona. Jej protegowany miał mieć przesłuchanie w londyńskiej The Central School of Speech and Drama. Była w siódmym niebie.

* * *

Nadszedł wielki dzień i pojechałem do Londynu, trzęsąc portkami, ale w pełni świadomy, że muszę przez to przejść. Po złożeniu papierów zebrałem więcej informacji o tej szkole i teraz już dobrze rozumiałem, o co gram. Stawka była wysoka.

Pierwsze zetknięcie z uczelnią pozbawiło mnie brutalnie wielu złudzeń. Po pierwsze, mieściła się w Swiss Cottage, które bynajmniej nie należy do eleganckich dzielnic stolicy. Kiedy tam dotarłem, byłem rozczarowany – a gdzie Tamiza? Gdzie Big Ben? Czy ta dziura z nędznymi sklepikami i rozpadającym się pubem przy rondzie to naprawdę Londyn?

W szkole musiałem wziąć udział w ćwiczeniach z improwizacji, co mi odpowiadało, bo to była moja najmocniejsza strona w college'u, a potem czekała mnie rozmowa. Ulżyło mi, że nie muszę śpiewać, bo uważałem, że to mi kiepsko wychodzi (wspomnienie zdegradowania mnie w szkolnym chórze do uderzającego w trójkąt pozostawiło niezatarty ślad w mojej podświadomości). Denerwowałem się, ale oba etapy poszły mi dobrze – o ile mogłem się zorientować, nie zawałem.

Potem siadłem na schodach amfiteatru, myśląc, że porwałem się na zbyt wiele, by to przełknąć – a to stwierdzenie dość znaczące jak na ważącego sto trzydzieści trzy kilo obżartucha. Znalazłem się wśród wielu młodych ludzi, którzy ściągnęli tu z różnych stron Wielkiej Brytanii, i miałem wrażenie, że pochodzą z innej planety niż ja, jeśli chodzi o pieniądze, uprzywilejowanie i wykształcenie. Wszyscy byli szczupli, atrakcyjni i zajebiście inteligentni!

Rozmawiali jak dorośli, pięknie modulując frazy, używając wyszukanych słów. Dziewczyny stale poprawiały włosy, a chłopcy wydawali się bardzo poważni, kiedy tak rzucali nazwiskami z historii literatury i teatru czy wspominali twórców teorii i metod, o jakich nigdy nie słyszałem.

Czułem się tak odmienny od nich wszystkich i bolało mnie, że jestem traktowany jak powietrze. Musieli mnie zauważyć – trudno mnie przeoczyć, a w dodatku rzucałem się tu w oczy jeszcze bardziej niż zwykle – ale nikt nie zadał sobie trudu, żeby choć bąknąć mi „cześć”, może poza dwiema najbardziej nieśmiałymi dziewczynami. Chciałem im wszystkim powiedzieć, że jestem najlepszy z gry aktorskiej na roku i że będę gwiazdą w skali krajowej, ale najwyraźniej nikt nie był tym w najmniejszym stopniu zainteresowany, więc trzymałem swoją zdenerwowaną gębę na kłódkę.

Już przed południem wiedziałem, że ostatnie trzy lata na kursach nie przygotowały mnie do szkoły teatralnej. Nauczyłem się wyrażać ból i złość, skacząc po sali, albo udawać jajko sadzone, leżąc na podłodze, ale nie miałem pojęcia o metodzie Stanislawskiego. Deane uwielbiała taniec współczesny, orientowałem się więc, jakie jest znaczenie takich zespołów, jak DV8, Candoco czy V-tol. Wiedziałem, że mam wrodzone zdolności do improwizowania, ale czym to było w porównaniu z talentem i solidnym wykształceniem moich konkurentów?

Tego dnia czułem się tak głupi, jak nigdy dotąd.

Pod koniec dnia, kiedy szedłem schodami w dół i opuszczałem budynek uczelni, miałem nadzieję, że mnie nie przyjmą. Na pewno egzaminatorzy się zorientowali, że się nie nadaję na kurs i studia. Pewnie już nigdy nie będę miał do czynienia z The Central School of Speech and Drama. Podłamany i napięty jak mój pasek od spodni, wykupiłem całe zapasy McDonalda na drogę powrotną do domu, wsiałem do pociągu na Victoria Station i ruszyłem do Leicesteru. Moje ambicje aktorskie nie do końca legły w gruzach. Przecież musi gdzieś być jakaś szkoła teatralna, gdzie bym pasował?

* * *

W Leicesterze wróciłem do mieszkania, które wynajmowałem teraz z koleżanką z kursu – Sarah. Po roku spędzonym w mojej kawalerce zaczęła doskwierać mi samotność, więc razem z Sarah znaleźliśmy sobie coś w Aylestone. Ozdobiłem swój pokój gazetami – chciałem być awangardowy, ale pewnie wyglądało to po prostu idiotycznie.

Sarah, bardzo utalentowana tancerka, miała ogoloną głowę, kilkadziesiąt kolczyków i celtycki tatuaż wokół lewego ramienia. Na pierwszym roku bardzo się zaprzyjaźniliśmy, a po jej burzliwym rozstaniu z chłopakiem postanowiliśmy zamieszkać razem.

Przypominała wiele dziewczyn pochodzących z kochających się rodzin z wyższej klasy pracującej. Zanim ogoliła głowę, była posłuszną dziewczynką o długich ciemnych włosach, szczyrywanych ciasno w koczek w każdą sobotę na lekcje baletu. Pilnie ćwiczyła, mówiono, że robi wyjątkowe postępy jak na swój wiek, więc zdecydowała, że taniec będzie całym jej życiem – no, może poza jakimś drinkiem od czasu do czasu i grupą rockową ZZ Top. W miarę dorastania z potulnej uczennicy zrobiła się gniewna, zbuntowana i zdecydowana „pieprzyć zasady” – i naprawdę zaczęła to robić.

Sarah podobało się, że jestem gruby, że jestem gejem i mieszanką ras – odpowiadało to jej

lewicowym poglądom – szybko stałem się maskotką jej kampanii przeciwko establishmentowi. Zabierała mnie do pubów w stylu gotyckim, chodziliśmy pić w klubach nawiązujących do czasów hipisów, a kiedy włączyliśmy już w siebie o wiele za dużo jacka danielsa, wracaliśmy do domu i w piżamach oglądaliśmy komedie romantyczne. To było idealne połączenie Alice’a Coopera z Alicją w krainie czarów.

Uwielbiałem Sarah. Była zupełnie inna od osób, które dotąd znałem. Przy niej czułem się wyzwolony, nigdy się nie nudziliśmy. Ale nie do końca była tą hałaśliwą, gniewną buntowniczką. W głębi swoich martensów była tak samo wystraszona jak ja, identycznie samotna i – czasami – nawet bardziej zagubiona ode mnie. Dobrze było wrócić do niej – do domu.

* * *

Parę tygodni później dostałem list ze szkoły teatralnej. Ku swojemu absolutnemu zaskoczeniu zostałem przyjęty na zaczynający się jesienią kurs o profilu pedagogicznym. Byłem tak podniecony, że trudno mi było zebrać myśli, ale natychmiast pognąłem do college’u powiedzieć Deane. Siedziała w swojej kanciapce przy sali do tańca. Odczekałem sekundę, żeby wyrównać oddech, i wszedłem – wiedziałem, że mam dla niej najlepszy prezent, jaki mógłbym jej ofiarować.

Deane nie posiadała się z radości – krzyczała i ścisnęła mnie, a potem wyrwała mi pismo i pobiegnęła dalej z nowiną, zostawiając mnie samego. Nie miałem jej tego za złe – przecież o to mi chodziło. Chciałem podziękować Deane za to, że wzięła mnie pod swoje skrzydła i pomogła mi, kiedy byłem na samym dnie. Dopełniłem swojej misji.

Zostało tylko jedno.

Teraz naprawdę musiałem pojechać do Londynu i zacząć studia.

* * *

W lecie wybrałem się do Londynu, żeby poszukać jakiegoś lokum. Znalazłem mikroskopijną kawalerkę w Kilburn, niezbyt daleko od kampusu. Myślałem już teraz tylko o Londynie, o życiu i szansach, jakie mnie czekały. Wreszcie byłem na dobrej drodze. Moje wielkie marzenie, żeby zostać aktorem, wydawało się o wiele bliższe spełnienia.

Oczywiście miałem swoje wątpliwości i obawy – w głębi serca byłem pewien, że nie dorównam tym mądrym studentom o bursztynowej cerze, których spotkałem na przesłuchaniach – ale chyba szkoła wiedziała, co robi, przyjmując mnie? Skoro oni wierzą, że mogę studiować, to chyba i ja powinienem trochę sobie zaufać?

To była dla mnie szansa, żeby pokazać dwa środkowe palce w mocnym i dramatycznym geście swoim szkolnym oprawcom i bandom – wszystkim, którzy mówili mi, że jestem nic niewart, głupi, gruby i do niczego. Pieprzcie się wszyscy! Londyn mnie wzywa.

The Central School of Speech and Drama to jedna z najwspanialszych uczelni teatralnych na świecie. Szkoli nie tylko przyszłych aktorów, ale i obsługę techniczną, terapeutów pomagających pozbyć się wad wymowy, scenografów, a nawet nauczycieli. Tu zaczynało wiele największych brytyjskich talentów: Laurence Olivier, Judi Dench, Julie Christie, Christopher Eccleston, Kristin Scott Thomas i Rufus Sewell to tylko niektórzy z absolwentów szkoły.

Przyjechałem z Leicesteru z trzydziestoma funtami w tylnej kieszeni spodni i mocnym postanowieniem, że dam radę. Podobnie zdeterminowani byli i inni, którzy pojawili się tej jesieni. (Studia teatralne są jak lep na zagubionych młodych ludzi, którzy za wszelką cenę, bez względu na konsekwencje, chcą sobie coś udowodnić). Niektórych zadowoliłaby pozycja nauczyciela, terapeuty lub zajęcie się teorią teatru, ale ja byłem głodny sukcesu, chciałem zostać gwiazdą i mógłbym zaprzedać szkole duszę, żeby tylko to osiągnąć.

Kiedy przybyłem do szkoły, byłem gruby – sto trzydzieści trzy kilo żywej wagi. Miałem utlenione włosy i pierścionek na każdym palcu. Cechowała mnie brawura, żadne wyzwanie nie wydawało mi się ponad siły. Ambicja mnie rozsadzała. W college’u zdobyłem pozycję królowej i teraz byłem zdecydowany ją utrzymać.

Wprowadziłem się do małego mieszkanie, które wynająłem latem na parterze białego domu z kolumnkami. Ulica pełna zieleni mogłaby leżeć w jednej z eleganckich okolic Leicesteru. Dom był piękny i bez wątpienia stanowił niegdyś wspaniałą rezydencję, zanim został podzielony na kilka mieszkań. Moje było jeszcze ciaśniejsze niż tamto w Leicesterze. W pokoju mieściły się tylko łóżko, komódka i mała szafa. Drzwi na jednej ze ścian prowadziły do łazienki, gdzie cudem wciśnięto prysznic, umywalkę i miskę klozetową. Po drugiej stronie korytarzyka, pod schodami, miałem kuchnię. W sam raz na dwupalnikowy piecyk stojący na małej szafce przy jeszcze mniejszym zlewie. Było tam tak ciasno, że nie mogłem się wyprostować. Mieszkanie było zimne, ponure i zbyt drogie – płaciłem siedemdziesiąt funtów tygodniowo – ale nie przejmowałem się tym. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to zostanę tutaj znanym aktorem, a skromne początki to nieodłączna część wspinaczki na szczyt.

Pierwszego dnia nowi studenci mieli zebrać się przy głównej recepcji o dziesiątej. Kiedy tam przyszedłem, zobaczyłem tę grupę – wszyscy bardzo młodzi poza jedną czy dwiema bardziej dojrzałymi osobami, wszyscy rozemocjonowani, głodni wiedzy i zaślepieni ambicją. Jak sfora młodych wilków szybko zaczęliśmy ustalać hierarchie: kto wszystkich przekrzyczy, kto jest najbardziej pewny siebie, kto będzie przywódcą, a kto się podporządkuje? Od razu zapoznałem się z dziewczyną z Birminghamu o imieniu Jessica, w zdrobnieniu Jess – ładną i miłą; z wysoką, piękną i nieco starszą Emmą; i Lydią, niewysoką Greczynką, która potem powiedziała mi, że tego pierwszego dnia zrobiłem na niej wrażenie wygadanego, sympatycznego, wesołego i pewnego siebie. Nigdy nie wpadłaby na to, że gruby, mierzący ponad metr osiemdziesiąt wzrostu Chińczyk ma pełne gacie ze strachu i jest mu trudniej niż komukolwiek.

Rozejrzałem się po grupie i od razu poczułem, że tu nie pasuję. Miałem inne rysy, inne manery. Nawet język, którym mówiłem, był inny. A oni? Większość wyglądała jak rodzeństwo – wszyscy tacy piękni, z idealną cerą, modnymi fryzurami i – oczywiście – wszyscy szczupli. Poczułem się strasznie niepewnie. Teraz jestem przekonany, że każde z nich przyszło tam ze swoim bagażem lęków i wątpliwości, ale mnie wydawali się całkiem swobodni i pozbawieni tremy. Zastanawiałem się, skąd mają tyle odwagi. Czy ktoś im powiedział, czego tu się spodziewać? Może dostali jakiś poradnik, który do mnie nie dotarł z powodu bałaganu na poczcie?

Tak jak nauczyłem się to robić, kiedy byłem w obcym sobie środowisku, zacząłem głośniej mówić, żartować z siebie i starałem się szybko wszystkich oszacować, zintegrować się z nimi i odnaleźć wśród nich swoje miejsce. Najwyraźniej nie należałem do najmądrzejszych, na pewno nie do tych ładnych i bez cienia wątpliwości nie miałem nic wspólnego z pewnymi siebie. Mogłem więc zostać wesołkiem, robić marne wygłupy, zdobywając marny poklask. Za nic nie chciałem, aby mój wygląd znalazł się w centrum uwagi, więc dawałem do zrozumienia, że sam się nim nic a nic nie przejmuję. Posłużyłem się swoją stałą bronią – poczuciem humoru i żartami z siebie – żeby odwrócić uwagę od swoich gabarytów. Jestem pewien, że wprawny obserwator od razu by się zorientował, co robię, i poznał, że moja brawura to zasłona dymna dla lęku, ale koledzy dali się nabrać.

Alter ego, które wykreowałem tamtego dnia, nadal jest we mnie. Gdy muszę odpowiadać na pytania w rozrywkowych programach telewizyjnych, prowadzę rozmowy na czerwonym dywanie albo kiedy dam plamę i muszę rozładować sytuację, wpadam w panikę i wtedy to alter ego się pojawia. Ten drugi Gok jest pewny siebie i kwitnie w centrum uwagi. Jest gładki w obyciu, kulturalny, finezyjny, a nawet – śmiem twierdzić – charyzmatyczny. Nigdy nie brakuje mu słów i zawsze jest gotów do ciętej riposty. Sypie dowcipami jak z rękawa. Przede wszystkim nigdy nie jest zagubiony, samotny ani się nie boi. Często chciałbym, żeby naprawdę był mną, a ja naprawdę nim, ale nie jestem i nigdy nie będę. Tkwiący we mnie samotny chłopak pełen lęków, który rozpaczliwie potrzebuje akceptacji i uznania, nigdy nie znika. Każdy, kto był w podobnych sytuacjach i to przeżył, zrozumie pewnie, co mam na myśli. Pierwszego dnia w szkole teatralnej moje alter ego pracowało na akord, budując aurę wiary w siebie i dorzucając przy każdej nadarzającej się okazji dowcipne komentarze.

Kiedy już cała grupa zebrała się przy recepcji, poproszono nas na pierwsze piętro do sali jadalnej, gdzie mieliśmy się spotkać ze swoim opiekunem i mogliśmy o wszystko wypytać.

Siedzieliśmy w kafeterii, kiedy pojawiła się Helen McNally. Nikt nie zauważył, że nadchodzi, a jej dramatyczne *entree* było najwyraźniej celowe. Chciała, żeby wywarło jak największe wrażenie na nowych studentach. Z włosami niedbale upiętymi w kok na czubku głowy i zwisającym luźno w artystycznym nieładzie szalem, Helen bez wątpienia wyglądała na osobę twórczą. Przefrunęła między zebranymi, by znaleźć się pośrodku sceny na tle tablicy prezentującej najlepszych absolwentów z roku 1993.

W niczym nie przypominała Deane, która uwielbiała się śmiać, była ciepła, troskliwa i dodawała nam odwagi. McNally nie przejawiała nic z tych cech, sprawiała wrażenie służbistki podchodzącej do swojego zadania z powagą i metodycznie. No, ale w końcu ta szkoła miała dać nam wykształcenie i pracę, a Helen najwyraźniej nie odpuści, zanim nie osiągnie tego, co sobie zamierzy.

Grupa ucichła. Zapanowało niezręczne milczenie. Helen zaczęła czytać listę i każdy czekał, aż padnie jego nazwisko. Większość odpowiadała po prostu „obecny” i uśmiechała się. Niektórzy szeptali „jestem”, a jeszcze inni rzucali z wystudiowaną nonszalancją „tak”. Niestety, ja nie zrobiłem nic z tych rzeczy. Kiedy Helen odczytała moje imię i nazwisko, skoczyłem na równe nogi, jakby rozpieła mnie pewność siebie, i powiedziałem z przesadną emfazą:

– Helen, kochanie, nie zwracaj sobie głowy tym Gok Wan... Wystarczy Gok, jak Cher czy Madonna, dobrze?

Potem opadłem na krzesło i czekałem na oznaki uznania ze strony grupy.

Wszyscy się śmiali, ale Helen najwyraźniej nie była ubawiona. Uniosła głowę i sponad okularów spiorunowała mnie wzrokiem. Miałem wrażenie, że to trwa wieczność. Grupa szybko się uspokoiła, a Helen wolno pokiwała głową, jakby mówiła: „Głupi gówniarzu, czy wiesz, z kim zadzierasz? Mogę cię przezuć i wypluć same kosteczki, zanim się spostrzeżesz, na co się zanosisz!”. Ale nic nie powiedziała, tylko dalej wyczytywała nazwiska, od czasu do czasu rzucając mi to samo zimne spojrzenie, dopóki nie doszła do końca listy.

Cała moja brawura stopniała w jednej chwili, byłem zniesmaczony swoim zachowaniem. Co ja, do diabła, sobie myślałem? Zrobiłem sobie wroga z jedyne go sojusznika, który był mi potrzebny, jeśli chciałem mieć szansę na ukończenie kursu. Co za głupi palant ze mnie!

Prawda była taka, że znalazłem się w miejscu całkowicie dla siebie nieodpowiednim. Powinienem być w sali obok, z aktorami, ludźmi podobnymi do mnie – głupimi, ale umiejącymi przyciągać uwagę publiczności! Kurs o profilu pedagogicznym kompletnie do mnie nie pasował. Przede wszystkim nie jestem dość bystry. Do moich mocnych stron nie należały pisanie wypracowań i wiedza o teatrze, ale wymyślanie gagów, odgrywanie głupka i występy sceniczne.

Miałem przecucie, że w tej sytuacji moje bezczelne, pewne siebie alter ego nie będzie miało dość sprytu, aby cokolwiek pomóc.

* * *

Pierwszy semestr w szkole teatralnej był trudny. Tęskniłem za przyjaciółmi i rodziną, a Londyn wydawał się zbyt wielki, by go zrozumieć. Czułem się zagubiony w moim nowym, pełnym zajęć świecie i tylko telefony do domu podtrzymywały mnie na duchu. Mieszkanie w pojedynkę w Kilburn nie było najlepszym lekarstwem na samotność.

Sytuacja się poprawiła, kiedy nawiązałem kilka przyjaźni. Do paczki należeli Jessica, Lydia, Emma, Carrie i Will. Ale w szkole trzeba było ciężko pracować. Byliśmy w niej od dziewiętej, a kończyliśmy dopiero o osiemnastej. Na początku serialu *Fame* jeden z nauczycieli mówi, że prawdziwa szkoła jest tam, gdzie uczniowie opłacają naukę, wyciskając siódme poty, i właśnie tak to wyglądało w naszym przypadku.

Oczekiwano, że na zajęciach zawsze damy z siebie wszystko. I dawaliśmy.

Nasz kurs miał szeroki program, z mnóstwem przedmiotów praktycznych oraz idących w kierunku naukowym. Musieliśmy czytać i studiować teksty, sztuki i teorie gry aktorskiej, musieliśmy też pisać prace. Zdobywaliśmy wiedzę, mieliśmy zajęcia praktyczne, również z nauczania, a także próby kostiumowe, przedmioty dotyczące spraw technicznych i reżyserskich. Wysyłano nas nawet na praktyki poza uczelnię. Krótko mówiąc, byliśmy stale bardzo zajęci.

To była wyczerpująca harówka, co stanowiło świetny trening, bo zaszczepiło w nas wszystkich etos ciężkiej pracy, a wiedzieliśmy, że będzie się jej od nas wymagać w świecie zewnętrznym, jeśli zechcemy cokolwiek osiągnąć. Wszyscy byliśmy tak zaabsorbowani, że brakowało nam czasu na przyjaźnie, a co dopiero związki, i choć zdarzały mi się zauroczenia kolegami ze studiów, to w tej sferze mojego życia nic się nie działo, co potęgowało poczucie wyobcowania, mimo że miałem nowych przyjaciół.

Nie pomagało też to, że stosunki z Helen, moją nauczycielką, od tamtego pierwszego dnia nigdy tak naprawdę się nie poprawiły. Za bardzo odbiegałem od jej wyobrażenia, jacy studenci powinni znaleźć się na jej kursie reprezentującym naukowy kierunek szkoły. Najwyraźniej według niej nie pasowałem tam i pewnie miała rację. Wszedłem spod matczynej opieki Deane, która prowadziła mnie za rękę, i prawdopodobnie czegoś podobnego spodziewałem się ze strony nowych mistrzów. Ale od Helen nie mogłem tego dostać i skończyło się na tym, że nasze relacje były burzliwe, co nie pomagało mi w radzeniu sobie z nawałem pracy.

Nie chodzi tylko o to, że było dużo do zrobienia; ja po prostu nie miałem do tego przygotowania. Kiedy po raz pierwszy odbierałem swój esej po ocenie, powiedziano mi wprost, że jest do niczego i że nie potrafię pisać – ale przecież nigdy nikt mnie tego nie uczył i najwyraźniej teraz też się na to nie zanosilo. W efekcie czułem się coraz większym głupkiem.

Gdyby nie ten kurs, świetnie bym się bawił w szkole. Lubiłem towarzystwo nowych przyjaciół i było mnóstwo atrakcji. Uwielbiałem spędzać czas w siedzibie związku studentów – wieczorami schodziło się tam towarzystwo wielobarwnych typów z całej szkoły. Drinkowali, gadali. Aktorzy na schodach popijali jacka danielsa i colę i byli superwyluzowani, goście zajmujący się obsługą sceny skupiali się w kącie i unikali kontaktu wzrokowego, a studenci z profilu pedagogicznego stawali tu i tam przy barze, starając się za wszelką cenę nie wyglądać na kujonów. Gdyby nie praca, byłoby pięknie – uwielbiałem zapuszczać się w miasto, z jego sklepami i bazarami, chodzić po klubach w Londynie i w ogóle studenckie życie. Zawsze ciągnęło mnie do imprezowania i wszystkiego, co się z tym łączy, ale dobrze wiedziałem, że w moim życiu były, i pewnie zawsze będą, uzależnienia, więc byłem ostrożny, choć – jak to ja – skłonny do eksperymentowania. Niestety, kiedy przychodziło do nauki, wydawało się, że nic nie jest w stanie mi pomóc.

* * *

Mijał tydzień za tygodniem, a mnie coraz trudniej było nadążyć za innymi. Dla wszystkich te studia były wyzwaniem, ale najbardziej dla mnie. Dostawaliśmy coraz trudniejsze zadania i moje kłopoty zaczęły znajdować odbicie w stopniach. Zostałem wezwany do gabinetu Helen i poinformowany, że niepokoi ją poziom mojej pracy i że będzie bacznie śledzić moje postępy. Potwierdzała moje najgorsze obawy. To było straszne.

W głębi serca wiedziałem, że nie jestem dość bystry jak na ten kurs, ale teraz nie miałem już odwrotu. Byłem zdruzgotany. W chwilach skrajnej rozpaczmyślałem o rzuceniu studiów, ale co to za wyjście? Jak mogłem wracać do Leicesteru przegrany, skoro obiecałem przyjaciołom i rodzinie, że zostanę słynnym aktorem? Rodzice poświęcili swoje skromne oszczędności, żeby pomóc mi przetrwać w Londynie, i czułem się zobowiązany do powrotu do Leicesteru nie wcześniej niż za trzy lata, z dyplomem, aby udowodnić, że ich pieniądze nie poszły na mar-

ne. Czułem też wielką presję, by nie rozczarować Deane. Ona tak się cieszyła, że się dostałem. Gdybym wyjechał, zawiódłbym nie tylko siebie, ale i swój stary college, miejsce, które uratowało mnie od życia bez perspektyw. Gdybym wrócił do Leicesteru bez dyplomu, potwierdziłbym to, co wszyscy podejrzewali i czego sam skrycie bałem się najbardziej – że jestem głupim, grubym chłopakiem, który snuje nierealne marzenia i wszystkich stara się omamić. Studia w Londynie to jedyne osiągnięcie, z jakiego byłem dumny, a wiedziałem, że je zawalam.

I to był moment, kiedy zdecydowałem, że jeśli kiedykolwiek ma mi się udać w tej szkole – i dalej w życiu – to muszę wyglądać tak jak inni. Czas przestać być grubym nastolatkiem. Tylko szczupły mam szansę jakoś sobie poradzić.

Wniosek był prosty. Pieprzyć jedzenie!

Pod koniec pierwszego semestru stałem kiedyś pod szkołą z Lydią. Była już wtedy moją bliską przyjaciółką i powierniczką.

– Jedyne, czego chcę, to być szczupły – wyznałem. – Chcę się czuć piękny, żeby wszyscy mnie lubili.

Patrzyła na mnie zszokowana. Przecież skutecznie przekonałem zarówno ją, jak i innych na kursie, że dobrze mi w mojej skórze. Teraz próbowała mnie pocieszyć. Mówiła, że wszystkim podobam się taki, jaki jestem, ale jej nie uwierzyłem.

Nadszedł czas na szczerłość. Musiałem wyjaśnić to raz na zawsze. Zmęczyło mnie i strasznie wyczerpało udawanie, że wszystko jest w porządku, kiedy przez tyle już lat tak nie było. Tak naprawdę nie cierpiałem swojego ciała. Wstydziałem się go, nie znosiłem tego, że porusza się inaczej niż u wszystkich. Czuję wyraźnie, że tusza stoi mi na drodze do kariery.

Chciałem choć raz wydawać się sobie atrakcyjny i mieć te same szanse co inni. Obwinałem swoje ciało nawet o to, że nie pozwala mi zdobyć wykształcenia. Gdybym nie był tak głupi, aby sądzić, że gdziekolwiek zajdę tylko dzięki temu, że rozśmieszam ludzi i jestem bezpośrednim, wesołym grubasem, to może dokończyłbym naukę w szkole i teraz nie miałbym takich trudności. Obwinałem swoje ciało i o to, że nie pozwala mi znaleźć miłości. Kto uznałby tę kupę tłuszczu za atrakcyjną, skoro nawet ja nie mogę na nią patrzeć? Wszyscy dookoła byli tacy piękni. Zakochiwali się w sobie, tylko ja tkwiłem na ławce rezerwowych.

Choć przyznałem się do swojej orientacji, nadal próbowałem dojść z tym do ładu. Wiedziałem, że jestem gejem, ale nie doświadczyłem dzielenia mojej seksualności z ukochanym mężczyzną. Jakżeby mógł? Co by było, gdyby zauroczyły go mój umysł i dusza, ja odkryłbym przed nim te obwisłe połacie, a on z krzykiem uciekłby, gdzie pieprz rośnie, pełen obrzydzenia do tego, co zobaczył? To byłoby zbyt bolesne. Za duże ryzyko. Wolałem udawać, że jest mi dobrze i niczego mi nie brakuje.

Wmówiłem sobie, że gdybym wyglądał jak inni, to może łatwiej byłoby mi skończyć kurs, a może nawet zyskać szansę zostania aktorem. Teraz wydaje się to idiotyczne, ale byłem kompletnie otumaniony emocjami, które mną targały – wątpliwościami, poczuciem winy, strachem przed porażką. Gdzieś w głębi duszy wiedziałem, że jak zeszczupleję, to nie będę przez to bardziej inteligentny ani lepiej przygotowany, aby ukończyć kurs czy nawet stać się aktorem. Ale jakiś głos w głowie mówił mi, że jeśli już zawałę studia, to musi mi się udać coś innego, żeby trochę złagodzić wyrzuty sumienia.

Jednocześnie jakaś część mnie bała się zeszczupleć. A jeśli w ten sposób stracę swoją osobowość? To jedyne, co we mnie nie wydawało się ludziom groteskowe. Przecież dzięki niej dostałem się na te studia, jej zawdzięczałem to największe osiągnięcie w moim życiu. Lęk ustąpił jednak miejsca determinacji. Chciałem udowodnić wszystkim na kursie, że nie jestem głupi i że mam takie same szanse na sukces, jak każdy z nich. Co z tego, że są bogaci i piękni?

Będę chudy, a im będę chudszy, tym więcej mi się uda. W tym momencie mój mózg został tak przeprogramowany, że widział już tylko jedną drogę do poradzenia sobie w szkole teatralnej. Musiałem stać się chudy jak modelki w żurnalach i koledzy z kursu. Przeszedłem na dietę, ale oczywiście nie miałem pojęcia, jak się rozsądnie odchudzać. Nigdy nie poznałem zasad żywienia i nie wiedziałem, jak ważne jest zdrowe odżywianie ani nawet co to takiego. Nie przyszło mi więc do głowy, że aby się odchudzić, można zrobić coś innego, niż po prostu ograniczyć jedzenie. Nie będę się opychał, to zeszczupleję. Bo tak to działa, prawda? Zanim zacząłem się odchudzać, jadłem gargantuiczne posiłki. Paczka makaronu, cały słoik majonezu i dwie puszki tuńczyka. Mnóstwo jedzenia, ale uważałem, że to zdrowe, bo niesmażone. Potem zacząłem się ograniczać. Nadal jadałem trzy razy dziennie, ale unikałem smażeniny, rzeczy tłustych i zmniejszyłem porcje. Po kilku tygodniach bardzo miernych wyników straciłem cierpliwość. Bardzo chciałem schudnąć przed przyjazdem do Leicesteru na święta Bożego Narodzenia, bo zaplanowałem, że to będzie debiut mojej nowej, szczupłej sylwetki. Myślałem, że muszę zrobić wrażenie na rodzinie tym spadkiem wagi, bo wtedy nie dowiedzą się, jak kiepsko mi idzie na studiach. Potrzebowałem konkretnych rezultatów i był tylko jeden sposób, żeby je osiągnąć – musiałem jeść jeszcze mniej.

Moje racje żywieniowe robiły się coraz mniejsze, żołądek coraz bardziej mi się skręcał. Jeszcze nigdy nie czułem prawdziwego głodu i zaskoczyło mnie, że to tak bardzo boli. Starłem się to ignorować, ale trudno było myśleć o czymkolwiek innym, kiedy burczało mi w brzuchu i tak strasznie ssało. Żołądek domagał się tego wszystkiego, czym go dotychczas wypełniałem. Ale byłem zdecydowany nie poddać się jego żądaniom.

Zacząłem prowadzić żywieniowy pamiętnik. Codziennie zapisywałem w nim, co jadłem i ile pochłonałem kalorii. Każdego dnia starałem się zjeść nieco mniej niż poprzedniego.

Ten dziennik stał się moim nowym uzależnieniem. Mam go do tej pory. Nie zdobyłem się na odwagę, aby go wyrzucić – może dlatego, że przypomina mi, jak nigdy więcej nie chciałbym się czuć, ale może i dlatego, że przywraca mi, w jakiś chory sposób, pamięć o czymś, w czym nigdy nie poniosłem porażki.

Kiedy przyjechałem do Leicesteru na święta, rodzina zauważyła, że trochę schudłem. Miło mi było słuchać komplementów, jak dobrze wyglądam, a pozytywne zainteresowanie bliskich pozwoliło mi zapomnieć, jak bardzo jestem udręczony. Zrzuciłem ponad sześć kilogramów, i to była widoczna różnica, ale wkrótce rodzinne biesiady, pudełka czekoladek i herbatników sprawiły, że zapomniałem o diecie i odzyskałem większość tego, co straciłem.

Nie miało to znaczenia, bo znów byłem szczęśliwy. Miałem przy sobie rodzinę i starych przyjaciół, czułem się bezpieczny i kochany. Nie przejmowałem się dietą czy żywieniowymi dziennikami, bo miałem wokół siebie ludzi, którzy mnie kochali. Przez krótki czas studia przestały się liczyć, poczucie osamotnienia znikło. Opowiadałem bliskim, jak świetnie sobie radzę w Londynie, że mam nowych przyjaciół, którzy są bardzo interesujący i twórczy, zupełnie jak ja. Raczyłem ich opowieściami o pijackich wieczorach w siedzibie związku studentów, o jeżdżeniu metrem po nocy i o tym, jakie niesamowite i wspaniałe jest życie studenta. Nie miałem wyrzutów sumienia, że kłamię. Myślałem, że ich chronię. A poza tym gdybym powiedział im prawdę, tylko martwiliby się o mnie i znów przeistoczyłbym się w to dziecko specjalnej troski, o którym chciałem zapomnieć.

W Boże Narodzenie mama dała mi małe pudełko.

Odpakowałem je i znalazłem w środku klucz.

– Popatrz przez okno – powiedziała, uśmiechając się na widok mojej zdziwionej miny.

Kiedy wyrząłem, zobaczyłem zaparkowanego na dole błyszczącego zielonego volkswagena garbusa. Mama obwiązała go szeroką czerwoną wstążką i zrobiła kokardę. Byłem bardzo wdzięczny – jakich ja mam niesamowitych rodziców! Nie przelewało się im, ale oszczędzali przez wiele miesięcy, żeby zrobić mi taki prezent.

* * *

Pozornie szalałem z radości, ale w głębi duszy gnębiły mnie wyrzuty sumienia. Oni tak we mnie wierzą. Nie mogłem ich zawieść. Byłem zdecydowany wrócić do Londynu nie tylko z nowym autem, ale i odnowionym postanowieniem – zeszczupleję i to mi zapewni sukces.

Przez pierwszych kilka tygodni w szkole było ciężko. Dopadła mnie noworoczna depresja i szybko zatęskniłem za domem. Pochwaliłem się samochodem i już mi spowszedniał. Poza tym zdawałem sobie sprawę, że znów utylę. Miałem zaległości na studiach i byłem coraz bardziej zdołowany.

Znowu zacząłem prowadzić żywieniowy dziennik, zmniejszyłem porcje i ustalałem sobie nowe zasady, ograniczając listę dozwolonych produktów. Cokolwiek wydawało mi się tuczące, było teraz zakazane, i moje spożycie kalorii wyraźnie spadło. Już jakiś czas temu skreśliłem ciastka, cukierki, czekoladę, chrupki i cały ten chłam, który dawniej tak uwielbiałem. Teraz zacząłem ograniczać mięso, ryby, chleb, makaron i – oczywiście – tłuszcze i cukry. Pozwalałem sobie na trochę owsianki, ziemniaków w mundurkach, sałatę, owoce i jogurt. Przyjemnie było znów działać według planu, ale tym razem sam dziennik nie zaspokajał mojej potrzeby przejęcia sterów. Nie wystarczało mi wiedzieć, co zjadłem każdego dnia. Chciałem widzieć efekty.

Musiałem jeść jeszcze mniej. Jedzenie było złem. Zaczynałem to rozumieć. Zadziwiła mnie, ile kiedyś w siebie wpychałem, i teraz odnajdowałem przyjemność w odmawianiu sobie tego, czym kiedyś z taką rozkoszą się raczyłem. Zakazy i ograniczanie sobie porcji sprawiały mi wielką satysfakcję. Ale odchudzanie nadal szło zbyt wolno. Zdecydowałem, że powinienem w ogóle jeść jak najmniej – tylko tyle, żeby jakoś funkcjonować. I zacząłem brać środki przeczyszczające.

Ktoś z przyjaciół mówił mi, że ich przyjmowanie to szybki sposób na zrzucenie wagi, bo powoduje, że jedzenie przelatuje przez organizm szybciej, niż może zostać przyswojone i zamienić się w tłuszcz. Wydawało się, że to dobry pomysł, i uznałem, że te środki nie są szkodliwe, skoro można je kupić bez recepty w każdej aptece. Pierwszy specyfik, jaki nabyłem, nazywał się Sure Lax. Tabletki miały wielkość dwudziestopensówki i smak malinowy. Przeczytałem ulotkę i zacząłem przyjmować zalecaną dawkę. To było niesamowite. Brałem parę tabletek wieczorem, budziłem się rano, szedłem do toalety i oczyszczałem się z tego, co zjadłem poprzedniego dnia. Co za kontrola! Mogłem nie tylko nadal wydzielać sobie małe porcje, ale i mieć gwarancję, że jedzenie nie poleży we mnie na tyle długo, abym utył.

Przez jakiś czas dobrze się to sprawdzało i zauważyłem, że chudnę. Jednak organizm szybko uodpornił się na zalecane dawki, więc zacząłem je zwiększać. Żeby terapia skutkowała, po dwóch tygodniach brałem trzy razy więcej tabletek niż na początku. I wtedy zaczęły się bóle.

Dobrze pamiętam tamte męki. Środki przeczyszczające zniszczyły mi jelita, paliło mnie w brzuchu. Często budziłem się w nocy, skręcając się z bólu. Jedynym sposobem na przerwanie tej męki było walnięcie się w brzuch. Czułem się tak, jakby ktoś kopał mnie raz za razem. Cały dygotałem, a każda cząstka mojego ciała wołała o jedzenie i protestowała przeciwko „nieszkodliwym” małym tabletkom. Ale byłem zdecydowany nie odpuszczać. Chudłem, ale chciałem zrzucić więcej. I szybciej. Dalej brałem środki przeczyszczające.

Bezsenne noce i brak sił zaczęły odbijać się na moich, i tak już bardzo marnych, wynikach na kursie. Opuszczałem wykłady. Robiłem tylko tyle, żeby nauczyciele się mnie nie czepiali. Często nie pojawiałem się na zajęciach i zaczęło to niepokoić kolegów. Przyjaciele martwili się o mnie, ale nie mogli zrobić wiele więcej, niż pytać, czy wszystko w porządku, a ja ich zbywałem. Na ile to było możliwe, trzymałem się z dala od szkoły. Ograniczyłem też kontakty towarzyskie, aby nikt nie zauważył, w jaki sposób się odchudzam. Nie znosiłem uczucia, że się na mnie gapią, i chciałem uniknąć sytuacji, kiedy musiałbym pić albo jeść w czyjejś obecności. Przerazało mnie to, jak bardzo alkohol tuczy, i perspektywa, że ktoś może będzie patrzył, jak jem.

W jakiś sposób Jessica zorientowała się w istocie mojego nowego zaburzenia. Pewnego wieczoru usłyszałem pukanie do drzwi. Otworzyłem. Na progu stał doręczyciel z pizzą. To Jess ją zamówiła. Za ostatnie pieniądze ze swojego stypendium. Żeby tylko coś zjadł w tym tygodniu.

Kiedy wnosiłem ociekające tłuszczem pudełko do swojego mieszkania, byłem na nią wściekły za tę przesyłkę. Wie, że jestem na diecie, a mnie kusi. Dla pewności, że się nie poddam i nic nie zjem, kawałek po kawałeczku wrzucałem pizzę do klozetu i spuszczałem wodę. I nigdy nie podziękowałem Jess za jej miły gest.

Zacząłem dostrzegać wielkie zmiany w swoim ciele. Najpierw zeszczuplała mi twarz. To przypominało trochę patrzenie na rozkładający się, zmieniający kształt kawałek owocu. Nagle ukazały się zarys szczęki, kości policzkowe, oczodoły. Zmiany w moim wyglądzie były dla mnie ekscytujące. Kiedy się w tym rozsmakowałem, chciałem więcej. Nie zadowalała mnie przeciętna tusza. Chciałem być najchudszą osobą na świecie. Widywałem na ulicy dwunastoletnie dziewczynki, których ciała nie nabrały jeszcze kobiecych kształtów, i zazdrościłem im. Oczywiście w głębi duszy wiedziałem, że to niewłaściwe, ale moje dążenie poważnie mąciło mi jasność myślenia.

Wpadłem w anoreksję. Nie zależało mi już na spotkaniach z przyjaciółmi – w tym stanie umysłu byłem bez reszty pochłonięty sobą. Nikt z mojego otoczenia nie mógł zdawać sobie sprawy, przez co przechodzę. Tak naprawdę mnie nie znali. Nie wiedzieli, kim się stałem. Nie mieli pojęcia, jak to jest tak bardzo nienawidzić swojego ciała, że chętnie poodrzynałoby się jego kawałki, aby tylko być chudszy. Nie obchodziło mnie, że się martwią. Jak mają chętność się wtrącać, skoro przedtem byli ślepi? Po raz pierwszy w życiu czułem, że przejąłem kontrolę nad własnym życiem i przeistaczam się w osobę, którą zawsze chciałem być. Ubrania wisały na mnie jak na kij, a ciągły głód wprawiał mnie w ekstazę.

Ale gdy moja waga spadała, a dawki środków przeczyszczających rosły, nauka szła mi jeszcze gorzej. Nadal pojawiałem się na uczelni tylko wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne, żeby nie prowokować wykładowców – którzy zdawali się nie zauważać, w jakim jestem stanie – i całkiem straciłem kontakt ze światem zewnętrznym.

Większość czasu spędzałem w swoim małym mieszkaniu, wypijając hektolitry czarnej kawy ze słodzikiem. Bóle brzucha nadal zjadały mnie żywcem, przestały mi rosnać włosy i paznokcie i stale miałem z głodu kwaśny posmak żółci w tyle gardła. Przykuty bólem do łóżka, zamarzając z zimna, płakałem, aż wreszcie udawało mi się zasnąć w nadziei, że rano obudzę się chudszy. Bardzo chciałem zdobyć się na odwagę i zadzwonić do mamy, by po mnie przyjechała, ale bałem się, że za bardzo ją zmartwię. Co pomyśli, jak zobaczy swoje dziecko w takim stanie – chore i wycieńczone? Jak się poczuje, kiedy się dowie, że jej syn, zawsze taki wesoły, kochający, powoli się zabija? Moje telefony do Leicesteru stały się zdawkowe i rzadkie. Kiedy rozmawiałem z mamą, ukrywałem smutek, plotąc bajdy, jak to cudnie jest na studiach, jaki jestem szczęśliwy i jak to dobrze, że zdecydowałem się na wyjazd do Londynu. Jeśli coś wyczuwała, przekonywałem, że po prostu jestem zmęczony i że bardzo ją kocham. Bałem się, że jak tylko najbliższym zaświta, co się ze mną dzieje, natychmiast pojawią się w Londynie i zmuszą mnie do powrotu z nimi do Leicesteru, co byłoby porażką. Nie mogłem pozwolić, żeby zobaczyli mnie w takim stanie. Zamknąłem więc drzwi przed światem.

Przed końcem semestru zrzuciłem już ponad dwadzieścia pięć kilogramów. W dzienniczku zapisywałem:

Czwartek, 14 marca

1 jabłko, 1 banan i 40 tabletek środka przeczyszczającego

Piątek, 15 marca

2 jabłka, 1 zupka odchudzająca i 40 tabletek środka przeczyszczającego

Sobota, 16 marca

2 łyżeczki miodu, 40 tabletek środka przeczyszczającego

Niedziela, 17 marca

1 kawałek chrupkiego pieczywa, 40 tabletek środka przeczyszczającego

Poniedziałek, 18 marca

1 łyżeczka miodu, 50 tabletek środka przeczyszczającego

Byłem na skraju zagłodzenia się, a jednak ciągle wydawało mi się, że robię za mało. Żebra sterczały, w pasie miałem ledwie sześćdziesiąt osiem centymetrów (to rozmiar damski osiemdziesiąt i, wierzcie mi, jak na mężczyznę o wzroście ponad metr osiemdziesiąt to bardzo niewiele). Głowa wydawała się ogromna na tak kościstej postaci. Ale stale chciałem być chudszy.

Wkrótce wszyscy byli przerażeni moim widokiem. Zauważyli dramatyczne zmiany w moim wyglądzie i psychice. Zrobiłem się zamknięty w sobie, skryty, już nie byłem duszą towarzystwa. Pojawiałem się smutny i nieobecny duchem, zostało ze mnie pół tego chłopaka, który sześć miesięcy temu przybył do Londynu. Nie interesowali mnie przyjaciele, bo za bardzo byłem skoncentrowany na sobie. Inni ludzie, bez względu na ich intencje, stali się dla mnie intruzami. Pogrzeżyłem się jeszcze bardziej w swoim osamotnieniu. Tylko moja obsesja dotrzymywała mi towarzystwa.

Nie pamiętam przyjazdu do domu na Wielkanoc, ale musiałem pewnie spędzić ją z rodziną, bo kiedy zaczynał się nowy semestr, moi bliscy wyraźnie bardzo się o mnie martwili. Zaczęli odwiedzać mnie mój zaniepokojony brat i jego żona Lisa.

Kwok-Lyn i Lisa poznali się w Portsmouth, kiedy byli bardzo młodzi, brat dopiero co skończył college. Po zaledwie kilku miesiącach zalotów Lisa spakowała swoją różową walizkę i przeprowadziła się do Leicesteru jako najnowszy członek naszej rodziny. Podobnie jak mama pod koniec lat sześćdziesiątych Lisa szybko przystosowała się do życia na sposób anglo-chiński i wkrótce i ona wyspecjalizowała się w pakowaniu krewetkowych chipsów, wrosła w rodzinę i w nasze serca.

Kwok-Lyn i Lisa przyjeżdżali do Londynu w swoje wolne dni od pracy w restauracji i mnie karmili. Kiedy mieli się pojawić, dzień wcześniej zażywałem ponad sto tabletek środka przeczyszczającego, żeby się przygotować do jedzenia. Zdecydowany przekonać bliskich, że nic mi nie jest, uciekałem się do chytrego sposobu anorektyków – udawałem, że przyjmuję dobre intencje brata. Podczas jego wizyt jadłem posiłek za posiłkiem po to tylko, żeby zaraz po wyjeździe Kwok-Lyna i Lisy zmusić się do wymiotów albo napakować się środkami przeczyszczającymi. Nie czułem wyrzutów sumienia, że ich oszukuję. Byłem przekonany, że jak schudnę, będę szczęśliwy i wszystko mi się uda, a to uszczęśliwi i moją rodzinę.

Kiedy nie mogli przyjechać, dzwonili i pisali do mnie. To już weszło w zwyczaj – mama dzwoniła i pytała żałośnie, co jadłem, a ja próbowałem ją ucieszyć bajaniem o pizzach i jedzeniu na wynos, a ona indagowała, czy mam dość pieniędzy na jedzenie. Stale dostawałem listy i kartki z zapewnieniami, że ciągle o mnie myślą, że mnie kochają i zawsze są ze mną.

Typowa kartka od mamy wyglądała mniej więcej tak:

Kochany Synku,

mam nadzieję, że pizza smakowała. Przysyłam Ci pięć funtów. Niedużo, ale nie wiem, jak to teraz jest z tym wysyłaniem pieniędzy pocztą. Chciałabym być bogata i móc Ci wysyłać mnóstwo pieniędzy. Włożę trochę na Twoje konto bankowe w czwartek. Kochamy Cię.

Mama i tata

Wiedziałem, że bardzo się o mnie martwią. Oilen próbowała dać mi do zrozumienia, że zdają sobie sprawę z mojego stanu. Pisała do mnie listy – zabawne, pełne ploteczek i żartów na temat diet i anoreksji – ale tak naprawdę widać po nich było, jak bardzo się o mnie niepokoi.

Korespondencja była bogata i szybko kursowała, ale choć wiedziałem, ile w niej miłości i troski, nie miało to wpływu na kurs, jaki obrałem.

Dostałem obsesji na punkcie swojego odbicia. Stawałem nagi przed lustrem i ściągałem obwisłą skórę, żeby wyglądać chudziej. Żałowałem, że nie jestem w stanie zdobyć się na to, by wziąć nóż i poodcinać to świństwo, które wyhodowałem. Pewnej nocy siedziałem nagi na łóżku; przyciskając kolana do piersi, kołysząc się, płakałem. Mówiłem sobie, że mógłbym znów poczuć się szczęśliwy i spełniony tylko wtedy, gdybym wiedział, że za chwilę umrę.

Roilo mi się, żeby popełnić samobójstwo – nie widziałem innego wyjścia. Nienawidziłem swojego ciała i tego, kim się stałem. Byłem pewien, że to mój wygląd jest powodem mojej samotności – ale wiedziałem też, że jestem chory. Zdawałem sobie sprawę, że muszę coś jeść,

bo jak tak dalej pójdzie, to umrę. Ale byłem przerażony, że jak coś zjem, to znowu utyję – a to oznaczałoby porażkę. Wolałem umrzeć, niż jeszcze raz ponieść klęskę. Byłem udręczony głodem, potwornie chciało mi się jeść. Jak wyrwać się z tego upiornego błędnego koła? Po wielu godzinach rozterki i morzu wylanych łez doszedłem do wniosku, że pozostało mi jedynie samobójstwo.

Ale nigdy nie próbowałem się zabić. Za bardzo się bałem. A jeśli mi się nie uda? Jeśli wcześniej znajdą mnie nafaszerowanego tabletkami albo w pełnej krwi wannie? To byłaby kolejna porażka. Ludzie mogliby pomyśleć, że zwariowałem albo zupełnie zgłupiałem, albo – co gorsza – staram się zwrócić na siebie uwagę.

I tak moja koszmarna egzystencja trwała nadal.

* * *

Wczesnym latem byłem kompletnie wycieńczony. Obojczyki sterczały mi tak bardzo, że kiedy brałem prysznic, w dołkach nad nimi zbierała się woda. Nawet przez ubranie widać mi było żebra. Kości miednicy odznaczały się na spodniach, a palce miałem tak zdrętwiałe z zimna, że ledwie mogłem utrzymać filiżankę. Osiągnąłem swój cel – zeszcupiałem, straciłem kolejne trzysta kilo, i chudłem nadal – i choć wydawało mi się, że nadal nie jestem dość szczupły, przynajmniej w swoich oczach zaczynałem wreszcie przypominać rówieśników.

Może przez to spaczone przekonanie coś się we mnie obudziło. Zdecydowałem się wyjść ze swojej izolacji na tyle, żeby wrócić do szkoły i dać sobie ostatnią szansę na osiągnięcie celu. Nie bywałem na zajęciach, bo na trzecim semestrze nie pilnowano tak bardzo obecności, dużo się robiło samodzielnie – szykowanie projektów, pisanie prac, poprawki – ale wiedziałem, że muszę wejść w dawny rytm, jeżeli mam utrzymać się na kursie. Zebrałem więc resztki sił i poszedłem.

Spodziewałem się, że będą traktować mnie inaczej – może moje nowe ciało wzbudzi litość wykładowców i dadzą mi zaliczenia, a może zostaną wyłuskany z grupy i uznany za dość szczupłego, ażeby rozważyć przyjęcie mnie na zajęcia aktorskie. Ale oczywiście podejście do mnie wcale się nie zmieniło – w dalszym ciągu dostawałem ostrzeżenia, że muszę się bardzo sprężyć, jeśli chcę ukończyć kurs.

* * *

Trzeci semestr był poświęcony przygotowaniu i wystawieniu sztuki w Minack Theatre w Kornwalii. To tradycja londyńskiej uczelni – zakończenie pierwszego roku zawsze wieńczy występ w Minack. Studenci przez cały semestr w Londynie zajmowali się przygotowaniem, pisaniem, reżyserią i próbami przedstawienia, które miało być odegrane w Kornwalii. Po raz pierwszy od wieków byłem podekscytowany. To ostatnia szansa na pokazanie swoich zdolności aktorskich.

Do tej pory zorientowałem się już, że moje rojenia, jakoby wykładowcy mieli mnie usilnie namawiać do przeniesienia się na kursy aktorskie, mają mniej niż zerowe szanse się spełnić. Ale teraz hołubiłem inne marzenie. Wyobrażałem sobie, że zauważy mnie jakiś agent od castingów i zaproponuje mi pracę na West Endzie. To by mnie uwolniło od szkoły – i nie musiałbym mówić, że mi się nie udało. Mógłbym twierdzić, że dostałem lepszą propozycję.

Zaczęły się prace nad sztuką, ale w kilka dni mój optymizm legł w gruzach. Nie dostałem żadnej większej roli. Przydzielono mi zadanie zaprojektowania i zrobienia kostiumu syreny. Iglę z nitką miałem do tej pory w ręku raz w życiu, na pracach ręcznych w szkole, lata temu, kiedy uszyłem winogrona z materiału, czym wprowadziłem nauczycielkę w kompletne zdumienie.

Teraz zabrałem się do tworzenia połyskliwego pięknego kostiumu. Byłem otumaniony z głodu i nie umiem sobie przypomnieć, jak to wyglądało, ale według Lydii bardzo się przyłożyłem, naszywając setki sztucznych pereł i skrupulatnie dbając o każdy szczegół. Ja bardziej od skrzęcej się syreny zapamiętałem potworne bóle brzucha, bo dalej katowałem się środkami przeczyszczającymi i funkcjonowałem tylko na kilku łyżeczkach miodu dziennie, od czasu do czasu pozwalając sobie na mały kęs czegoś bardziej konkretnego, kiedy czułem, że bez tego kompletnie stracę przytomność.

Aby wynagrodzić mi jakoś rozczarowanie, że nie dostałem głównej roli, powierzono mi jakiś epizod, rolę szponiastego potwora. Szybko zaczęli go nazywać „Homar” i poczułem się jeszcze gorzej. Upokorzony i zażenowany, martwiłem się, że zobaczy mnie mój wymarzony agent od castingów i nie znajdzie w swoich ofertach zapotrzebowania na skorupiaka.

* * *

Po tygodniach prób i szycia kostiumów, kiedy do premiery zostało zaledwie kilka dni, dotarliśmy do ostatniego etapu przygotowań przed pakowaniem wszystkiego i wyjazdem do Kornwalii. Nie potrafię sobie przypomnieć, dlaczego to się stało ani co było ostatecznym impulsem, ale tego dnia coś we mnie pękło. Nie mogłem już tego ścierpieć ani chwili dłużej. Byłem zmęczony i sfrustrowany i nie potrafiłem zmierzyć się z twardą rzeczywistością, z tym, że znowu ponoszę porażkę. Wiedziałem, że muszę coś zmienić. Znaleźć coś lepszego. Poradzę sobie sam, postanowiłem. Jeśli tu zostanę, nigdy nie będę aktorem.

Tuż przed ostatnią próbą kostiumową odwołałem na bok Helen.

– Odchodzę – powiedziałem. – Przykro mi, że zostawiam wszystkich z takim gównem, ale dłużej nie wytrzymam. Chcę spróbować zrobić to sam. Żałuję, że nie mogę zostać, ale po prostu nie jestem w stanie.

Kiedy to mówiłem, zdałem sobie sprawę, że od wielu tygodni nie czułem się lepiej niż w tej chwili. Wreszcie zdobyłem się na szczerą i to było niesamowite. Nie musiałem już być grubym chłopakiem, który wszystko zawalił. Mogłem być grubasem, który rzucił szkołę, bo jest na nią za dobry. Straciłem złudzenia i bardzo się bałem, ale nie miałem wyboru. W głębi serca wiedziałem, że muszę opuścić szkołę, bo umieram. To miejsce mnie zabijało. Nie mogłem liczyć, że przeżyję, jeśli tu zostanę.

Helen słuchała i patrzyła na mnie tak samo gniewnie jak tamtego pierwszego dnia.

– No, dobrze – powiedziała. – To idź sobie, natychmiast.

– Czy mogę się pożegnać z grupą? – spytałem.

– Nie sądzę, żeby to było właściwe. Lepiej nie robić szumu. Po prostu się ulotnij.

Prosiłem bardzo, aby jednak pozwoliła mi się pożegnać, ale ona warknęła:

– Zabieraj się stąd!

Popatrzyłem na nią chwilę i pomyślałem: „O, nie, szlag by cię trafił, zasługuję na to, żeby powiedzieć »do widzenia«”. Znalazłem jakoś w sobie dość siły, by odsunąć się od niej

i krzyknąć na całe gardło:

– Zbiórka zespołu!

Cały nasz rok zgromadził się w dwóch pierwszych rzędach audytorium. Stałem przed nimi i powiedziałem:

– Strasznie mi przykro, ale dzisiaj odchodzę. Żal mi was zostawiać i będę za wami wszystkimi tęsknić. Po prostu nie mogę już tego ciągnąć. Życzę wam udanego przedstawienia. Będę o was myślał. Do widzenia.

Patrzyli na mnie. Na ich twarzach malowało się kompletne zaskoczenie, byli zszokowani, ale nikt się nie odezwał. Odwróciłem się na pięcie i Homar opuścił budynek.

Drogi Kwoku,

tęsknię za Tobą, tęsknię za nami. Najtrudniej było patrzeć, jak zakochujesz się w Lisie i zaczynasz nowe życie z dala ode mnie. Wiem, że to samolubne, i nie chodziło o to, że nie lubię Lisy, ale że zawsze Cię potrzebowałem. Nigdy nie czuję się tak bezpiecznie jak wtedy, kiedy Ty jesteś ze mną. Jestem taki dumny, że mogę nazywać Cię swoim starszym bratem, moim obrońcą, przyjacielem. Tyle osiągnąłeś w życiu, w tym i to, że jesteś wspaniałym ojcem. Czasami patrzę na Twój świat i zazdroszczę Ci tego, co masz. Wiem, że to mało prawdopodobne, abym ja kiedykolwiek doczekał się własnych dzieci, ale to nie szkodzi, bo Ty wprowadziłeś do mojego życia dwie cudowne istoty, Mayę i Lolę. Dziękuję Ci. Chcę, żebyś wiedział, że nigdy nie przestanę być Twoim młodszym bratem i że jestem Ci bardzo wdzięczny za to, że zawsze miałem w Tobie dyskretnego przewodnika.

Kocham Cię.

*Całuję,
Mały*

Makaron taty

Składniki

paczka błyskawicznego makaronu Doll (o smaku wontonu – brązowe opakowanie) na osobę
posiekane cieniotkie plastry szynki
kilka liści sałaty lodowej porwanych na kawałki
posiekana dymka
jajko sadzone (do podania)

Sposób przygotowania

Ugotuj makaron zgodnie z instrukcją na opakowaniu. Wrzuć szynkę, dymkę i sałatę na dno miski i zalej ugotowanym makaronem. Usmaż jajko i połóż je na gotowym daniu. Jedz. Smacznego.

Przepis: tata Wan

Opuściłem szkołę i znów zaszyłem się w swoim mieszkaniu. Nie chciałem wyjeżdżać z Londynu, przynajmniej na razie, choć wiedziałem, że to niemal nieuniknione – w końcu będę musiał wrócić do Leicesteru. Ale nie potrafiłem pogodzić się z tym, że przyjadę do domu i powiem rodzinie prawdę, przyznam, że nie byłem w stanie wytrwać. Mimo to czułem wielką ulgę, że nie muszę już się szarpać. Wyzwoliłem się od studiów, kamień z serca.

Nie byłem jednak wolny od anoreksji, a efekty rzucały się w oczy. Gruby, niezdarny, ważący sto trzydzieści trzy kilo młodzian zniknął, a jego miejsce zajęła inna skrajna wersja. Byłem nienormalnie wychudzony. Tak naprawdę wyglądałem jak jakiś kosmita. Ale nie umknęło mi przecież, że moda kocha dziewczyny o nogach i rękach jak patyczki i dziwacznym chłopaków o zapadniętych klatkach piersiowych – rozmiar zero i „heroinowy szyk” stały się moim ideałem.

Wiedziałem, że nigdy nie zostanę aktorem, przechodząc typowe etapy kariery – przekonałem się o tym na uczelni – zacząłem więc szukać jakiegoś innego sposobu. W tym czasie sporo osób zajmujących się na serio modelingiem dostawało role w filmach, postanowiłem więc spróbować tej drogi. Zdawałem sobie sprawę, że nie mogę być modelem dla luksusowych czasopism o modzie, zdecydowanie brakowało mi na to urody, ale pomyślałem, że mógłbym być modelem w typie „chłopaka z sąsiedztwa” albo statystą, jakich widuje się w reklamach albo sączących w milczeniu herbatę gdzieś w głębi kafejki filmowanej do serialu *EastEnders*.

Poprosiłem kogoś ze znajomych o zrobienie mi zdjęć w różnych miejscach w Camden. Starłem się sprawiać wrażenie zamyślnego i – jak miałem nadzieję – interesującego faceta. Miałem na sobie dzinsy rurki, T-shirt i starą kurtkę dzinsową w dziecięcym rozmiarze. Ciężkie buty za kostkę wydawały się groteskowo wielkie na moich tyczkowatych nogach, ale cieszyłem się, że wreszcie mogę ubierać się tak, jak zawsze chciałem. Pozowałem do czarno-białych zdjęć w ciemnych okularach, z papierosem w ustach.

Zakradłem się do szkoły, żeby skorzystać z sali komputerowej i zrobić sobie spis wszystkich ówczesnych agencji dla modeli w Londynie. Ze zdobytą listą i swoim – szczerze mówiąc, paskudnym – portfolio wyruszyłem w miasto.

Oczywiście w agencjach rzucali okiem na zdjęcia i mówili: „Niestety, pana wygląd jest dla nas zbyt ekscentryczny” – co było grzeczną formą powiedzenia: „Odpieprz się i zejdz na ziemię”. Odmowa za odmową i znów czułem się, jakbym trafił na mur. Jak mam, u diabła, cokolwiek w życiu osiągnąć? Nikt mnie nie chce. W niczym nie jestem dobry – do jasnej cholery!

Z wyjątkiem oczywiście kontrolowania tego, co jem. Złagodziłem nieco reżim, ale nadal przerażało mnie, że przytyję. Zamiast funkcjonować na samym miodzie i tabletkach przeczyszczających, stosowałem dietę owocową – śliwki, wiśnie, wszystko, co szybko przeze mnie przelatywało i nie dostarczało mi tłuszczu. I nadal brałem środki przyspieszające trawienie. Jedynie cukier z owoców dawał mi teraz siły witalne, a środki przeczyszczające w dalszym

ciągu siąły spustoszenie w moich jelitach i wyżerały wyściółkę żołądka. Byłem wiecznie zmęczony, niemal całkiem wypruty z energii.

Pewnego dnia szedłem Oxford Street z torebką wiśni w garści. Zjadłem ich tyle na pusty, cierpiący na nadkwasotę żołądek, że musiałem je wyrzucić za House of Fraser (nieco mniej elegancko niż pod domem towarowym Selfridges). Agencje mnie odrzuciły, a ja i tak zachowywałem się jak model.

Wreszcie, siedząc samotnie w swoim mieszkaniu, zdałem sobie sprawę, że dalej tak nie pociągnę. Nie mogłem zostać w Londynie bez żadnych perspektyw, prowadząc taki tryb życia. Po prostu nie dam rady. Pewnego dnia padnę albo nie obudzę się z rana.

Zadzwoiłem do mamy i taty. Potrzebowałem ich pomocy. Czy zechcą mnie przyjąć z powrotem?

* * *

W Leicesterze moim bliskim wystarczyło raz na mnie spojrzeć, ażeby się zorientować, że dzieje się coś potwornego. Już wcześniej się tego domyślali, kiedy tak strasznie chudłem, a oni próbowali mnie nakłonić, żebym o siebie dbał. Podejrzewali najgorsze, ale nie mieli potwierdzenia, dopóki nie wróciłem – otępiały, wycieńczony szkielet.

Mamie aż dech zapało na mój widok. Jej oczy wyrażały wszystko. Ale nic nie powiedziała. Z początku nikt nie miał pojęcia, co robić, nikt nie rozumiał, dlaczego i jak to się stało, czy nawet co to jest – a ja tym bardziej.

Wyjątkiem może była Oilen. Silna i bezpośrednia, wiedziała, że to coś poważnego. Zaprowadziła mnie do siebie do pokoju i zażądała wyjaśnień.

Nie miałem już sił walczyć. Byłem wyczerpany i załamany. Poniosłem klęskę, a teraz się zabijałem.

– Już tak dalej nie mogę – powiedziałem i rozplakałem się. – Potrzebuję pomocy. Nie dam już rady.

– W porządku – stwierdziła Oilen. – Idziemy do lekarza. Jeszcze dziś. Od razu, teraz.

Poczułem ogromną ulgę. Moja starsza siostra przejęła dowodzenie. Znalazłem się w bezpiecznym kręgu osób, które – jak wiedziałem – zawsze się o mnie zatroszczą. Na pewno wszystko będzie dobrze.

* * *

Stare numery „Reader’s Digest” i „Woman’s Realm”, które przerzucałem w poczekalni u lekarza, na pewno miałem już kiedyś w rękach. Nie szkodzi. Nie szukałem czegoś do czytania. W tej poczekalni bywałem od dwudziestu jeden lat, kiedy tylko coś mi dolegało. Czysty zapach środka dezynfekującego działał kojąco. Zawsze kiedy wdychałem tę aseptyczną słodką nutę, wiedziałem, że zaraz zostanę wyleczony. Byłem pełen nadziei.

Pupa mi ścierpła, kiedy tak czekałem na wywołanie swojego nazwiska. Tak strasznie schudłem, że czułem, jak kości naciskają na twarde plastik krzesła. To było nawet przyjemne.

Oilen siedziała obok. Nic nie mówiła, tylko trzymała mnie za rękę, jakbym znów był małym chłopcem. Czułem ulgę. Wiedziałem, że jest ze mną, bo mnie kocha.

Droga Oilen, czasami miałaś ochotę mnie zabić i niekiedy myślałem nawet, że to zrobisz. Zawsze byłaś kimś więcej niż starszą siostrą, byłaś mózgiem naszej rodziny i tylko wiek pozwala mi zdobyć się na ten list do Ciebie, ale chcę Ci podziękować za to, że tamtego dnia ze mną byłaś, bo inaczej pewnie nie mógłbym teraz tego pisać. Kocham Cię, Oilen, i dziękuję Ci za to, że zawsze byłaś dla mnie wzorem.

*Całuję,
Mały*

Gdy wreszcie wezwano nas do gabinetu doktora Kabry, Oilen stanęła za krzesłem, na którym usiadłem, i położyła dłoń na moim ramieniu. Panowała cisza, słychać było tylko szelest przeglądanych przez doktora papierów z mojej karty. Byłem zmęczony. Oczy piekły mnie od płaczu, a płakałem non stop od przyjazdu do domu. Brzuch bolał po wczorajszych środkach przeczyszczających, ale wiedziałem, że robię to, co należy.

– No, to słucham, co panu dolega? – zapytał wreszcie doktor Kabra, unosząc wzrok. – W czym mogę pomóc?

– Od siedmiu miesięcy jestem na diecie – powiedziałem, jękając się. – Straciłem ponad sześćdziesiąt trzy kilo, ale obawiam się, że wpadłem w anoreksję. Tak naprawdę wiem, że jestem anorektykiem. Uzależniłem się od środków przeczyszczających. Biorę ich kilkadziesiąt dziennie. Ale czuję, że się zabijam, i już nie chcę tak dalej.

Kiedy wreszcie głośno to powiedziałem, zdawało mi się, że znów się rozpłaczę, ale nie. Wszystko to, co wyznałem lekarzowi, sam dobrze widział. Znał mnie od urodzenia i obserwował, jak przybieram na wadze w wieku czterech lat i stale robię się coraz grubszy. Im więcej mówiłem, tym cięższa robiła się dłoń Oilen na moim ramieniu, aż wreszcie miałem wrażenie, że wpija mi się w obojczyk, ale byłem zbyt odrętwiały, aby czuć ból.

– Proszę zdjąć buty i wejść na wagę – polecił doktor.

Zrobiłem, co kazał, ale odwróciłem wzrok. Nie chciałem zobaczyć, ile kilogramów zrzuciłem. To zbyt bolesne. Wstydzilem się tego, co się ze mnie zrobiło.

Nim wyszliśmy z gabinetu, doktor zaczął pisać coś w mojej karcie. Siedziałem, patrząc na niego, i odczytałem: *Podejrzewam, że Kowkhyn Wan cierpi na anoreksję.*

Poczułem, jakby mnie ktoś walnął prosto w brzuch. On mi nie uwierzył. Uznał, że to tylko podejrzenie. Czy znów poniosłem porażkę? Czy nawet tego nie potrafię zrobić jak trzeba?

Nie zalecił mi żadnego leczenia ani nic innego poza tym, żebym zaczął więcej jeść (ten sposób mogłem zaordynować sobie sam). Oilen zabrała mnie do domu.

Mama czekała na nas cała w nerwach. Kiedy weszliśmy za próg, zalałem się łzami, czego nigdy przy niej nie robiłem, i powiedziałem jej to samo, co Oilen tego ranka – że nie chcę już tak dalej, że nie wiem, co robię i dlaczego, ale nie wiem też, jak to zmienić.

Mama płakała i płakała. Tuliła mnie do siebie i choć bardzo jej potrzebowałem, nie chciałem, żeby mnie obejmowała, nie chciałem, żeby poczuła moje kości. To było straszne. Po raz pierwszy w życiu źle się czułem w jej ramionach. Okropnie. Nie byłem już tym dzieckiem, które niegdyś kołysała. Byłem teraz kimś innym, kimś, kogo nie rozumiałem – i kogo nikt nie rozumiał.

Po raz pierwszy dotarło do mnie z całkowitą pewnością, że muszę zwalczyć chorobę.

Smutek na głębokim tłuszczu

Moja rodzina bez reszty oddała się misji, żeby pomóc mi wrócić do zdrowia. Nie wiem, na ile Oilen zbadała problem zaburzeń łaknienia i sposoby leczenia anoreksji, ale to ona nadzorowała moją terapię. Wszyscy robili, co w ich mocy, żeby zachęcić mnie do jedzenia, namawiali, kusili. Podczas posiłków czułem się skrępowany, bo mnie obserwowali, liczyli każdy kęs, który brałem do ust. Wiedziałem, że muszę jeść, ale nienawidziłem tego, że siadając do stołu, jestem jak małpa w zoo, że przypatrują się, jak żuję i przełykam. Bez względu na to, ile zjadłem, mama namawiała mnie na więcej, pytała, czy przypadkiem nie jestem jeszcze głodny, aż miałem ochotę krzyknąć: „Pewnie, że jestem głodny! Jak mógłbym nie być, skoro żyję praktycznie niczym? Ale to nie znaczy, że jestem w stanie jeść!”.

Nie złościłem się na nich, ale na samego siebie i głos choroby, która ciągle mi powtarzała, że jedzenie jest dla mnie zakazane. Nienawidziłem anoreksji za to, że nastawia mnie przeciwko ludziom, których najbardziej kocham.

Szybko się przekonałem, że choćby nie wiem ile razy przesuwając jedzenie po talerzu, to ono nie zniknie. Anorektycy zawsze szukają winnego. Zastanawiałem się, dlaczego byłem gruby, dlaczego się objadałem i dlaczego nie umiałem panować nad tym, ile jem, kiedy byłem młodszy. Gdybym tylko podziękował za drugą miskę ryżu, to może nie znalazłbym się w takiej sytuacji... Ale w końcu musiałem dojść do tego, że winy nie ponosi ani jedzenie, ani moja rodzina, ani moje obzarstwo. Moja anoreksja wynikała z poczucia, że jestem nic niewart, a szacunku do siebie samego nie kupi się w supermarkecie ani nie da się przywrócić z dnia na dzień. Wiedziałem, że czeka mnie wielki mozół i że to musi potrwać.

Mama starała się, żeby jedzenie było przyjemnością, tak jakbym znów był dwulatkiem. Zaczęła organizować wycieczki i spotkania, którym towarzyszyła i konsumpcja, choć nie jako główny punkt programu. Jednego dnia zapakowała nas nawet do samochodu, kazała tacie wieźć nas pod zamek i nalegała, żebym raczył się kanapkami z ogórkiem i sałatką, które przygotowała na piknik – niezbyt typowy jak na rodzinę Wanów, bo zwykle jadaliśmy w takich sytuacjach szynkę konserwową, kiszony ogórek, chipsy i batoniki czekoladowe. Wiedziałem, że specjalnie się postarała. Tata zrobił zdjęcie mamie i mnie, jak rozpakowujemy wałówkę. Wyglądam na strasznie chorego, kiedy tak stoję przy rozkładanym stoliku turystycznym, gapiąc się na jedzenie, którego nie jestem w stanie nawet tknąć.

To zdjęcie powinno mnie przerazić, ale ja je sobie schowałem, żeby sprawdzać, czy dalej jestem chudy. Dzień, który miał mi pomóc, wykorzystałem wprost przeciwnie – jeśli pozostanę taki chudy jak na tej fotografii, powiedziałem sobie, to w porządku. Chciałem mieć ją stale pod ręką. Miała wzmacniać moją siłę woli, żebym oparł się pokusie jedzenia.

Naprawdę chciałem wyzdrowieć i się starałem, ale to było bardzo trudne – prawie niemożliwe. Zmniejszyłem dawki środków przeczyszczających, ale nie potrafiłem odstawić ich całkowicie, podobnie jak przełamać potężnych mentalnych barier, które wzniosłem, aby bro-

nić się przed jedzeniem, a szczególnie wszystkim tym, co uznałem za tuczące.

* * *

Tymczasem Panda zakończyła działalność. Ostatnio było to już tylko jedzenie na wynos i tata wynajął lokal hinduskiej rodzinie. Uznał, że lepiej przenieść własny biznes gdzie indziej i zacząć od nowa, znalazł więc miejsce w Evington, gdzie na parterze domu z mieszkaniem na górze założył Gong, bar z daniami na wynos.

Wszyscy pracowaliśmy w nowym przedsiębiorstwie. Tata w kuchni z mamą i Kwok-Lynem, a Oilen i Lisa za ladą. Ja lawirowałem między nimi, ale wkrótce uzmysłowiłem sobie, że krzątanie się przez całe wieczory w kuchni to okazja, żeby zrzucić więcej wagi, bo trzeba tam dźwigać ogromne woki w potwornym żarze. Wielkie, pełne ryżu naczynia są tak ciężkie, że można je unieść tylko obiema rękami. Kiedy się z nimi mocowałem, mięśnie na moich wychudzonych ramionach tak się napinały, jakby miały zaraz pęknąć. Bolało, ale byłem pewien, że ciężka praca dobrze mi zrobi na kondycję i nie pozwoli utyć.

Wydawało się, że Londyn mam już daleko za sobą. Tak jakbym nigdy nie był na przesłuchaniach w szkole teatralnej, nigdy nie przebierał się za homara i nigdy nie miał żadnych ambicji aktorskich. Zatoczyłem pełne koło i znalazłem się znów w punkcie wyjścia – pracowałem u mamy i taty.

Nie miałem trudności w kuchni. Kiedy byliśmy dziećmi, tata uczył nas wszystkich gotować. Nadal czasami upiera się, żebyśmy się przyjrzeni, jak się coś robi – umiejętność gotowania to u nas rodzinne dziedzictwo. Przez kilka wieczorów przyglądałem się tacie w kuchni Gongu i nabrałem wprawy w szykowaniu dań z nowego menu. Najczęściej to tata zajmował się bardziej skomplikowanymi potrawami, a ja skupiałem się na dokładaniu ryżu i smażeniu makaronu.

Przez tyle lat jedzenie było moim przyjacielem. Dotrzymywało mi towarzystwa, kiedy czułem się samotny, i pozwalało mi spędzać wyjątkowe chwile z tymi, których kocham. Jedzenie było moim jedynym łącznikiem ze światem, z którego pochodzi tata, pozwalało mi też mówić jego językiem. Teraz już tak nie było. Pomiędzy mną a jedzeniem wszystko było skończone! Stało się moim zaprzysięgłym wrogiem, a olej największym zdrajcą na świecie.

W kuchni baru patrzyłem, jak tata smaży kuleczki z kurczaka na głębokim tłuszczu, i robiło mi się niedobrze. Żołądek mi się skręcał od zapachu wrzącej oliwy. Kiedy tata polewał wok olejem, na widok gorącej, połyskliwej cieczy pokrywającej powierzchnię żółć podchodziła mi do gardła. Kiedy robił sos curry i dolewał chochlą oliwy do kotła, czułem wstręt – tak jakby to była świeża krew z otwartej rany.

Mój mózg znów się przeprogramował. Przypominało to czas, kiedy stworzyłem sobie zestaw zasad, by radzić sobie z paranoicznym lękiem przed napaścią, i wmówiłem sobie, że tylko niektóre części college'u są dla mnie bezpieczne. Teraz to jedzenie znalazło się na cenzurowanym. Niektóre produkty były bezpieczne, a inne groźne. Tak strasznie bałem się znów utyć, że byłem w stanie zrobić dosłownie wszystko, aby do tego nie dopuścić, nawet okłamywać rodzinę. Teraz już zacząłem jeść. Niewiele, ale dość, żeby przestali patrzeć na mnie jak na roroga podczas posiłków. Ale mogłem to robić, tylko bardzo się kontrolując. Główna zasada to żadnego tłuszczu – wszystko musiało być bez niego. Jarzyny i owoce były w porządku, ale le-

piej surowe. Zupełnie wykluczyłem mięso, ryby i większość węglowodanów – poza płatkami zbożowymi bez cukru. Od czasu do czasu jadłem małą miseczkę ryżu, żeby ucieszyć wścibskie oczy moich bliskich. Poza tym jadłem tylko to, co miało na opakowaniu dokładne wyliczenie kalorii, zawartości tłuszczu, węglowodanów i tak dalej. Nie wziąłbym do ust nic, czego składu nie byłem absolutnie pewny. Nie zjadłbym nic, co miało więcej niż parę gramów tłuszczu na sto. Wypełniałem pusty żołądek zupkami odchudzającymi, odtłuszczonymi jogurtami i batonami z suszonych owoców. Jeśli potrzebowałem zastrzyku energii, maczałem palec w miodzie.

Do dziś mama nie pozwala w domu trzymać miodu.

Jedzenie zaczęło przypominać bieg z przeszkodami z omijaniem określonych produktów. W kuchni baru stał ogromny słój z mieszanką suszonych owoców i orzechów. Pozwalałem sobie czasem na pozbawiony tłuszczu, niskokaloryczny suszony owoc, ale nigdy nie tknąłem bogatych w tłuszcz zakazanych orzechów. Choć miałem na nie straszliwą ochotę, byłby to wielki grzech i nie ośmieliłem się ulec pokusie.

Nad barem było nieużywane, zaniebane mieszkanie. Spytałem mamę i tatę, czy mógłbym się tam wprowadzić. Widziałem, że boją się spuścić mnie z oka, ale wiedzieli, że w godzinach pracy baru, kiedy tu są, będą mogli kontrolować, co jem. Argumentowałem, że jem więcej, robię postępy, wracam do zdrowia – i potrzebuję trochę swobody. Nie wiem, czy mi uwierzyli, ale uznali, że lepiej pozwolić mi się usamodzielnic – no, przynajmniej częściowo. Pewnie martwili się, że jak będą mnie na siłę trzymać w domu, to znów zachoruję.

Przeprowadziłem się więc – z ulgą, że znów mam jakąś prywatność. Choć pozwalałem sobie jeść nieco więcej, oczywiście daleko mi było do wyzdrowienia i bardzo chciałem znów być sam. Anoreksja to intymna choroba, cierpienia przeżywa się w odosobnieniu, podobnie jak to jest w przypadku samookaleczania się. To sposób na panowanie nad bólem emocjonalnym, bo im się jest bardziej głodnym i im bardziej się kontroluje, co się je, tym bardziej oswa ja się ten ból i nad nim panuje. Można też o nim zapomnieć, bo ma się spaczoną percepcję – zwykle jest się na zwiększonej dawce kofeiny przez nieustanne picie kawy, ażeby się ocucić, albo jest się tak głodnym, że mózg nie pracuje jak należy i człowiekowi aż się kręci w głowie. Ciągle się przewracałem, potykałem, nie byłem w stanie sprostać obowiązkom i padałem z wyczerpania, tak bardzo mój mózg i organizm były wygłodzone. Ale dopóki skupiałem się na kontroli tego, co jem, nie musiałem odczuwać bólu.

Teraz mieszkałem sam i część bólu wróciła. Czułem się tak zdołowany, przegrany, jakby już nic mi nie zostało.

Kiedy o dwudziestej trzeciej zamykano bar, rodzina się rozjeżdżała, a ja wdrapywałem się do siebie – na piętro paskudnie prześmierdłe smażeniną. Wyciągałem korespondencję, którą dostawałem od rodziców i rodzeństwa w Londynie – dziesiątki listów i kartek, w których zapewniali, jak bardzo mnie kochają i chcą, żebym na siebie uważał. Czytałem je uważnie i próbowałem przekonać sam siebie, że, tak, jestem wart miłości.

I w końcu to ta miłość, jaką przysyłali mi pocztą, mnie ocaliła. Papier może pozółkł, a tusz wypłował, ale w tych kopertach nadal kryły się całe pokłady miłości, troski i ciepłych uczuć. Zdałem sobie sprawę, że nie wolno mi znów poddać się chorobie, bo moim bliskim na mnie zależy. I tak już za dużo przeze mnie wycierpieli.

Wiedziałem, że chcę wrócić do Londynu, ale nie mogłem tego zrobić, dopóki mi się nie po-

prawi, bo inaczej moi rodzice zamartwialiby się na śmierć. Nie mogłem im jeszcze raz tego zrobić. Nie było żadnej pomocy z zewnątrz, żadnego lekarstwa, żadnej psychoterapii. Tylko ja sam w swoim mieszkaniu, czytający te listy i mówiący sobie, że muszę to pokonać. Tak jakby po raz pierwszy od dwunastu miesięcy obudziło się we mnie serce i powiedziało mi, że jeśli się nie zmienię, to umrę. Miłość płynąca z tamtych listów przekonała mnie, że mam po co żyć, a nie, że mam tylko swoją chorobę. Było ciężko, samotnie, a walka dopiero się zaczynała. Nie wiedziałem jeszcze, że moja anoreksja jest jak pasożyt – nawet uśpiony, w każdej chwili jest gotów ożyć na nowo. Nigdy się od niego nie uwolnię.

Kochana Mamo, chcę, abyś wiedziała, że bardzo Cię kocham, i przepraszam, że Cię wystraszyłem. Nigdy nie chciałem Cię martwić. To nie była Twoja wina i chcę Ci obiecać, że już nigdy Cię tak nie wystraszę.

Kocham Cię.

Byłem już w Leicesterze od około roku, kiedy zadzwoniła do mnie Jessica, przyjaciółka ze szkoły teatralnej, która zamówiła mi pizzę osiemnaście miesięcy temu. Jess poznała pewnego faceta, nazywał się Matt, zamierzali razem wynająć mieszkanie. Czy chciałbym do nich dołączyć? Szybciej, niż można powiedzieć: „Dwa ryże z jajkiem i naleśniki”, zabrałem się do pakowania i wyruszyłem do Kingsbury w północnym Londynie.

* * *

Decyzja o tej przeprowadzce w roku 1996 była łatwa, bo dawało mi to o wiele więcej szans niż pozostanie w Leicesterze. Chociaż rzuciłem szkołę teatralną (nie miałem odwrotu, nie mogłem tam wrócić w rozsypce, poraniony i załamany), nie opuściły mnie marzenia. Występy sceniczne nadal były jedynym moim pragnieniem. Poza tym to była jedyna rzecz, jaką umiałem robić. Musiałem tylko podreperować swoje ego, zebrać siły i uzbroić się w cierpliwość, żeby spróbować jeszcze jeden, ostatni raz.

Oczywiście rodzice i rodzeństwo martwili się o mnie, ale wiedzieli, że muszą mnie puścić, jeżeli mam kiedykolwiek wyzdrowieć. To był miecz obosieczny. Gdybym został w Leicesterze, byłbym nadal w depresji, stale rozpamiętywałbym swoją porażkę w szkole teatralnej i najprawdopodobniej choroba znów by mnie wciągnęła. Ale gdybym zamieszkał w Londynie, nie mogliby kontrolować, czy naprawdę wracam do zdrowia. W końcu zgodzili się na mój wyjazd, ale musiałem obiecać, że będę wpadał do domu, kiedy tylko się da, i że będę jadał regularne posiłki.

Jess i Matt znaleźli mieszkanie z dwiema sypialniami w północnym Londynie. Małe i nieumeblowane, na samej górze budynku użytkowego, z widokiem na drzewa i boiska do gry. Jeszcze nigdy nie mieszkałem tak pięknie. Jess i Matt pognali do Ikei i wyposażyli pokoje w nowoczesne meble ze stali i kupili dużą kanapę. Mama dała mi parę mebli i zdobyłem gdzieś sklepowy stojak na ubrania, którego używałem zamiast szafy. Nasz nowy dom wyglądał jak kryzysowa wersja z *Big Brothera*. Był idealny. Bardzo cieszyłem się z tak udanego nowego początku.

Jess też już odpadła ze szkoły. Obciążenie nauką było tak duże, że zaczęła się zastanawiać, czy to w ogóle ma sens. Pięknie śpiewała i – tak jak ja – o wiele bardziej pasowałyby do kursów dla osób występujących na scenie. Teraz znalazła pracę jako recepcjonistka w salonie urody w Richmond. Świetnie jej szło, sumiennie prowadziła zapisy na terapię i mówiła sobie, że to tylko na razie, póki nie dostanie od losu wielkiej szansy – wróżyłem jej wspaniałą karierę.

Postanowiłem też poszukać sobie zajęcia w Richmond, żebyśmy mogli razem jeździć do pracy i spotykać się w porze lunchu. Wiedziałem, że muszę trzymać się blisko przyjaciół, jeśli

mam przeżyć kolejną próbę dojścia do czegoś w Londynie.

Udało mi się umówić na rozmowę kwalifikacyjną w sklepie z wystrojem wewnątrz Habitat. Nie miałem doświadczenia w sprzedaży, ale musiałem się spodobać, bo ze spotkania wyszedłem z etatem sprzedawcy w dziale meblowym. Zaczynałem z miejsca. Nie był to ósmy cud świata, zarobki niezbyt imponujące, ale pracowali tam młodzi ludzie, sympatyczni, przeważnie bardzo uzdolnieni artystycznie – początkujący projektanci, niektórzy nawet z dyplomem, inni studiowali, specjalizowali się w tkaninach dekoracyjnych. To smutne, ile takich talentów ginie w czeluściach magazynów, stoi za kasami, ile tych możliwości twórczych i z trudem zdobytych kwalifikacji kończy na cmentarzysku marzeń w sprzedaży detalicznej!

Szybko zawarłem nowe znajomości i to tu spotkałem swoją najlepszą przyjaciółkę na wieki – E'lain-Ann.

E'lain stanowi dla mnie opokę od piętnastu lat. Jest wesoła, lojalna i – co strasznie wkurzające – zawsze ma rację. Ma talent do przekonywania, że na życie trzeba spojrzeć z innej perspektywy, i kiedy już ci się zdaje, że jesteś w kompletnej dupie, ona wpada pełna pomysłów i zasypuje smutki z naddatkiem tym, co dobre. Co za dziewczyna! E'lain to moja śmietanka na kawie, sól chipsów i światełko w tunelu. Moje życie bez niej byłoby jałowe, pozbawione blasku.

E'lain urodziła się w Singapurze, ale pod koniec lat osiemdziesiątych przyjechała do Wielkiej Brytanii zdać maturę i skończyć studia. W dniu, kiedy się poznaliśmy, trzy miesiące od mojej przeprowadzki do Londynu, miała rozmowę kwalifikacyjną w Habitacie. Przechodziłem koło kuchni w kulisach teatru Habitat i zauważyłem ją przez szybę okienka w drzwiach. Siedziała tam, piękna, o orientalnej urodzie, z pomalowanymi na krwistoczerwono ustami. Miała ciemne, falujące włosy, idealnie proporcjonalną figurę, jak klepsydra, i prawdziwie kobiecy seksapil. Choć nie słyszałem, co mówią, widziałem, że mój szef jest oszołomiony jej charyzmatycznym wdziękiem. To było jak oglądanie niemego filmu, w którym drapieżna *femme fatale* za chwilę zawładnie sercem jakiegoś mężczyzny. Jej występ na pewno był wart habitatowego Oscara!

Kiedy tak ich obserwowałem, zaintrygowany, kim jest ta nieznana kusicielka, poczułem niepokój i ukłucie zazdrości. Ona wchodziła na moją działkę. To ja byłem tu tym kimś egzotycznym, z kim wszyscy chcieli się zaprzyjaźnić. Skandal!

Ja jestem miejscowym chinolem – nie ma miejsca na inwazję z Singapuru!

O zgrozo, E'lain dostała pracę i miała zacząć w dziale meblowym, tam gdzie ja. Ale jaja!

Byłem nieufny i trzymałem ją na dystans, ale szybko moje obawy się rozwiały. Z E'lain było bardzo fajnie i się zakumplowaliśmy. Wkrótce spędzaliśmy razem większość wieczorów i upijaliśmy się w miejscowym gejowskim pubie Richmond Arms. Zarabialiśmy w Habitacie tak mało, że często odmawialiśmy sobie lunchu, żeby mieć na parę piw wieczorem. A kiedy naprawdę byliśmy spłukani, kupowaliśmy na spółkę ćwiartkę taniej wódki, przemycaliśmy ją do pubu (często w dekolcie E'lain), a potem zamawialiśmy sobie coś bez alkoholu i doprawialiśmy naszą kontrabandą.

To było najwspanialsze lato w moim życiu. E'lain i ja opanowaliśmy Habitat. Wygłupialiśmy się, opowiadaliśmy, że zamierzamy przemianować sklep na mini-Chinatown, i straszaliśmy, że porozwieszamy pieczone kaczkę i wieprzowinę na wystawach, a szyld zmienimy na HAA-BI-TAA!

Po raz pierwszy od rzucenia studiów czułem się dobrze. Przyjaźń E'lain dała mi powód, żeby przestać się nienawidzić. Byłem dobrym kumplem, lubiłem słuchać jej zwierzeń i w zamian opowiadać jej o swoim życiu. Nie bałem się przyznać do choroby. Moja pewność siebie rosła i im lepiej znała mnie E'lain, tym łatwiej było nie kryć, że może nigdy nie spełnię swoich marzeń o aktorstwie. Na razie wystarczyło mi, że jestem sprzedawcą i nowym najlepszym przyjacielem.

Kochana E'lain, rybie kulki na patyku, czerwona szminka, fikołki do tyłu na golasa i tańce przez całą noc. Ciepło, miłość i akceptacja.

Twoja lojalność i Twe wsparcie przez te lata trzymały mnie przy życiu. Tyle dla mnie znaczysz, że nie jestem w stanie wymienić wszystkich powodów, dla których tak bardzo Cię kocham. Kiedy dopada mnie smutek czy strach, wiem, że z wycuciem i uwagą zawsze pomożesz mi znaleźć jakieś wyjście. Dla Ciebie pokonam najwyższe góry...

Całuję,
Gok

Zacząłem też lepiej czuć się w Londynie. Tym razem wiedziałem, czego się spodziewać, i zdałem sobie sprawę, jak trudno mi było – przez presję szkoły teatralnej – cieszyć się tym, co to miasto ma do zaoferowania.

A potem stało się coś wspaniałego.

Jess poznała przypadkiem faceta z wytwórni płytowej. Zaśpiewała mu, a on wyraził zainteresowanie podpisaniem z nią kontraktu. Powiedziała, że pochodzi z muzycznej rodziny, a jej siostra Fliss też jest początkującą piosenkarką, no to on i jej chciał posłuchać. W kilka tygodni Jess i Fliss stały się zespołem Dynamo i zaczęły się zdjęcia do wideoklipu.

To było niesamowicie ekscytujące. Jess czekała na taką szansę – wydawało się, że to dla niej przełom. Wytwórnia skontaktowała ją i Fliss z dwoma chłopakami – jeden grał na gitarze, drugi na keyboardzie. Wysłała je do fryzjera, wizażysty i stylistów. Dziewczyny zaczęły chodzić na spotkania i narady do najelegantszych restauracji w Londynie.

Cieszyłem się sukcesem Jess, ale i trochę jej zazdrościłem. Jak może to być tak proste? Choć byłem już jednym z najlepszych sprzedawców w Habitacie, kiedy patrzyłem na sukces Jess, nie mogłem opanować poczucia, że znów znalazłem się w ślepej uliczce. Byłem sfrustrowany, bo bardzo chciałem, żeby Jess się udało, ale jednocześnie pragnąłem, żeby i w moim życiu nastąpił przełom. Tymczasem Jess triumfowała, otwierały się przed nią nowe niesamowite możliwości, a ja dalej dzień w dzień kursowałem pociągiem, żeby poprawiać poduchy, składać i rozkładać kanapy.

Przed kręceniem klipu Jess styliści i makijażysta zaczęli nad dziewczynami pracować. Wydawało się to fantastyczne, że zatrudnia się kilka osób tylko po to, aby one wyglądały atrakcyjniej. Nie miałem pojęcia, co robi stylistka, więc Jess mi to wyjaśniła. Zespół miał popowe brzmienie, powinien zyskać fanów wśród nastolatków, jak grupa S Club 7. Żywe rytmy, modne, młodzieżowe ciuchy, trochę tanecznych ruchów i – szybko, szybko – rekordowa sprzedaż.

Stylistka dostała wskazówki i miała wymyślić, jak powinny i mogą wyglądać Jess i Fliss, ale one miały wrażenie, że kiepsko jej to wyszło. Nie podobały się samym sobie, ubrania były nie takie jak trzeba i dziewczyny się martwiły.

Dostrzegłem w tym pewną szansę i przekonałem Jess, żeby pozwoliła mi się wmieszać i wystylizować ją i Fliss. Jeszcze nigdy nikogo nie stylizowałem, ale wiedziałem, co lubi Jess, i byłem pewien, że mam całkiem niezły gust, jeśli chodzi o ubrania. Uwielbiałem zakupy

i choć byłem prawie bez grosza, godzinami buszowałem po dziwacznych butikach, targach i sklepach, gdzie sprzedaje się odzież z darów, i kupowałem takie rzeczy jak poliestrowe koszule z lat siedemdziesiątych i wążutkie džinsy, pasujące do mojego studenckiego stylu retro. Ubierałem się trochę zbyt młodzieżowo jak na swój wiek (dalej to robię!), ale pewnie dlatego, że przez swoją tuszę straciłem dziesięć lat. Nadrabiałem zaległości – syndrom Piotrusia Pana!

Dziewczyny się zgodziły, chciały, żebym spróbował – w końcu od tamtej stylistki już gorszy być nie mogłem – a wytwórnia nie stawiała oporów, więc zabrałem się do dzieła.

* * *

Jess mówiła mi, że stylistka pożyczyła dla nich ubrania z różnych sklepów. Łatwizna! Nie miałem pojęcia, jak się to robi, ale co w tym może być trudnego?

Po piętnastu latach pracy związanej z modą wiem, jak ciężko jest zdobyć ubrania dla celebrytów. Nawet jak się szuka czegoś dla bardzo znanych aktorów czy muzyków, może być kłopot, jeśli firma uzna, że ten ktoś nie pasuje do ich marki. Większość rzeczy, jakie stylistka może pożyczyć, pochodzi z biura prasowego – to produkcja modelowa, zwykle z kolekcji na następny sezon. Bardzo rzadko (jeśli celebrytka nie jest w modelowym rozmiarze dziesięć) firma pozwala pożyczyć coś z tego, co jest w sklepie, ale to ryzykowne. Kreacje muszą być zwrócone w nienaruszonym stanie, odpowiednim do sprzedaży, w przeciwnym wypadku stylistka zostaje obciążony pełnym kosztem.

Ale wtedy o tym wszystkim nie wiedziałem. I kilka dni później wparowałem przez ciężkie drzwi do Harrodsa bez reszty skupiony na swojej misji – miałem ubrać Dynamo do ich debiutanckiego singla.

Przeleciałem wszystkie działy. Szukałem czegoś młodzieżowego i wystrzałowego, fajnego i zabawnego. Nie zwracałem uwagi na metki, mogły być i z najwyższej półki – Versace, Dior, Chanel – przecież na pewno stylistom wolno brać, co im się żywnie podoba. Nawet jeśli ich celebryci to dwie nieznane dziewczyny z Birminghamu.

Wreszcie zdecydowałem się na kilka oszałamiających kreacji Christiana Lacroix. Tak, tak, projektanta mody haute couture z Paryża, którego nazwisko należy do najbardziej znanych w tej profesji i który ubierał największe sławy świata.

Rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

Gok: Witam, nazywam się Gok Wan. Jestem stylistą.

Pracuję dla nowego zespołu, Dynamo, nad ich teledyskiem. Chciałbym pożyczyć te ubrania dla dwóch wokalistek zespołu. (Kładzie ręce na wielkiej kupie ciuchów).

Sprzedawczyni: Hm... no, tak. Zaraz pomówię z kierownikiem. Czy kontaktował się pan z naszym biurem prasowym w Paryżu?

Gok: O... nie. (Uśmiecha się nerwowo).

Sprzedawczyni: Proszę chwilę poczekać. Zadzwoń do kierownika. Pan wybaczy.

Odeszła dumnym krokiem i zniknęła za drzwiami ukrytymi za pokrytą lustrami ścianą jej działu. Kiedy tak stałem i czekałem, zaczęła mnie ogarniać panika. Cholera, weźmie mnie za złodzieja! Co to jest, u diabła, biuro prasowe? Jess mówiła, że jej stylistka po prostu

pożyczyła ubrania, nikt nic nie wspominał o żadnym pieprzonym biurze prasowym!
Chwilę później sprzedawczyni znów się pojawiła, ale bez uśmiechu.

Sprzedawczyni: Ma pan przy sobie wizytówkę?

Gok: Um... Nie. (Rumieni się jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku).

Sprzedawczyni: Ma pan list od wytwórni?

Gok: Um... Nie. (Rozpaczliwie wypatruje wśród luster drogi ucieczki).

Sprzedawczyni: Pan wybaczy na moment.

Jeszcze raz zniknęła za swoim lustrem. Byłem już tak przerażony, że pot po mnie spływał. Ale nie mogłem teraz po prostu wybiec, prawda? Na pewno zatrzymałaby mnie ochrona i zostałbym aresztowany za próbę kradzieży!

I w tym momencie okazało się, że cztery lata nauki aktorstwa nie były stratą czasu. Kiedy dziewczyna wróciła, postanowiłem przejąć kontrolę nad sytuacją. Nie miałem zamiaru opuścić sklepu bez tych ubrań. To była moja jedyna szansa, żeby pracować dla zespołu. Zanim ekspedientka zdołała otworzyć swoje pokryte szminką od Diora usta, zaszarżowałem.

Gok: No tak... Strasznie mi przykro. Właśnie rozmawiałem z kolegą z wytwórni i chyba wynikło jakieś nieporozumienie. Mój asystent powinien skontaktować się z państwa biurem prasowym, ale mamy takie opóźnienie w kręceniu teledysku, że w efekcie nikt nie zadzwonił. Zespół przylatuje z Japonii dziś po południu i jeśli nie przywiozę im tych pięknych kreacji, będę w poważnych tarapatach. Jeśli mogę coś zasugerować, proszę skserować moją kartę... (sięga po kartę, na której ma może cztery funty)...i w razie problemu po prostu obciążyć mnie pełnym kosztem, dobrze?

Gok: Wiem, że zwykle odbywa się to inaczej, ale zespół i wytwórnia specjalnie prosiły o rzeczy od Lacroix, więc nie chciałbym, by pani miała potem jakieś nieprzyjemności. Może mogłaby pani zrobić ten jeden raz wyjątek? (Szeroki uśmiech na twarzy, dłuższa chwila przerwy).

Sprzedawczyni: No, dobrze. Ten jeden raz, ale niech pan pamięta na przyszłość, że jeśli chce pan pożyczyć ubrania, powinien to pan uzgodnić z biurem prasowym.

Gok: Mój Boże! Ależ oczywiście!

Nie mogłem wprost uwierzyć, że mi się udało! Dosłownie jednym susem wyskoczyłem z Harrodsa z wartymi dziesiątki tysięcy funtów kreacjami w ramionach.

Nie miałem pojęcia, że w przyszłości właśnie w ten sposób będę zarabiał na życie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

W świecie kolorów

Najwyraźniej jednak stylistą nie zostaje się z dnia na dzień. Ubrania okazały się nieodpowiednie dla wytwórni, więc zostały zwrócone do Harrodsa nienoszone. I w idealnym stanie do sprzedaży, dzięki Ci, Chryste!

Niestety, singiel nie odniósł wielkiego sukcesu i Jess wróciła do pracy w salonie urody. To było fantastyczne doświadczenie i sądzę, że Jess niczego nie żałuje, ale ja mam poczucie, że zmarnowano jej talent.

* * *

Trwało lato, a ja coraz więcej czasu spędzałem z E'lain i częściej byłem u niej niż u siebie w Kingsbury (całymi nocami oglądaliśmy w jej łóżku serial *Queer as Folk*, jedliśmy pizzę i żłopaliśmy puszki piwa – co za rozkosz!). Działo się tak częściowo dlatego, że E'lain mieszkała w Richmond, więc mogłem oszczędzić na komunikacji i mieć na wieczorne wypadki, a częściowo dlatego, że czułem się trochę nieswojo jako współlokator pary.

Jednocześnie coraz trudniej było mi w Habitacie. Marzyło mi się coś więcej. Uwielbiałem kolegów z pracy, a z E'lain każdy dzień był zabawny i interesujący, ale wiedziałem, że nie mogę tam zostać i tyrać za marne pieniądze bez żadnych większych perspektyw zawodowych.

Im większy niepokój mnie ogarniał, tym bardziej zaczynałem kontrolować swoje jedzenie. Nadal byłem bardzo szczupły, choć waga ustabilizowała się na zdrowych sześćdziesięciu siedmiu kilogramach (to sporo więcej, niż kiedy ważyłem najmniej – pięćdziesiąt siedem kilo). Ale kiedy tylko czułem, że nic nie osiągam, znów zaczynałem zmniejszać sobie porcje i ściśle określać, na co sobie mogę pozwolić.

Wiedziałem, że muszę opuścić Habitat, bo jeśli tego nie zrobię, znów zacznę się głodzić i znów zawładnie mną anoreksja.

Pod salonem urody Jess mieściła się filia Body Shopu. Jess zaprzyjaźniła się z jej kierowniczką Donną i poradziła mi, żebym pogadał z nią w sprawie pracy. Podczas krótkiej kariery muzycznej przyjaciółki widziałem, jak ją malowali, i zafascynowało mnie, że to takie proste i co może zdziałać zręcznie nałożony makijaż. Kilka razy proponowałem Jess, że ją umaluję przed naszym wyjściem, i pod jej czujnym kierunkiem całkiem nieźle się spisałem. Uczyłem się też robić makijaż sceniczny w Charles Keene College, kiedy grałem w *Kabarecie* na ostatnim roku, znałem więc główne zasady.

Tak się złożyło, że Body Shop w Richmond dał ogłoszenie, że szuka specjalisty od makijażu, żeby zwiększyć sprzedaż kosmetyków kolorowych, a także oferować metamorfozy w swoim punkcie. Spotkałem się z Donną. Zapewniłem ją – stosując gierki ze szkoły teatralnej – że mam ogromne doświadczenie, i dostałem pracę jako ekspert od kosmetyki kolorowej w richmondzkim Body Shopie.

Pożegnałem Habitat bez większego żalu, choć wiedziałem, że będzie mi brakować pracy z E'lain. Coś mi mówiło, że może znajdę swoją drogę do kariery poprzez zajęcie, które bardziej mi odpowiada niż trzymanie się sfery wystroju wewnątrz.

* * *

Od razu polubiłem nową pracę. W Body Shopie było zupełnie inaczej niż w Habilocie. Kameralna, rodzinna atmosfera; czułem się tam jak w domu – a może po prostu bardziej interesował mnie makijaż niż rozkładane kanapy. W parę tygodni moje stanowisko zaczęło cieszyć się wielkim powodzeniem. Wykorzystywałem swoje doświadczenie w obsłudze klientów zdobyte w restauracji taty, talent aktorski podszlifowany w szkole teatralnej i nowe umiejętności zyskane przy sprzedaży w Habilocie i wkrótce każdego dnia dokonywałem metamorfozy za metamorfozą. Czułem się świetnie.

Robiłem tylko dość podstawowy makijaż. Właściwie byłem samoukiem. Czytałem żurnale w salonie urody Jess, orientowałem się więc w nowych trendach i modzie, a moja wrodzona łatwość zestawiania kolorów i decydowania, co do czego pasuje, bardzo się przydała. I pomimo mojego braku doświadczenia klientki mnie lubiły. Byłem serdeczny, sprawiałem, że czuły się piękne. Żartowałem z nimi, wysłuchiwałem ich zwierzeń, doradzałem im w sprawach sercowych, a one za to kupowały u mnie kosmetyki. Miałem wrażenie, że stoję u progu kariery.

Z czasem pokochałem tę pracę. Zarządzałem swoim stanowiskiem, zamówieniami, promocją, utrzymywaniem porządku i – oczywiście – sprzedażą. Odpowiedzialność dodawała mi skrzydeł. Po raz pierwszy czułem, że znalazłem sobie właściwe zajęcie i jestem kimś ważnym, co było dla mnie nowością.

* * *

Podczas gdy w pracy szło mi coraz lepiej, w życiu domowym w Kingsbury coś się psuło. Uwielbiałem Jess, ale czułem, że potrzebuję więcej przestrzeni. Trudno było mieszkać z parą. Większość czasu spędzałem u E'lain i w swoim pokoju, bo nie chciałem przeszkadzać Jess i Mattowi. Matt zajmował odpowiedzialne stanowisko, a Jess ciężko pracowała w salonie. Nic dziwnego, że wieczorami mieli tylko ochotę tulić się do siebie na kanapie i być razem. Ciężka sprawa, jak obok stale pęta się jakiś wysoki Chińczyk, współlokator!

W Habilocie zarabiałem bardzo mało, a Body Shop też nie był zbyt hojny, więc większość pieniędzy wydawałem na komunikację, jedzenie i od czasu do czasu na jakiś wieczorny wypad. W efekcie zacząłem zalegać z czynszem, co – jak teraz wiem – nie było w porządku wobec Matta i Jess. Zdałem sobie sprawę, że muszę znaleźć jakieś tańsze lokum. Poprosiłem mamę i tatę, aby założyli za mnie i spłacili mój dług, i powiedziałem Jess, że się wyprowadzam. To była trudna decyzja, bo Jess stała się moją londyńską rodziną, ale nie mogłem zostać, skoro nie stać mnie było na płacenie mojej działki.

Zastanawiałem się, gdzie by tu się podziać, i zadzwoniłem do Emmy, mojej dawnej przyjaciółki ze szkoły teatralnej. Emma mieszkała w Camden z córką Ellą i swoją siostrą Kathy. Była o kilka lat ode mnie starsza, na studiach zawsze wydawała się nieco tajemnicza, może dlatego że była bardziej dojrzała i już zadomowiona w Londynie. Osoby, z którymi się przyjaźniła, dobrze sobie radziły, były kreatywne, a ona robiła wrażenie poukładanej. Jej życie nie

przypominało kipiącego kociołka problemów jak moje. Robiła postępy. Może po prostu jako matka musiała być bardziej odpowiedzialna, w każdym razie zawsze mi imponowała. Jej świat dawał miłe chwile wytchnienia od stresów na studiach.

Wyjaśniłem Emmie swoją sytuację, a ona od razu zaproponowała, że na jakiś czas, dopóki się nie pozbieram, odstąpi mi tanio pokój Elli. Ella nie miała nic przeciwko temu, żeby spać z mamą. Z wdzięcznością przyjąłem zaproszenie i znów spakowałem swoje rzeczy.

Kochana Jess, tęsknię za Tobą. Troszczyłaś się o mnie, kiedy było mi to najbardziej potrzebne, i zawsze będę Twoim dłużnikiem. Boli mnie, że nasze drogi się rozeszły, ale chcę, byś wiedziała, że zajmujesz wyjątkowe miejsce w mojej pamięci.

Całuję,
Gok

W Camden żyło się wspaniale. Uwielbiałem mieszkanie z dziewczynami. Było wygodnie, dużo przestrzeni. Emma i Kathy pochodziły z hipisującej klasy średniej. Zawsze panował u nich lekki bałagan, ale to mi nie przeszkadzało. Dołączyłem do rodziny z jej rytmem, bezpieczeństwem i brakiem reguł, z wyjątkiem jednej: nie zostawiać odkręconego kranu z ciepłą wodą.

Emma zawsze była pod ręką i zawsze można było z nią pogadać. Nadal studiowała w szkole teatralnej i szło jej świetnie. Była typem naukowca, bardziej lubiła zajęcia z teorii niż praktyczne, kurs był więc dla niej w sam raz. Cudowna przyjaciółka łagodziła moją samotność, podtrzymywała mnie na duchu i sprawiała, że czułem się członkiem rodziny. Z Kathy też się lubiliśmy, a z sześciolletnią Ellą byłem w świetnej komitywie, głównie dlatego, że wybierałem jej stroje i układałem różne fryzury. Byłem jej ciocią Gok.

Od jakiegoś czasu mieszkalem już u Emmy, kiedy wreszcie wyjawilem prawdę o sobie mamie i tacie.

* * *

Zaczęło się od jednego dnia, kiedy odwiedziła mnie siostra z bratem. Był środek lata, mój drugi rok w Londynie. Z powodu mojej choroby Oilen i Kwok-Lyn starali się nadal często do mnie wpadać, żeby sprawdzić sytuację. Chodziło przede wszystkim o to, żeby się upewnić, czy jem, ale przy okazji opowiadali mi różne rodzinne ploteczki i rozmawialiśmy o tym, co u mnie. Tego dnia nie byłem w najlepszym nastroju. Może miałem kaca, a może po prostu akurat nie życzyłem sobie kontroli, jak jem. W każdym razie spotkanie upłynęło w kiepskiej atmosferze, a ja byłem bardziej milczący niż zwykle. Kiedy zegnałem się z Kwok-Lynem i Oilen na balkonie, siostra stwierdziła:

– Byłoby ci lżej, gdybyś powiedział o wszystkim mamie i tacie.

Kompletnie mnie to rozwaliło. Od dawna chciałem się przyznać przed rodzicami, że jestem gejem, ale strasznie się bałem, że ich stracę. Pewnie w głębi duszy wiedziałem, że oni to rozumieją, ale istniało ryzyko, że nie, a tego nie byłbym gotów znieść. Mama i tata tyle mi dali. Przez całe życie troszczyli się o mnie, pielęgowali, kiedy chorowałem, ubierali i karmili, wybaczeni, kochali i pomogli mi pokonać anoreksję. Jak mogę im powiedzieć, że jestem gejem? A jeśli tata, tak mocno związany z chińską tradycją, nie da sobie z tym rady? Co powiedzą jego bracia? Jak mogę zawieść ojca i zrobić z niego czarną owcę w rodzinie tylko dla-

tęgo, że podobają mi się chłopcy? Myśl, że mógłbym obudzić się pewnego dnia bez wsparcia swojej rodziny, doprowadzała mnie do rozpacz. Zawsze byli dla mnie wszystkim. Życie bez nich byłoby zbyt żałosne, nie do przyjęcia.

– Nie – zaproponowałem stanowczo. – To wykluczone. Nie jestem jeszcze gotów, żeby im powiedzieć. Kiedyś to zrobię. Ale nie teraz.

Tęgo wieczoru zadzwonił telefon. To była mama. Poszedłem ze słuchawką na mały balkon i usiadłem. Głos mamy był dziwnie cichy i wylękniony. Spytałem, czy coś się stało.

– Nie, nic – odparła. – Dzieci są u nas.

– O, to świetnie. Fajnie. – Zacząłem nawijać, jak nam minął dzień, ale przerwała mi w pół słowa.

– Ja wiem – powiedziała po prostu.

– Co wiesz? – spytałem.

– Wiem, że jesteś gejem.

Cisza.

* * *

Byłem potwornie zażenowany. Oczy zaszyły mi łzami, zacząłem płakać. Nie mogłem mówić. To się stało za szybko.

Nie byłem gotowy. Myślałem: potrzebuję ich, a teraz mnie znienawidzą. Tata uzna mnie za dziwoląga, obrzydliwca, nienormalnego...

Nagle słoneczny balkon w Camden wydał mi się najsamotniejszym miejscem na ziemi. Przez chwilę nie było już pełni lata, dzieci bawiących się pod domem, a ja nie miałem już swojego miejsca w rodzinie. Cały mój świat przestał się kręcić i serce spadło mi do pięt.

Wreszcie mama odezwała się znowu:

– To nic. Dalej cię kocham. Nie martw się, Mały, zawsze będziesz naszym synem.

Nadal nie mogłem wydobyć z siebie słowa. Czułem się okropnie. Dlaczego mama to mówi? Dlaczego jest dla mnie taka miła, skoro to ja zawałem? To nie przez nią jestem odmieńcem! Nie miała w tym żadnego udziału, a jednak jej głos brzmi tak, jakbym to ja miał jej coś wybańczyć!

Zebrałem się na odwagę.

– Nie mów tacie... proszę... – wydukałem.

Nie zniósłbym potępienia ze strony taty. Niewiele brakowało, a zrujnowałbym rodzinę swoją głodówką, a teraz przeze mnie tacie może zawać się świat i resztki jego dumy pójdą z dymem.

– Nie powiem tacie, na razie – obiecała – ale... on powinien się dowiedzieć.

Milczeliśmy. A mnie łzy płynęły po twarzy. Patrzyłem z balkonu na ulice Camden chyba przez wieczność, z mamą po drugiej stronie linii telefonicznej.

Coming out to coś, na co nie można się przygotować. Nikt ci tu nic mądrego nie poradzi, bo wyjawienie prawdy rodzicom to doświadczenie przeżywane w wielkiej samotności, bardzo osobiste.

Tak naprawdę złości mnie, że to w ogóle trzeba robić. Moja siostra nigdy nie odciągnęła mnie na bok, żeby szepnąć mi w zaufaniu, że jest hetero. Nie musiała ryzykować utraty rodzi-

ny, bo zakochała się w jakimś mężczyźnie. To dlaczego geje muszą przez wszystkie lata dorostania przygotowywać się na ryzyko utraty tych, których najbardziej kochają? To takie niesprawiedliwe.

Ja miałem szczęście, bo wiedziałem, że mama będzie mnie kochać, choćby nie wiem co, i wiedziałem już, że brat i siostra mnie wspierają. Ale z tatą to była zupełnie inna sprawa. Robiło mi się niedobrze ze strachu, kiedy myślałem, jak zareaguje.

Tydzień później znów zadzwoniła mama. Dowiedziałem się, że powiedziała tacie. Wszystko w porządku, zapewniła, on stara się z tym dojść do ładu. Zdawałem sobie sprawę, że powinienem pojechać do domu, spotkać się z tatą. Ale strasznie się bałem tej konfrontacji, udałem, że jestem zbyt zajęty i nie mogę przyjechać. Uznałem, że lepiej unikać kontaktów, i długo nie pojawiałem się w domu po tym, jak wszystko wyszło na jaw.



Życie makijażysty. Trzy górne zdjęcia zrobione przy pracy nad filmem *Neo Man* (ale szpan!)
Dolne – w Hiszpanii. Pojechałem tam na ślub, żeby na zamówienie Dziurawego Dna umalować jego przyjaciół





© ADAM LAWRENCE

Robię *Nago*. Byłem tam i zdzieram koszulkę. Z serii drugiej



© GETTY IMAGES



© ENDEMOL

W roku 2007 zdobyliśmy nagrody TV Quick i TV Choice za najlepszy show lifestylowy

Podczas zdjęć z moją telewizyjną mamą Lorraine Kelly. Jest cudowna!

© PA PHOTOS



Dynastia spotyka dynastię Ming!

Gdybyśmy mieli dzieci,
ich nazwisko
brzmiałoby Wan-Carr!



© ENDEMOL



Tylko sprawdzam,
Piers!!!

© JASON JOYCE



Wywiad z Sarah Jessicą Parker
podczas premiery *Seksu*
w wielkim mieście, 2008



Carol Hayes (moja agentka),
Charlie Duffy (mój makijażysta)
i genialny zespół fotograficzny
po sesji zdjęciowej dla
magazynu „GQ”



Moja córka chrzestna Yasmine
podczas pierwszych urodzin



Moje bratanice Maya-Lily
i Lola-Rose





Z moją najlepszą przyjaciółką E'Lain



Ameneh i E'Lain,
2009



Moi rodzice poznają
Gordona i Sarah Brownów
podczas spotkania
przy herbacie
w chiński Nowy Rok,
luty 2010

© SUNDAY TIMES MAGAZINE (16/3/2008) NISYNDICATION.COM



Oilen i ja – uwielbiam to zdjęcie!!!!



Jako drużba na ślubie
Kwok-Lyna



Filmowanie *Nago*
w Birminghamie.
Bull Ring, 2010



© BIGPICTURESPHOTO.COM:1661

Stan obecny

© TREVOR LEIGHTON

Najazd o północy

100

Po jakimś czasie uznałem, że już zbyt długo nadużywam gościnności Emmy. To bardzo miłe, że pozwoliła mi u siebie zamieszkać, ale Elli potrzebny był jej pokój, więc znów się spakowałem i wyprowadziłem.

Podczas pracy w Body Shopie zaprzyjaźniłem się ze swoją szefową. Donna była zadziorną Irlandką, lesbijką, która przyjechała do Londynu kilka lat wcześniej, bo zakochała się w menedżerke regionalnej. Kupiły mieszkanie w wysokim bloku w Southfields. Budynek był obskurny i zaniedbany, ale nie znałem miejsca w Londynie, skąd roztaczałyby się piękniejsze widoki. W pogodny dzień widać było zielone tereny Wimbledonu, co do pewnego stopnia wynagradzało przykrość jazdy śmierzdzącą sikami windą.

Dziewczyny ostatnio się rozstały i Donna spytała, czy chcę się do niej wprowadzić, nim uzbieram sobie trochę pieniędzy. Wiedziała, że nie wynajmuję już nic w Kingsbury i wyprowadzam się od Emmy. Pozwoliła mi mieszkać u siebie za darmo. Myślę, że bardziej było jej potrzebne towarzystwo niż gotówka.

W Southfields żyłem w oparach alkoholu, wesoło i rozpustnie. Donna i ja zapuszczaliśmy się razem w gejowski Londyn, nabuzowani puszkami piwa Stella. Imprezowaliśmy po całym mieście i gdziekolwiek się pojawiliśmy, znajdowaliśmy nowych przyjaciół. Staliśmy się dobrze naoliwioną maszynką do nawiązywania znajomości, nikt nie potrafił się nam oprzeć. Nigdy nie brakowało zaproszeń na balangi – jak nie my dokądś szliśmy, to do nas przychodzili. W mieszkaniu Donny stałe było mnóstwo puszek po piwie i pełno śmiechu. Wkrótce bardzo się tam zadomowiłem.

Kochani Starzy Przyjaciele, smutno jest się od siebie oddalać. Nie ma dnia, żebym o Was nie myślał. Mogliśmy się kłócić, walczyć ze sobą, ale nigdy nie przestałem Was kochać. Wiecie, że piszę to do Was.

*Całuję,
Gok*

Dobrze mi szło w Richmond i menedżerka regionalna stwierdziła, że powinienem pokazać, jak się to robi, w innych sklepach sieci. Miałem nie tylko być makijażystą w Richmond, ale także odwiedzać sklepy w Putney, na High Street Kensington, Portobello Road i w Whiteleys. Każdemu miałem poświęcać jeden dzień tygodnia.

Cieszyły mnie nowe perspektywy. Miałem wrażenie, że pnę się w zawrotnym tempie po szczeblach kariery. Uznałem, że specjalizacja w makijażu artystycznym zastąpi mi ambicje aktorskie.

Zrobiłem postępy, miałem coraz więcej doświadczenia i nabierałem przekonania, że ten zawód da mi szczęście. Uwielbiałem poznawać nowych ludzi i serdeczne relacje z klientkami – lubiłem stawać się im bliski i słuchać, jak opowiadają o swoim życiu. Miałem wrodzony talent do bawienia się kolorami i stosowania kosmetyków, a sprzedaż przychodziła mi łatwo.

Nowe zadanie wydawało się idealnym awansem. Z entuzjazmem ruszyłem w miasto, żeby pracować codziennie w innym z pięciu przydzielonych mi sklepów.

Było ciężko. Musiałem się zintegrować z bardzo różnymi zespołami, a każdy kierownik miał własną koncepcję, jak jego sklep powinien funkcjonować. Większość cieszyła się, że przyciągnę klientelę, i witała mnie z otwartymi ramionami, ale niektórzy traktowali mnie jak intruza, prawie jak kogoś wysłanego przez firmę na przeszeptki. Nie mogli zrozumieć, dlaczego zostałem tak wywyższony i mogę swobodnie krążyć po mieście, nie podlegając nikomu poza wielkimi bossami. Nie mieli pojęcia, że nadal mam tę samą pensję, jak w swoich początkach w firmie, a kursowanie po mieście oznacza dla mnie tygodniowo dodatkowe dziesięć godzin na przejeździe!

Było coś jeszcze. Wędrując tak, człowiek czuje się samotny. Wkrótce zatęskniłem za przyjacielską atmosferą miejsca, gdzie pracuje się z tymi samymi ludźmi dzień w dzień. Trudno nawiązać bliższe relacje z kimś, kogo widuje się raz w tygodniu, i często brakowało mi koleżeńskich wypraw na piwo czy spotkań, na których można się rozluźnić, pośmiać i lepiej poznać.

Im bliżej centrum, tym trudniej było też zyskać stałą klientelę. Nie zdawałem sobie sprawy, że Richmond to właściwie miasteczko, gdzie klientki są wierne i serdeczne. W sklepach w centrum Londynu panował większy ruch, ale zaglądali do nich głównie turyści i przechodnie, którzy nie mieli czasu na metamorfozy Goka, żebym nie wiem jak się uśmiechał!

Wskaźnik sprzedaży zaczął mi dramatycznie spadać. Sukces zmienił się w koszmar. Starłem się, jak mogłem, ale nic nie działało. Im gorsze miałem wyniki w pracy, tym bardziej cierpiała moja pewność siebie. Kiedy wszystko szło już tak dobrze, obrałem zły kierunek. Wpadłem w panikę. Bardzo chciałem powiedzieć szefowej, że chcę robić to co dawniej, ale moje ego nie pozwalało mi się przyznać do błędu. Wiedziałem, że znów zagłąda mi w oczy porażka, i nie mogłem znieść tego uczucia.

W tym wszystkim postanowiłem odzyskać jakąś kontrolę nad swoim życiem.

Zdecydowałem, że czas, aby mój ukochany poznał moich bliskich.

* * *

Od kiedy rodzice wiedzieli już o mojej orientacji seksualnej, przez kilka miesięcy wymawiałem się od przyjazdu w odwiedzin. Za bardzo się krępowałem. Mama i tata mogli sądzić, że już nie jestem prawiczkim, i patrzeć na mnie jakoś inaczej. Czułem się skompromitowany i zhańbiony.

Najbardziej niepokoiło mnie pierwsze od tamtego czasu spotkanie z tatą. Czy będzie miał opory przed uściskaniem mnie? Czy na sam mój widok zrobi mu się niedobrze? Czy spyta, jak geje uprawiają miłość? Uspokoilem się nieco, kiedy uświadomiłem sobie, że tata nigdy nie rozmawiał ze mną na temat własnego podejścia do seksu – za co byłem mu wdzięczny, choćby z tego względu, że nie miałem ochoty, ażeby lunch podszedł mi do gardła – to dlaczego ja miałbym dyskutować z nim o swoim?

Mama zapewniała mnie, że tacie nie przeszkadza to, że jestem gejem, ale ona zawsze wszystko łągodziła i wiedziałem, że nie do końca można ufać jej słowom.

Zacząłem spotykać się z pewnym chłopakiem, nazwę go tu Jason. Był uroczy, ładny i spr-

wiał, że czułem się atrakcyjny. Mieliśmy zdrowy, przyjemny związek, chodziliśmy razem na miasto, drinkowaliśmy i rozmawialiśmy, a relacje intymne też były udane.

Chociaż już trochę bardziej akceptowałem swoje ciało, nadal dopiero przyzwyczajałem się do nowych kształtów. Czasami to był szok spojrzeć w lustro i zobaczyć szczupłą, miejscami kościstą osobę, a nie kluchę, którą znałem od dwudziestu jeden lat. Jason pomógł mi zapamiętać, że byłem gruby. To, że podobałem mu się fizycznie, bardzo mnie podbudowało.

Przedstawił mnie swoim rodzicom i nadszedł moment, kiedy – jak mi się wydawało – powinienem odwzajemnić ten gest. Pewnego wieczoru zadzwoniłem więc do niego i powiedziałem mu, żeby pakował torbę.

– Zrobimy to! Jedziemy do domu.

Nie minęła godzina, a pruliśmy M1 do Leicesteru.

Dotarliśmy do domu rodziców o północy. Mama i tata cały wieczór pracowali w barze i teraz, z resztą rodziny, siedzieli przy kuchennym stole i zabierali się właśnie do wieczornego posiłku.

Kiedy wchodziliśmy do kuchni, stukot pałeczek ucichł, a wszystkie głowy, nawet psa, odwróciły się do nas, w kierunku drzwi. Nastąpiła krótka chwila milczenia, gdy wszyscy gapi-li się na nas zszokowani. Serce mi waliło, ale wiedziałem, że muszę udawać spokój, aby nie oszaleć, a poza tym ze względu na Jasona. Kiedy pierwszy wstrząs minął, pałeczki znów poszły w ruch, a mama zaprosiła nas nerwowo do stołu.

– Chodźcie, chodźcie – powiedziała. – Weźcie miski... Jesteście głodni?

Zakłopotany, przedstawiłem Jasona rodzinie i usiedliśmy jeść.

Zwykle posiłki w rodzinie Wanów to jak pory karmienia w zoo. Zawsze jest wesoło, mnóstwo śmiechu, jedni drugim coś podtykają, chwala to, co im smakuje, ale tym razem było inaczej. Jedliśmy w grobowej ciszy, unikając patrzenia sobie w oczy, czuliśmy się niezręcznie. Wszystkie nerwy miałem napięte jak struny.

Im robiło się ciszej, tym mocniej docierało do mnie, że popełniłem wielki błąd. To było bardzo nie w porządku wobec taty. Nie widział mnie od czasu, kiedy się dowiedział, że jestem gejem, a teraz zaskakuję go przy jego stole, przy kolacji, o północy, i przywożę kochanka! To wszystko moja wina, ale jestem głupi! Miałem też wyrzuty sumienia z powodu Jasona. Został podstępnie zwabiony do moich rodziców na domową kolację, żebym mógł użyć go jako tarczy, w razie gdyby tata chciał wyrazić wobec mnie dezaprobatę.

Wydawało się, że minęła wieczność, nim wreszcie skończyliśmy jeść. Półmiski ze środka stołu zebrano, tylko gdzieś tam zostały po nich rozsypane resztki ryżu, ale nadal panowało milczenie.

Nagle tata wstał i wyszedł z kuchni. To się nigdy nie zdarzało. Zawsze ostatni wstawał od stołu i zawsze ostatni kończył jeść. Taka była u Wanów tradycja.

Wymieniłem spłoszone spojrzenia z Oilen, Kwok-Lynem i Lisą, popatrzyłem na mamę, która tylko wzruszyła ramionami i uniosła brwi, jakby mówiła: „Nie wiem!”.

Na szczęście Jason nie miał pojęcia, że to było dla taty nietypowe, i – niczego nieświadomy – starał się utrzymać pałeczkami grzybek.

Po kilku minutach zdobyłem się na odwagę, żeby wstać od stołu i pójść poszukać taty, zostawiając w kuchni Jasona. Gdy szedłem, usłyszałem jakieś szuranie w salonie. Stałem w drzwiach i zobaczyłem, że tata rozkłada prześcieradło na materacu na podłodze. Z rogu po-

koju świeżo rozpalony ogień w kominku rzucał na całe pomieszczenie ciepły blask. To był znak. Tata przygotował Jasonowi i mnie posłanie i rozpalił ogień, żeby było nam ciepło. Na swój sposób mówił mi, że nadal jestem jego synem i że nadal mnie kocha. Zaakceptował mnie takim, jakim jestem.

Tata i ja nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą o tym, co to znaczy być gejem. Nigdy nie spytał mnie, jak dwóch mężczyzn uprawia seks, nigdy nie powiedział, że jestem dziwolągiem, i obejmował mnie jak dawniej, kiedy byłem mały. Po latach powiedział mi, że tego nie rozumie, ale zawsze będzie mnie kochał.

To mi wystarczy.

Sos puttanesca

Składniki

duża paczka makaronu (wybierz taki, jaki lubisz)
puszka krojonych pomidorów
puszka anchois w oliwie
20 posiekanych czarnych oliwek
łyżka kaparów
2 spore ząbki czosnku
oliwa z oliwek
cytryna
garść świeżej bazylii

Sposób przygotowania

Ugotuj makaron w dużym garnku osolonej wody. Rozgrzej wok lub dużą patelnię. Polej oliwą, wrzuć posiekany czosnek i anchois. Porozcieraj to draństwo dnem chochli. Dodaj pomidory, czarne oliwki i kapary. Zagotuj i odparuj sos. Odcedź makaron i dodaj do niego sos, mieszając od niechcienia i popijając sobie z puszki piwo. Przełóż do dużej pretensjonalnej misy, posyp hojną ręką świeżymi listkami bazylii i pokrop cytryną. Jedz, trzymając miskę na kolanach, żeby sos porządnie spływał ci po brodzie na ubranie. Jak zjesz, odstaw miskę z boku kanapy i zdrzemnij się z uczuciem miłego nasycenia. Smacznego.

Kiedy uporządkowałem sobie w końcu jedną bardzo ważną część życia, mogłem się wreszcie trochę bardziej odprężyć. Ale martwiłem się pracą. Nadal biegałem po Londynie, dokonywałem metamorfoz w pięciu wyznaczonych mi punktach, ale stała walka o przyciągnięcie klienteli do mojego stanowiska metamorfoz wypalała mnie i wiedziałem, że czas się pożegnać.

Postanowiłem spróbować zrobić prawdziwą karierę w dziedzinie makijażu, ale nie chciałem pozostać przy sprzedaży detalicznej. Pragnąłem zostać profesjonalnym artystą i zmierzyć się z największymi graczami. Zadzwoiłem więc do Ameneh.

Poznaliśmy się pewnego bardzo upojnego wieczoru jeszcze w czasach szkoły teatralnej, w barze studenckim. Była dwa lata wyżej i należała do najzdolniejszych studentów – łobuzica jedna! Miała w sobie pół krwi perskiej, pół angielskiej, dumne metr pięćdziesiąt dwa wzrostu, zabójczy uśmiech i tak sprośny śmiech, że sam Bernard Manning przewracałby się na jego dźwięk w grobie. Armie i ja zaczęliśmy rozmawiać, a kiedy zorientowaliśmy się, że bar zamykają, zaprosiłem ją do swojej kawalerki na drinka (muszę spytać, czy pomyślała wtedy, że proponuję jej seks). Ze cztery godziny przeleżeliśmy na moim pojedynczym łóżku, pijąc tanie wino, śmiejąc się, plotąc byle co i wachając poppersy. Od razu znaleźliśmy wspólny język i nim nadszedł świt, byliśmy już ze sobą za pan brat, co zostało przypieczętowane w oparach azotynu amylu, a czego skutkiem były dwa dni bólu głowy i przyjaźń na całe życie. Później Ameneh dała mi moją śliczną córkę chrzestną Yasmine. Dziękuję Ci, kochana!

Wiedziałem, że dawna koleżanka szkolna Armie pracuje w magazynie „You”, dodatku do „Mail on Sunday”. Spytałem, czy mogłaby mnie z nią skontaktować. Ameneh dała mi numer Kelly, która właśnie stawiała pierwsze kroki jako dziennikarka w dziale stylu i mody. Zadzwoiłem do niej. Po krótkiej rozmowie zgodziła się spotkać ze mną na kawie.

Okazała się osobą niesamowicie uczynną. Rozmawialiśmy z godzinę. Powiedziałem jej, że robiłem mnóstwo makijaży i właśnie tworzę swoją bazę klientów (nie mówiłem, że malowałem tylko panie przy stoisku w Body Shopie). Kelly dała mi spis stylistów, z którymi zetknęła się, pracując dla magazynu, i powiedziała, że powinienem się z nimi skontaktować, bo zwykle to oni zamawiają specjalistów od makijażu na sesje zdjęciowe. Szczególnie polecała mi Sally Simpson.

Powiedziała, że Sally to bardzo doświadczona stylistka w dziedzinie reklamy i że pracuje głównie przy dodatkach weekendowych, takich jak magazyn „You”. Zna absolutnie wszystkich w tym biznesie i jest ogólnie szanowana za swoje umiejętności. To ci dopiero!

Kiedy tylko pożegnałem się z Kelly, zadzwoniłem do Sally. Bałem się, a jednocześnie byłem podniecony, ale miałem przekonanie, że to może być moja szansa. Sally okazała się bardzo urocza i zaprosiła mnie do siebie na następny dzień, żebyśmy się poznali.

Wreszcie znalazłem się na właściwej drodze i miałem nadzieję, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, awansuję i zajmę się tylko profesjonalnym makijażem. To byłoby o wiele, wiele lep-

sze niż Body Shop, a nawet zawód aktora! Bo komu by się chciało tłuc rozklekotanym busem po różnych dziurach z jakimiś egocentrycznymi typkami z marnego teatru? Kochanie, ja robię w modzie!

Następnego dnia pomaszerowałem do dzielnicy St John's Wood, aby spotkać się z Sally w jej mieszkaniu. Było fantastyczne, tak właśnie wyobrażałem sobie mieszkanie stylisty – totalnie wytworne, eleganckie, dopracowane w każdym szczególe jak rolls-royce. Zajmowało dwa piętra w przebudowanym wiktoriańskim domu. Ściany były pomalowane na śnieżnobiało, a nad kominkiem wisiało największe lustro, jakie widziałem w życiu. Naprzeciw siebie stały dwie luksusowe białe kanapy. A pomiędzy nimi, pośrodku, stolik ze szkła i z czegoś, co wyglądało jak platyna. Stolik został wyposażony w stos wielkich albumów, a wszędzie, na każdej dostępnej powierzchni, stały w antycznych ramkach zdjęcia przedstawiające cudowne życie Sally Simpson.

Sally była niesamowita, urzekła mnie bez reszty. Ładnie ostrzyżona na pazia, ubrana na czarno. Od razu poznałem, że to jej codzienny uniform (może z małym dodatkiem odcieni szarości przy specjalnych okazjach). Miała cudownie chropawy głos, co zawdzięczała gorliwemu wypalaniu czterdziestu silk cutów dziennie. Byłem pewien, że nigdy nie rusza się z domu bez czarnych designerskich okularów na czubku nosa. Była jak żywcem wzięta z serialu *Absolutnie fantastyczne!*

Szalenie uprzejma. zaproponowała mi drinka i zaprosiła, żebym usiadł na jednej z luksusowych kanap. Miałem tremę i przycupnąłem na samym skraju. Jeden nieostrożny ruch i fiknąłbym kozła na jej najwyraźniej potwornie kosztowny włochaty dywan.

Trzy fajki, łyk espresso i pięć drgawek później zacząłem się rozluźniać podczas rozmowy. Kim jest ta kobieta? Dlaczego, u diabła, nie spotkałem jej wcześniej? Była niesamowita! Ciepła, miła i najwyraźniej nie przeszkadzało jej, że żarliwie pożądam jej bajecznej kariery. Nie kryła, że odniosła sukces, kiedy dumnie wymieniała listę swoich klientów, opowiadała anegdoty z sesji zdjęciowych i pieprzne historyjki o celebrytach.

Fantastyczne spotkanie. Teraz chodziło mi po głowie tylko jedno: „Jak będę duży, to zostanę kimś takim jak ona!”.

Powiedziałem Sally, że mam nadzieję wejść w środowisko makijażystów. Bardzo mnie zachęcała. Szybko się polubiliśmy i po kilku godzinach opuszczałem jej dom pewny siebie, pełen energii i z bardziej rozbudzonymi ambicjami niż kiedykolwiek przedtem. Sally zdecydowanie była dla mnie wzorem. Panowała nad swoim życiem, osiągnęła sukces, była ceniona w branży i w niewymuszony, naturalny sposób fantastyczna! Wskoczyłem z St John's Wood szczęśliwy, że nawiązałem nowy kontakt i potencjalną nową przyjaźń.

* * *

Nie minął tydzień, gdy Sally zadzwoniła i powiedziała, że poproszono ją o zastąpienie na czas urlopu macierzyńskiego redaktorki działu mody w jednym z najbardziej znanych tygodników dla kobiet. Będzie organizowała co najmniej jedną sesję na temat mody tygodniowo, a poza tym odpowiadała za zdjęcia do artykułów o celebrytach, gdzie jest wymagana stylizacja. Powiedziała, że chciałaby zobaczyć, jaki makijaż robię, i przydzieliła mi cztery zadania. Ja cię kręcę!

Byłem tak zaskoczony, że przez chwilę się pogubiłem i wziąłem wszystkie zlecenia, niepomny, że mam tylko doświadczenie z mojego stoiska w Body Shopie. Ale szybko otrzeźwiałem i wpadłem w panikę. Dostałem fantastyczną szansę, a nie mam narzędzi, żeby się sprawdzić.

Większość czołowych makijażystów dysponuje wartymi tysiące funtów zestawami kosmetyków – niektóre są kupione, inne podarowane przez ludzi z działów reklamy w zamian za umieszczenie nazwy firmy przy zdjęciu. Zdarza się nawet, że makijażysta dostaje torbę kosmetyków do przekazania komuś ze swoich celebrytów.

Ale ja nie miałem takich klientów i jeszcze nigdy nie pracowałem dla żadnego czasopisma. Mój ekwipunek to stara, zapyziała skrzynka na narzędzia, którą sprezentował mi tata, pełna próbek podwędzonych w Body Shopie. Nie ma mowy, żebym władował się z tym na sesję zdjęciową... Żenada!

Jeszcze raz sprawy w swoje ręce wziął aktor, który jest we mnie. Zadzwoiłem do Sally i powiedziałem, jak się cieszę, że się jej spodobałem, i że jestem bardzo podekscytowany perspektywą współpracy, ale jest pewien problem. Podczas sesji zdjęciowej za granicą skradziono mi kosmetyki i dopiero kompletuję sobie nowy zestaw. Kłamiąc, czułem się okropnie, ale nie miałem innego wyjścia. Sally była cudowna. Słuchała i choć nigdy nie dowiem się, czy mi uwierzyła, czy nie, zaproponowała, żebyśmy spotkali się następnego dnia na mieście, bo chce mnie przedstawić swojej przyjaciółce, która prowadzi biuro prasowe jednej z najlepszych firm z kosmetykami do makijażu.

Następnego dnia wyszedłem na prostą! Wparowaliśmy tanecznym krokiem do biura prasowego w Mayfair i dzięki swoim zdolnościom aktorskim wyłudziłem tysiące funtów w kosmetykach do mojego nowego zestawu. Nie mogłem wprost uwierzyć. Przed chwilą nie miałem prawie nic, a teraz tyle, że aż nie wiedziałem, co z tym robić.

Po kilku tygodniach odszedłem z Body Shopu i zacząłem pracować z Sally. Nie byłem jeszcze mistrzem makijażu i najpewniej ona szybko się domyśliła, że nieco przesadziłem, opowiadając, jaki to jestem doświadczony, ale lubiła mnie i pozwoliła mi się uczyć w trakcie pracy. Wiedziała, co potrafię, i nigdy nie wymagała ode mnie cudów. Była zadowolona, kiedy nadawałem twarzom naturalny, „nagi” wygląd, nawet kiedy nie pasowało to do sesji. A ja nie próbowałem robić nic szalonego, bo nie ośmielałem się eksperymentować, skoro zdjęcia miały iść do druku. Po prostu nie mogłem ryzykować, że dam plamę, więc trzymałem się pewnego gruntu, a Sally to chyba nie przeszkadzało.

Wspaniale było zarabiać wreszcie przyzwoite pieniądze. Kasowałem dwieście dwadzieścia funtów za dzień pracy. W niektóre tygodnie mieliśmy trzy sesje, co dawało mi więcej pieniędzy niż miesiąc w Habitable czy Body Shopie. Ding, ding!

Podczas tych sesji bardzo dużo nauczyłem się też o ludziach, celebrytach, fotografach i sobie samym. Z każdym zleceniem moja pewność siebie rosła. A zapędy aktorskie przyćmiła nowo odkryta praca i pasja – makijaż. I nie musiałem nic sprzedawać, co jeszcze bardziej mnie cieszyło.

To właśnie podczas tych sesji zdjęciowych uczyłem się, jak być stylistą. Obserwowałem od początku do końca wszystko, co robi Sally. Jak odczytuje wskazówki od redaktora, o jakie treści, emocje i ujęcia chodzi. Jak umawia się z biurami prasowymi, żeby wybrać ubrania, i wreszcie jak stylizuje na planie, prowadzi sesję i zwraca rekwizyty. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że uczę się zawodu, który kiedyś pokocham.

Czasami, kiedy nie musiałem robić makijażu, Sally prosiła, żebym jej asystował. Uwielbiałem to. Chodziłem z nią na spotkania z rzecznikami prasowymi i patrzyłem, jak uważnie wybiera stroje z długich szeregów ubrań wiszących na stojakach. Potrafiła słodkimi słówkami zręcznie namówić rzeczników do pożyczania jej nieco więcej, niż było to dozwolone. Zachwycało mnie, że przychodzi jej to tak lekko, jakby to było nic – a tak naprawdę to najtrudniejsza część pracy stylisty, zwłaszcza gdy się trafi na jakąś zakutą pałę.

Patrzyłem, jak Sally ubiera modelki lub celebrytów na planie i sprawia, że czują się piękni. Stale ich chwaliła: „Wyglądasz oszałamiająco, kochanie!”. Albo: „Musisz to sobie kupić, jak będą mieli posezonową wyprzedaż, wygląda na tobie bosko!”. Tworzyła fantastyczne kreacje, dodając akcesoria: paski, biżuterię, takie, a nie inne pończochy albo rewelacyjne buty. Dorzucała broszkę, kapelusz albo rękawiczki i nagle wszystko wyglądało wspaniale. Uwielbiałem patrzeć, jak dokonuje tych cudów swoją stylizacją. Była moim mentorem, a ja jej wiernym podopiecznym!

Przez kolejnych sześć miesięcy zgłębiałem z pomocą Sally ten nowy dla mnie świat, ale niestety szybko zdałem sobie sprawę, że to kolejna ślepa uliczka. Odnalazłem krainę, gdzie uwielbiałem pracować, ale nie miałem szans rozwinąć skrzydeł. Nie doskonalilem swoich umiejętności jako makijażysta. A Sally, mimo całej swojej dobroci, nie mogła mi zapewnić przyszłości zawodowej. Była moim jedynym łącznikiem z tym biznesem, nie poszerzałem sieci własnych kontaktów. Frustrował mnie też niedostatek umiejętności potrzebnych, żeby spełnić się jako artysta.

Po niezbyt udanym – przez brak doświadczenia – wykonaniu jednego z przydzielonych mi zadań zleceń bardzo mi ubyło, podobnie jak pieniędzy na koncie. Traciłem pewność siebie i zastanawiałem się, czy kariera makijażysty to coś naprawdę dla mnie.

W dodatku znów byłem bez pary. Zdecydowałem, że muszę trochę odpocząć od Londynu, pracy, imprezowania i chłopaków. Nadszedł czas na przegrupowanie sił i wyznaczenie na nowo swoich celów, spakowałem więc swoje kosmetyki do starej skrzynki i poszukałem schronienia w bezpiecznym kręgu rodzinnego woka.

Pożegnałem się z Donna, wyprowadziłem z Southfields, które było świadkiem tylu wspaniałych chwil, i podziękowałem za wszystko Sally. Wyjaśniłem, że muszę trochę odpocząć.

Wróciłem do Leicesteru wylizać swoje zawodowe rany i zdecydować – być albo nie być makijażystą?

Kochana Ponno, nie mogę zapomnieć o Twoim okropnym bekonie z kapustą! Kiedy usłyszałem, że nie żyjesz, poczułem wyrzuty sumienia, że straciliśmy kontakt. Ale pomyślałem, jak wspaniale było nam razem, i zdałem sobie sprawę, że pożegnania nigdy nie są tak ważne jak nasze wspomnienia.

Spoczywaj w pokoju, Kochana...

Cieężko było zrywać z pracą makijażysty – zasmakowałem w luksusie i zajrzałem do świata, do którego chciałem należeć – ale tym razem przyjazd do domu nie był tak trudny, jak po odejściu ze szkoły teatralnej. Wtedy to anoreksja zmusiła mnie do powrotu. Tym razem sam dokonałem wyboru, chciałem znów znaleźć się w gronie najbliższych, żeby spokojnie się zastanowić, co dalej. Teraz widziałem w rodzinnym domu bardziej źródło siły niż miejsce, w którym szukam schronienia, kiedy ponoszę porażkę. Powrót miał mi pomóc w przejściu do kolejnego etapu życia.

Pod wieloma względami cudownie było znów się tu znaleźć (zawsze tak dobrze mi w czułych, niosących pociechę objęciach mamy Wan), ale w ciągu kilku miesięcy dotarło do mnie, że w Leicesterze nie zostało moje serce, tylko moja rodzina.

Mój przyjaciel Phil zadzwonił do mnie w samą porę. Mówił, że szuka współlokatora. Chodziliśmy ze sobą, ale krótko, bo tylko tydzień, nim uświadomiliśmy sobie, że nasze języki pasują bardziej do pogaduszek niż pocałunków, i zostaliśmy bliskimi kumplami.

Choć nie miałem pracy, wiedziałem, że muszę skorzystać z okazji. Tęskniłem za E'lain, innymi przyjaciółmi i zgiełkiem wielkiego miasta. Byłem wdzięczny, że w Leicesterze zawsze mogę czuć się jak w domu, ale tylko w Londynie potrafiłem być szczęśliwy, bez względu na to, czy pracowałem przy makijażach czy nie.

Zdecydowałem, że nieważne, jaką pracę tam znajdę – byle zarobić trochę pieniędzy. Nie chciałem znów mieszkać w Londynie, ledwie wiążąc koniec z końcem, bo z tego częściowo wynikały moje problemy ostatnim razem. I byłem w pełni świadomy, że to moje trzecie podejście, żeby zadomowić się w Londynie. Nie było miejsca na pomyłki.

Zacząłem szukać pracy w Londynie, jeszcze mieszkając u mamy i taty, ale nie miałem pojęcia, co chcę robić. Ambicje aktorskie dawno sobie odpuściłem, a wydawało się, że zbyt trudno będzie się przebić w profesji makijażysty.

Zadzwoniłem do koleżanki, która pracowała jako konsultantka od rekrutacji, i poprosiłem o radę. Wiedziała, że nie mam formalnego wykształcenia i żadnych prawdziwych umiejętności poza robieniem podstawowego makijażu. O dziwo, radziła, żebym spróbował znaleźć coś w rekrutacji. Powiedziała, że dni pracy są długie i że tak naprawdę za ogłoszeniami kryją się tylko oferty dla sprzedawców, ale ponieważ mam łatwość nawiązywania kontaktów i dobrą gadkę, to uważa, że będę w tym bardzo dobry.

Zgodnie z jej radą poszperałem w sieci i znalazłem przedsiębiorstwo poszukujące młodszych specjalistów do spraw e-rekrutacji. Podstawowe wynagrodzenie było marne, ale ogłoszenie skusiło mnie obietnicą, że możliwości zwiększenia zarobków są nieograniczone. Nie miałem przygotowania komputerowego, umiałem tylko korzystać z internetu, ale oferta zapewniała pełne szkolenie i nie wymagano żadnego doświadczenia.

Zadzwoniłem, odbyłem rozmowę kwalifikacyjną i w ciągu dwóch tygodni znów byłem

w Londynie. Zaczynałem pracę jako konsultant od rekrutacji. Czy to było to? Czy znalazłem swoje prawdziwe powołanie? Czy doradztwo w rekrutacji będzie tym kochankiem, którego zawsze wypatrywałem?

Bzdura! To było gównem!

Phil i ja znaleźliśmy dom w Vauxhall i zostaliśmy współlokatorami. Mieszkanie pełne ciepła i miłości stało się moim drugim domem po Leicesterze. Wreszcie odnalazłem poczucie bezpieczeństwa i spokój. Od chwili, kiedy tam wszedłem, wiedziałem, że to będzie wyjątkowe miejsce. To tutaj wyrosłem na człowieka, którym dziś jestem.

Zacząłem pracę w oddziale przy Tower Bridge, gdzie szefowa z wielką satysfakcją opowiadała nam, jak dużo zarabia i na co to wydaje, co nie działało najlepiej na morale. Wytrzymałem tam kilka tygodni, zanim uznałem, że już więcej nie ścierpię jej historii z wyższych sfer, i odszedłem.

Udało mi się dostać inną pracę po drugiej stronie rzeki, niedaleko Spitalfields, i tam zostałem około trzech miesięcy, zanim przyszedł czas mojego trzeciego (i ostatniego) zatrudnienia w IT, które potrwało około ośmiu miesięcy. Nie wiem, jak udało mi się tam utrzymać tak długo, bo nie miałem zielonego pojęcia o e-rekrutacji, ale spodobałem się, bo świetnie sobie radziłem z klientami. Potrafiłem brać ich pod włos, oczarować, a potem zaprosić na lunch albo drinka i rozbawić. Przez cały ten czas nie dobiłem ani jednego targu, ale dzięki mnie klienci do nas wracali, a reszta kolegów w biurze mogła wziąć na siebie część dotyczącą rekrutacji. Szefowie uznali więc, że jestem wart swojej płacy, choć nie przyniosło mi to nic ponad mikroskopijną kwotę bazową, bo nigdy nie zapracowałem bezpośrednio na jakiś procent.

Byłem spłukany, znów coraz bardziej zadłużony i otumaniony nudą pracy biurowej. W dodatku przez siedzenie za biurkiem przybrałem przez ten rok prawie trzynaście kilo. Jedyną pociechą było to, że jestem w Londynie i mam blisko siebie w Vauxhall swoich „halo, halo”, jak ich nazywałem, sprawdzonych przyjaciół.

Strasznie się martwiłem i nie mogłem uwierzyć, że znów mi się nie udało. Czy to już tak ma być przez całe moje życie? Straciłem kolejny pieprzony rok i wróciłem do punktu wyjścia, jeszcze bardziej zdołowany i gruby jak jasna cholera. Znowu!

Po naradzie z przyjaciółmi i rodziną podjąłem jedną z najlepszych decyzji w życiu. Złożyłem wypowiedzenie, spaliłem swoje tanie garniturki i znalazłem pracę kelnera w restauracji w Kensington.

* * *

Po roku tak miernych osiągnięć wspaniale było robić coś, co doskonale umiałem. Nie obchodziło mnie, że tu nie mam służbowych wizytówek ani teczki, że nie muszę chodzić na zebrania zespołu i spotkania z klientami, i nie obchodziło mnie, że wygląda to tak, jakbym cofnął się w karierze. Kelnerowanie miałem we krwi i w tym byłem naprawdę piekielnie dobry.

Uwielbiałem spędzać czas w restauracji, która miała gejowski charakter i w której serwowano za duże pieniądze proste dania: rybę z frytkami, kiełbaski z puree, zapiekankę pasterską. Od razu poczułem się tam jak ryba w wodzie.

W dwa miesiące straciłem te trzynaście kilogramów i spłaciłem część długów dzięki ciężko zapracowanym napiwkom. Z wielką przyjemnością dbałem, żeby goście dobrze się bawili,

a oni za to byli dla mnie hojni. Tak jak robiłem to w restauracji taty jako dziecko, starałem się obsługiwać stoliki z takim zapalem, że goście czuliby wyrzuty sumienia, gdyby skąpili pieniędzy. Szybko przypomniałem sobie, jak oszacować, czy towarzystwo da w napiwku ponad piątkę, i ci, którzy wyglądali obiecująco, mogli liczyć na szczególne traktowanie „a la Gok”.

Ze względu na moją azjatycką urodę starszycy często prosili, żebym to ja ich obsługiwał. Odpinałem jeden guzik więcej przy koszuli, przysiadałem im na kolanach, przyjmując zamówienie, i czasem muskałem dłonią po ramieniu, podając rachunek. To był gwarantowany sposób, żeby wetknęli mi dwudziestofuntowy banknot do kieszeni spodni. W dobre wieczory mogłem przynieść do domu nawet dwieście funtów z napiwków. Może to zabrzmieć tak, jakbym stał się dziwką w przebraniu kelnera, ale to było niewinne – nie robiłem nic więcej ani mniej niż dziewczyny roznoszące wódkę w barach.

Praca w restauracji pozostawiała mi też dość czasu na zastanawianie się, jaki powinien być mój następny krok na drodze do kariery. W wolnych chwilach snułem marzenia, jak będzie wyglądało moje życie za dziesięć lat. (Oczywiście nie przyszło mi do głowy, że będę pisał autobiografię!). Przez krótki czas brałem pod uwagę powrót do szkoły teatralnej, tym razem jako nieco mądrzejszy i silniejszy, ale zdawałem sobie sprawę, że jeszcze nie w pełni pozbierałem się po ostatnim podejściu. Rozważałem też, czy nie zostać przy gastronomii, może zająć się zarządzaniem, ale wiedziałem, że tylko się znudzę i będę musiał zaczynać wszystko od początku. Zdecydowałem się więc na jeszcze jedną, ostatnią próbę związaną z makijażem i stylizacją.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Agent poszukiwany

Kiedy pracowałem z Sally Simpson, spotykałem innych makijażystów, fryzjerów i stylistów. Wszyscy mówili o swoich agentach. Za dwadzieścia procent od tego, co zarobi artysta, agenci znajdowali im pracę, negocjowali warunki, zajmowali się rachunkami, zawieraniem umów z klientami i ogólnie czuwali nad tym, żeby ich podopieczni pracowali dla właściwych firm. Wykombinowałem, że jeżeli naprawdę mam wejść w ten biznes, musi mnie ktoś reprezentować. Ale miałem też świadomość, że brak mi doświadczenia i trudno mi będzie znaleźć agenta, a już na pewno nie mogę liczyć na kogoś z górnej półki, bo ci zajmują się tylko osobami o ugruntowanej pozycji. No, ale musiałem jakiegoś zdobyć, bo byłem pewien, że bez tego nie dostanę zleceń.

Świat mody słynie ze snobizmu i ma dla niego wielkie znaczenie, przez kogo artysta jest reprezentowany. Czołowe agencje w Londynie obsługują najbardziej prestiżowych klientów i chcą mieć w ofercie wystrzałowych mistrzów makijażu. Nie byłem wystrzałowym makijażystą, ale wiedziałem, że gdyby udało mi się przekonać jakiegoś agenta do reprezentowania mnie, to nauczyłbym się tyle, ile trzeba, żeby z mało wystrzałowego stać się bombowym specem. Jedną z głównych trudności było to, że nigdy nie dorobiłem się portfolio, które mógłbym pokazywać jako dokumentację swojej pracy, co było absolutnie konieczne. Bez portfolio nie weźmie mnie nigdy żaden agent. Uznałem, że muszę coś wykombinować.

Nie wiem, czy to dzięki pewności siebie, którą zyskałem, dobrze radząc sobie w restauracji, zdecydowałem się na tak śmiały krok. W każdym razie przez całe życie najlepsze okazje zdarzają mi się wtedy, kiedy w siebie wierzę – czy chodzi o zlecenie wystylizowania zespołu, występ w telewizji czy o zaproszenie na randkę. Coś dobrego spotyka mnie jedynie wtedy, kiedy jestem zadowolony z cioci Gok.

Był początek lata roku 2000. Miałem dwadzieścia sześć lat, nadal mieszkalem w Vauxhall z Philem i dobrze zarabiałem w restauracji. Życie wydawało się piękne i czułem, że szanse są w zasięgu ręki. Chciałem po nie sięgnąć.

Pewnego dnia usiadłem sam w kafejce tuż przy Soho Square uzbrojony w plan miasta i stertę żurnali. Uważnie przeglądałem jeden po drugim i wynotowywałem sobie wszystkie agencje reprezentujące makijażystów pracujących dla tych czasopism.

Najwyraźniej to był dobry miesiąc dla Carol Hayes Management, bo znaleźli się w czołówce. Natychmiast do nich zadzwoniłem i umówiłem się na spotkanie, aby się przedstawić. Powiedzieli, że mogę wpaść za godzinę, by pomówić z agentem, i podali mi adres. Popatrzyłem na mapę i na szczęście ich siedziba mieściła się kilka minut od kawiarni. No, świetnie!

Godzinę później już tam byłem. Carol Hayes Management zajmowało pierwsze piętro biurowca. Na pierwszy rzut oka wewnątrz wydało mi się trochę szare, nie robiło wrażenia czołowej agencji – zwyczajne biuro, jak każde inne. Uczciwie przyznam zresztą, że nie miałem

pojęcia, jak powinna wyglądać czołowa agencja, no, ale nie było ochrony, plakatów z okładkami „Vogue’a” na ścianach i nigdzie w pobliżu nie kręcił się Jerry Maguire. Za to był niezły hałas. Telefony dzwoniły, ludzie krzyczeli i stale ktoś wchodził albo wychodził. Część przewijających się tu osób wyglądała fantastycznie, w stylu Sally Simpson, w udrapowanych warstwach czerni, część ubrana była kompletnie na luzie, w dzinsy i sportowe bluzy.

Wszyscy nieśli wielkie teczki dla plastyków, pewnie mieli tam swoje portfolio, co mnie nieco speszyło i nawet poczułem mdłości. Zdałem sobie sprawę, że naprawdę trzeba mieć tupet, żeby próbować podstępem tu się wcisnąć, ale, do licha, skoro w przeszłości udało mi się tyle razy kogoś zbajerować, to chyba i teraz dam radę? Starałem się zachować spokój i nie tracić pewności siebie.

Usiadłem w recepcji i czekałem na spotkanie z agentem, który zgodził się poświęcić mi chwilę. Serce mi waliło. Co ja, do diabła, wyprawiam? Ktokolwiek to jest, na pewno od razu przejrzy moje gierki i wykopie mnie za drzwi, kiedy tylko otworzę dziób.

Po niezbyt długim czasie zostałem poproszony na spotkanie z panią, która przedstawiła się jako Julie. Szokująca piękność; później dowiedziałem się, że zanim została agentką i najważniejszym bookerem dla Carol Hayes, szefowej agencji, była modelką.

Widziałem, że Julie stara się mnie rozpracować. Nie kryła się z tym, że ocenia, co mam na sobie, przypatruje mi się od stóp do głów, aby sprawdzić, czy jestem obiektem godnym uwagi i odpowiednim dla agencji. Nerwy zaczęły brać górę, przełączyłem się więc na automatycznego pilota. Bądź po prostu uroczy i przekonujący, powiedziałem sobie, to może wyjdiesz stąd na własnych nogach, a nie wywalony za próg. Przedstawiłem się z pewnym uściskiem dłoni i uśmiechnąłem się miło. Siedliśmy przy dużym biurku i zaczęliśmy rozmawiać. Powiedziałem, że od wielu lat zajmuję się makijażem (bujda), i przeprosiłem, że nie mogę jej pokazać portfolio, bo zostało w Nowym Jorku w wytwórni filmowej (czerwienię się, kiedy to piszę!). Wyjaśniłem, że miałem mnóstwo zleceń, ale dotąd reprezentowałem sam siebie (mnóstwo zleceń = kłamstwo, reprezentowanie siebie = prawda). Rzuciłem kilka nazwisk fotografów (wszystkie z magazynów, które właśnie czytałem) i na koniec dodałem, że jestem odpowiedzialnym i kompetentnym artystą, który chętnie wykona każdą zleconą przez nią pracę.

Julie była bardzo miła, podziękowała za zgłoszenie się do nich i powiedziała, że będziemy w kontakcie, jeśli znajdzie się dla mnie miejsce w ich ofercie. No i już – w dwadzieścia minut było po wszystkim. Wyszedłem z agencji, nie mając pojęcia, jak mi poszło. Czy Julie przejrzała moje matactwa, czy też zdołałem ją skołować swoimi entuzjastycznymi uśmiechami?

Niesamowite, ale Julie zadzwoniła do mnie następnego dnia i powiedziała, że Carol Hayes Management chętnie wpisze mnie na swoją listę. Byłem w siódmym niebie. Nie mogłem uwierzyć, że zdołałem to przeprowadzić i załatwiłem sobie agenta w tak prestiżowej agencji.

Później odkryłem, że Julie od razu zauważyła mój brak doświadczenia, ale spodobałem się jej i pomyślała, że jest we mnie coś świeżego. Przejrzała moje czcze przechwałki i nawijkę, ale doszła do wniosku, że dobrze sobie poradzę z klientami, i postanowiła dać mi szansę.

Byłem bardzo wdzięczny. Postanowiłem pracować z największym poświęceniem dla agencji, żeby zasłużyć na zaufanie, jakie mi okazano. Pojechałem do domu, odkurzyłem swój zestaw kosmetyków i przygotowałem się do następnego kroku na drodze do kariery.

Po kilku dniach odebrałem telefon od mojej nowej agentki.

Julie powiedziała, że wybrała mnie do zlecenia od „Cartier Magazine”. Mam wyszykować do zdjęć brytyjską drużynę polo. Zajebisty efekt!

Uznałem, że jeśli chcę odnieść sukces jako makijażysta, muszę się nosić zupełnie inaczej. Poszedłem na zakupy. Wybrałem sobie styl skate. Workowate portki, sportowe buty, łańcuchy, dresowe bluzy z kapturem, czapki z daszkiem. Nie nosiłem wtedy jeszcze okularów, ale gdybym to robił, na pewno byłyby takie jak skaterów. W nowym stroju czułem się nieco pewniej, co było mi na początek bardzo potrzebne.

Poszedłem na plan zdjęciowy „Cartiera”, bawiłem się jak nigdy w życiu i wypadłem dobrze. Tym razem byłem gotów włożyć w to całe serce i duszę i po raz pierwszy miałem wrażenie, że wszystko jest jak trzeba. Wiedziałem, ile od tego zależy, i nie mogłem sobie poluzować.

Miałem też takie wrażenie, jakbym odnalazł dom. Agencja mnie wspierała, a ja znów wszedłem w świat, do którego w swoim odczuciu należałem. Lubiłem środowisko fotografów, modeli, stylistów, redaktorów działów mody i innych osób pracujących w tym biznesie. Miałem z nimi wiele wspólnego. Moja osobowość tu pasowała. Byłem wśród podobnych do mnie ludzi, którym wolno się wygłupiać, palić i ubierać, jak chcą. Istniały pewne granice, ale choć musieliśmy ciężko pracować, często po wiele godzin, i nie żałować sił, żeby osiągnąć odpowiednie wyniki, to mimo wszystko na ogół panował luz. Kreatywne otoczenie mnie uskrzydlało i czułem się tu jak ryba w wodzie, co nigdy nie udało mi się w żadnym biurze.

Byłem gotów mocno się przyłożyć, pracować, uczyć się i osiągnąć sukces, jaki zawsze wydawał mi się w zasięgu moich możliwości, gdybym tylko dostał odpowiednią szansę.

Kochana Meneh, okazywałaś mi tak wspaniałą przyjaźń, od kiedy poznaliśmy się w szkole teatralnej. Jesteś jednym z nielicznych powodów, dla których nie żałuję spędzonego tam czasu. Niestrudzenie wysłuchiwałaś mnie, troszczyłaś się o mnie i podtrzymywałaś mnie na duchu, dziękuję Ci. Jesteś tak bardzo bliska mojemu sercu. Nie ma dnia, żebym nie był wdzięczny losowi za to, że mam Cię w swoim świecie. Kocham Cię.

Całuję,
Gok

Składniki

pasta tom yum (albo kostka rosółowa)
torebka mieszanych owoców morza

Ewentualnie

2 jajka
cienki makaron jajeczny
zielony groszek
biały pieprz

Sposób przygotowania

To przepis dla dwojga najlepszych przyjaciół. Dodaj pastę tom yum lub kostkę rosółową do nieco ponad litra wody. Zagotuj. Wsyp rozmrożoną mieszankę owoców morza z paczki (albo, jeśli wolisz, same krewetki). Da się to jeść w tej formie (w te zwariowane wieczory tygodnia, kiedy trzeba nadganiać brak czasu), ale żeby danie było wyjątkowe, można do niego dodać 2 porcje cieniutkiego makaronu jajecznego oraz garstkę posiekanego zielonego groszku i – wreszcie – wbić w to 2 jajka, by otrzymać „królewskie danie jednogarnkowe”. Przyprawiaj szczyptą białego pieprzu tuż przed podaniem, bo, kochanie, to nigdy nie jest dość ostre!

Nałóż do 2 dużych misek. Jedzcie pałeczkami i chińskimi łyżeczkami (jeśli je macie), siedząc po turecku naprzeciw siebie na podłodze i pochylając się nad parującą zupą. To najlepsze w świecie nawilżanie twarzy z tom yum. Przerrywajcie siorbanie tylko po to, żeby przekazać sobie najnowsze ploteczki.

Przepis: Lainey V

W tym czasie, kiedy walczyłem z depresją, w końcu udało mi się znaleźć pracę. Właśnie wtedy zaczęła się moja przygoda z makijażem. Właścicielka salonu, z którą poznałem się przez znajomych, powiedziała mi, że jeśli będę chciał, może mi pomóc w zdobyciu klientów. Wtedy też zaczęła się moja przygoda z makijażem. Właścicielka salonu, z którą poznałem się przez znajomych, powiedziała mi, że jeśli będę chciał, może mi pomóc w zdobyciu klientów. Wtedy też zaczęła się moja przygoda z makijażem.

Następnych kilka lat to był najlepszy okres w moim życiu. Agencja ciężko pracowała, żeby wprowadzić mnie w biznes. Poznawałem redaktorów czasopism, dyrektorów artystycznych, kierowników od castingu i zamawiających wideoklipy. Rozwijałem swoje umiejętności w makijażu i nawet dorobiłem się mocnego portfolio.

Odważyłem się też na próby stylizacji. Uwielbiałem pomagać Sally i wiedziałem, że jestem mocniejszy w dobieraniu strojów niż w malowaniu. Chyba lepiej rozumiałem ubrania. Robienie makijażu to było fajne i twórcze zajęcie, ale czasami jego ograniczenia sprawiały, że mnie nudziło. Stylizacja – nigdy. Lubiłem kontakty z ludźmi, konieczne przy ubieraniu klientów. Uwielbiałem spotkania z osobami z PR, zakupy zawsze mnie kręciły, a przekonanie kogoś do nowego wizerunku dawało mnóstwo satysfakcji.

Wspaniale było mieć dwie umiejętności, które dają się sprzedać w jednym biznesie. Agencja oferowała mnie jako specja od makijażu, ale ja byłem w stanie obniżyć koszty klienta, jeśli chciał mnie wynająć również jako stylistę (jeden pokój w hotelu, lot, kolacja – i umowa stoi!). W tamtym czasie byłem chyba jedynym artystą w Londynie, który się podejmował takiej usługi, co oznaczało, że miałem tu monopol i kalendarz pełen zleceń.

Niedługo po dołączeniu do Carol Hayes Management spędzałem upojny wieczór w Soho i poznałem producenta bazy zdjęć. Simon Ashley (wkrótce zwany Wielkim Niedźwiedziem) działał jako wolny strzelec i współpracował z fotografem Davidem Leahym (vel Dziurawe Dno). Obaj finansowali podróże zagraniczne w celu organizowania rodzajowych sesji fotograficznych. Zdjęcia sprzedawali potem do baz ilustracji, które z kolei sprzedają je do wykorzystania w mediach. Nie wszystkie fotografie, jakie widujecie w czasopismach, zostały zrobione specjalnie do jakiegoś artykułu. Na przykład czytacie o problemie zadłużenia gospodarstw domowych i widzicie obok zmartwioną parę siedzącą przy stole w kuchni nad czymś, co wygląda jak rachunek. To ujęcie najprawdopodobniej pochodzi z bazy ilustracji oferującej setki tysięcy zdjęć za ułamek tego, ile musiałaby kosztować specjalna sesja fotograficzna.

Wielki Niedźwiedź, Dziurawe Dno i ja staliśmy się fotograficznymi trzema muszkieterami. Jeździliśmy po świecie i organizowaliśmy reżyserowane sesje jedna po drugiej. Potem trafiło to do baz ilustracji. Mogło nas rzucić na trzy tygodnie do Arizony i po kilku dniach przygotowań – wyszukiwania modeli, tropienia najlepszej scenerii i oczywiście wybierania strojów – przystępowaliśmy do zdjęć, które trwały dwa tygodnie. To było wyczerpujące, ale mnóstwo się nauczyłem. Musiałem nie tylko dokonywać cudów, jeśli chodzi o fryzury i makijaż (nie mieliśmy wyłącznie profesjonalnych modelek i modeli, niektórych angażowaliśmy prosto z ulicy, zagadując odpowiadające nam osoby, czy zechcą pozować), ale i zdobywać oraz stylizować stroje (często kupowałem ubrania w miejscowych sklepach, a potem je zwracałem dla obniżenia kosztów), a także aranżować scenerię zdjęć poprzez odpowiednie akcesoria i rekwizyty.

Bardzo często w ciągu jednego dnia robiliśmy zdjęcia do przynajmniej czterech historii. Mogliśmy zaczynać rano tematem „miłość”, z udziałem wielu par: jedzących, walczących na poduszki, spacerujących, trzymając się za ręce, siedzących w restauracji, całujących się i tak dalej. Potem przechodziliśmy do kawałka o urodzie – z dziewczynami nakładającymi makijaż, kąpiącymi się i poddającymi się zabiegom kosmetycznym. Późnym popołudniem następowała pora na historię podróży. Modele na przykład pakowali bagaże, czekali na lotniskowych terminalach, zamawiali bilety. Kończyliśmy dzień zdjęciami na temat wieczornych rozrywek – dziewczyny pijące koktajle w barze, tańczące, malujące się w klubowych toaletach i tym podobne.

Jednego dnia potrafilismy zrobić ponad sto zdjęć i każde musiało tworzyć dość rodzajową scenkę, żeby się sprzedało, a jednocześnie być nieskazitelnej jakości i artystyczne. Odpowiadałem za wszystko – ubrania, rekwizyty, fryzury i makijaż, a także częściowo za reżyserię. Uczyłem się, jakie ubrania pasują na jaką okazję – czy chodziło o najelegantsze stroje wieczorowe, czy o coś niezobowiązującego, na przykład na piknik na plaży. Wreszcie miałem swobodę eksperymentowania z makijażem i stylizacją i mogłem popróbować nieco bardziej niezwykłych kreacji i technik. Dzięki temu udało mi się rozszerzyć repertuar, na co nie mogłem sobie pozwolić, kiedy pracowałem przy sesjach dla magazynu.

Po takich dwóch tygodniach wszyscy padaliśmy na twarz. Wracałem z podróży wyczerpany i wypalony, ale moja nowa miłość do tworzenia kreacji i bawienia się stylem dawała mi tyle adrenaliny, że nigdy nie było mi dość!

* * *

Mój kalendarz zleceń był zapełniony na wiele tygodni naprzód i wiedziałem, że agencja jest zadowolona z liczby wykonywanych przeze mnie zleceń, a klienci zamawiali mnie ponownie. Przepuszczałem też przez agencję wszystko to, co robiłem dla baz fotografii. Przynosiłem więc zyski i pokazywałem swoje możliwości. Zaczęła mnie dostrzegać Carol Hayes, szefowa. Sama budowała swoją firmę od podstaw i doprowadziła do tego, że teraz to była jedna z najbardziej cenionych instytucji tego rodzaju w kraju. Carol Hayes należała do wpływowych, odnoszących sukcesy kobiet, jakie zawsze podziwiałem i które mnie pociągały.

Z początku byłem o wiele za mało ważny, aby zwrócić na siebie jej uwagę. A ona cieszyła się tak wielkim poważaniem, że trochę się jej bałem. Kiedy się poznaliśmy, odegrałem więc rolę tak pewnego siebie, że Carol uznała mnie za nieznośnego typka, który upaja się własnym głosem. Ale kiedy zaczęło do niej docierać, jak dużo pracuję i jak bardzo się przykładam, nabrała do mnie cieplejszych uczuć. Najwyraźniej robiłem coś dobrze, a ona szanuje każdego, kto daje z siebie wszystko. Nie chodziło tylko o zlecenia, ale głównie o to, że klienci do mnie wracają. Carol zawsze twierdziła, że pracy nam nie zabraknie, zawsze coś się trafi, ale pozycję w zawodzie osiąga się tylko wtedy, gdy jesteśmy zamawiani powtórnie. To mądre i mnie też zawsze na tym zależy.

Zwierzyłem się Carol, że uwielbiam występować, mam jakieś przygotowanie sceniczne i gdyby nadarzyła się okazja, bardzo bym chciał spróbować sił w telewizji. Nikt z agencji tam nie pracował, ale od czasu do czasu dzwonili do Carol z różnych stacji, kiedy potrzebny im był jakiś makijażysta albo stylistka do udziału w programie. Obiecała, że jak się trafi coś, co

uzna za stosowne dla mnie, to mnie zgłosi.

Nie wiedziałem, czy to kiedykolwiek nastąpi, ale miło było pomarzyć, że pewnego dnia mogę mieć szansę pofolgować trochę aktorowi, który jest we mnie.

Kochana Carol, jesteś więcej niż agentką, jesteś moją przyjaciółką. Dałaś mi tyle wsparcia przez te lata i chcę, byś wiedziała, że bardzo cenię sobie to, jak zawsze mnie prowadzisz. Mam szczęście, że to Ty mnie reprezentujesz. Jesteś genialna, serdeczna, autentyczna i uczciwa. ^ także dobra i życzliwa. Nie opuszczaj mnie nigdy.

Całuję,
Gok

Tymczasem miałem coraz więcej pracy poza tym, co robiłem dla baz ilustracji. Zacząłem dostawać zamówienia od wytwórni płytowych. Stylizowałem i malowałem zespoły i solistów do wideoklipów, promocji albumów i na występy. Takie zadania są zawsze nieco bardziej zdradliwe, bo musiałem szybko się orientować, jak sobie radzić z ego muzyków, które bywa bardziej wybujałe niż u modelek. Dziewczyny podchodzą do tego jak do pracy, muzycy często zachowują się tak, jakby robili ci łaskę. „Wielka gwiazda” potrafiła zmieniać zdanie dwa, trzy razy, nim wykonałem zadanie, a najczęściej działo się to kilka godzin przed rozpoczęciem zdjęć na planie. Budżet zwykle był tak skromny, że musiałem modyfikować tanie ubrania, aby gwiazda (żadnych nazwisk) czuła, że ma na sobie coś wyjątkowego, czego nie może mieć nikt inny.

Kilka razy zdarzyło się, że gwiazda upierała się na kreacje od wielkich projektantów, a wytwórnia odciągała mnie na stronę i mówiła, że nie ma na to pieniędzy. Z kolei projektanci często nie chcieli mi nic pożyczyć, bo artysta nie pasował im do ich marki albo nie mogli w zamian liczyć na żadną wzmiankę (te zwykle pojawiają się tylko w czasopismach, pod zdjęciami specjalnie zrobionymi dla zilustrowania trendów mody).

Odkryłem więc stoisko na targu w Shepherds Bush, gdzie sprzedawano metki projektantów – takie tasiemki, które wszywa się z tyłu wewnątrz strojów. To były świetne podróbki. Wykupiłem wszystkie i wieczorem przed sesją wycinałem metki firm M&S, Topshop, H&M z ciuchów i zastępowałem je metkami Dolce & Gabbana, Prada i Armani. Gwiazda się nie kapnęła! Miałem pełną satysfakcję, kołując snobistycznych wyznawców luksusowych marek. „Kochanie, to jest prosto z Paryża, więc nie możesz tego zatrzymać ani kupić, ale wyglądasz rewelacyjnie!” (Między nami mówiąc, nie chodziło o Paryż we Francji, ale o dom towarowy).

* * *

Życie było piękne. Po raz pierwszy czułem, że znalazłem swoje miejsce i wyraźny cel. Już nie martwiłem się swoją wagą, a aktorstwo wydawało się czymś banalnym w porównaniu z moim nowym, szalonym życiem. Stawałem się kompetentnym, pewnym siebie stylistą i specem od makijażu.

Miałem też cudowne życie prywatne, z przyjaciółmi, ostrym imprezowaniem w rzadkich chwilach wolnych od pracy, i powoli zacząłem odkładać sobie trochę pieniędzy. Zdawało się, że dni, kiedy gnieździłem się w klitkach z popsutymi okienkami, kiedy ledwie mi starczało na czynsz i czułem się jak najgrubszy nieudacznik na świecie, były wieki temu. Moja waga się ustabilizowała, a anoreksja trzymała się na dystans. Nawet niezbyt udane zlecenia mnie nie podłamywały...

Zapisał mi się w pamięci szczególnie jeden taki przypadek. Zadzwonili z agencji, że mam lecieć do Czech na sesję dla magazynu dla mężczyzn (nie górna półka, ale na pewno śmielszy niż tygodnik dla pań „The Lady”!). Robiłem już wcześniej makijaż dla tego typu czasopism i zwykle to była prosta sprawa. Dziewczyny potrzebowały mocno podkreślonych oczu, sztucznych rzęs i kubłów tonującego mazidła do ciała – piękne modelki uwielbiają błyszczeć!

Agencja przekazała mi wszystko na temat podróży i niewiele więcej. Przy pakowaniu zadbałem o wystarczający zapas sztucznych rzęs i ubrań dla siebie na pięć dni. (Miałem tam spędzić tylko trzy noce, ale mama uczyła mnie, że zawsze lepiej być przygotowanym na wszelki wypadek).

Przez opóźnienie lotu dotarłem do Pragi dopiero blisko północy, co oznaczało, że uciekł mi ekspres do Brna, gdzie czekała mnie praca. Wyczerpany i nieco zaniepokojony, przemierzałem Czechy wlokącym się wolno pociągiem w towarzystwie gapiących się na mnie żołnierzy z karabinami. Na każdej stacji żołnierze sprawdzali dokumenty pasażerów, w tym moje, najwyraźniej poszukiwali dezertersów. Trochę strasznie. Delikatnie mówiąc, to nie była zbyt bezpieczna sytuacja dla skośnookiego artysty od makijażu.

Wreszcie, o czwartej nad ranem, dotarłem do Brna. Na ulicach żywej duszy. Szare blokowiska nie sprawiały zachęcającego wrażenia, ale na szczęście hotel był dokładnie naprzeciw stacji. Po tak niefortunnych początkach miałem ponure przeczucie, że to zlecenie nie pójdzie gładko.

Spałem trzy godziny, potem zszedłem na śniadanie, rozglądając się za dyrektorem artystycznym i fotografem. Restauracja sprawiała wrażenie nieodnawianej od lat. Stoliki były jak nakryte ceratą, większość miejsc zajęta przez podróżujących w interesach facetów. Wszyscy mieli na sobie szare garnitury, ze spodniami dobrze nad kostkę.

Kiedy wszedłem, przycłapała do mnie jakaś stara kobieta i spytała, czy chcę herbatę, czy kawę, i wskazała w kierunku bufetu (mmm, mniam, możecie sobie wyobrazić...). Poprosiłem o kawę i powiedziałem, że nie jestem głodny. Brak snu i rosnący niepokój odebrały mi apetyt.

Siedziałem dziesięć minut nad swoją kawą w nadziei, że pojawi się ekipa, ale nikt nie przychodził. Wyjrzałem przez okno i zauważyłem sześć zaparkowanych pod hotelem mercedesów z przyciemnionymi szybami. Przy każdym stał szofer w szarym garniturze i w ciemnych okularach. Przypominało to scenę z *Ojca chrzestnego*. Pomyślałem, że kierowcy i auta muszą mieć jakiś związek z sesją, wziąłem więc torby i ruszyłem zasięgnąć języka. Podeszedłem do jednego z kierowców i spytałem, czy jest wysłany przez to czasopismo.

Bez słowa zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, rzucił skręta na ziemię i skinął w kierunku drugiego auta.

Wykazując się odwagą albo głupotą, posłusznie wpakowałem torby do bagażnika i wsiałem do tyłu. Przedstawiłem się: „Jestem Gok, makijażysta z Londynu”. W lusterku zauważyłem, że szofer rzucił mi szybkie spojrzenie, ale nic nie powiedział. Siedzieliśmy tak w kompletnej ciszy z dziesięć minut, aż z hotelu wysypało się stadko bardzo szczupłych, bardzo jasnowłosych i bardzo młodych dziewczyn. Poupychały się w pozostałych autach.

Ruszyliśmy.

Wyjechaliśmy z miasta i od razu znalazłem się wśród malowniczych krajobrazów czeskiej prowincji. Pola były tak zielone, jakby nietknięte ludzką ręką. Przez uchyloną ciemną szybę podziwiałem widoki podczas godzinnej podróży, aż dotarliśmy przed ogromny, nowo wybu-

dowany dom na skraju łąki.

Kiedy auto stanęło na podjeździe, na schodkach pojawiła się skromnie ubrana kobieta w okularach. Wysiadłem, podziękowałem kierowcy (nie odpowiedział, rzecz jasna) i podszedłem do niej. Przedstawiłem się i z ulgą stwierdziłem, że trochę zna angielski, choć ma specyficzny akcent.

– Milo mi, Gork. Tedy prosim.

Wszedłem za nią do środka. Dom był piękny, ale najwyraźniej nikt tu nie mieszkał, bo prawie nie było w nim mebli ani niczego, co nadawałoby mu bardziej osobisty charakter.

– Ten stolik dobry do pracy dla ciebie? – spytała, wskazując na stół-ławę stojący na środku pokoju.

– Tak, w porządku, dziękuję – odparłem i zacząłem rozpakowywać sprzęt.

Kiedy tylko wyłożyłem pędzle, usłyszałem stukot tanich szpilek i wiedziałem, że nadchodzą moje modelki.

Wparowały jak w scenie z *Legalnej blondynki*. Żadna nie przekraczała rozmiaru sześć, wszystkie miały podoczepiane tanie blond włosy, które wyglądały jak wyrwane z głowy Dolly Parton, i dresowe spodnie poopuszczane na tyle, żebym zobaczył w pępkach kolczyki.

Podszedłem do poznanej przed chwilą kobiety, bo wydawało się, że to ona tu wszystkim kieruje.

– Czy mogę pomówić z fotografem, żeby zapytać, co jest potrzebne? Robimy ujęcia w domu czy na zewnątrz? Mógłbym zobaczyć ubrania, żeby dobrać odpowiednie kolory?

– Zajety, stawia światła. Prosim, dziewczyny zrobi seksi.

Wyglądało na to, że więcej się nie dowiem, więc zacząłem malować dziewczyny bez odpowiednich instrukcji. Tylko jedna modelka mówiła po angielsku. Kiedy nakładałem jej podkład, zapytałem o parę rzeczy związanych z życiem i pracą. Miała na imię Katrina i zajmowała się modelingiem, odkąd skończyła osiemnaście lat, ale rzuca to i zostanie aktorką – najwyraźniej była już za stara na gwiazdę wybiegów. Powiedziała, że uczestniczyła tylko w eleganckich sesjach. I że nie bierze „różowych”.

– Różowych? – zdziwiłem się.

– Tak... Ja nie, ale wszystkie inne dziewczyny tak.

Pomalowałem jej usta. Wstała z krzesła. Pomyślałem, że „różowe” to jakieś narkotyki – może Czesi nazywają tak ekstazy lub kokainę – ale się nie dopytywałem, bo najwyraźniej nie chciała o tym mówić.

Kiedy skończyłem malować szóstą dziewczynę, postanowiłem jednak spróbować znaleźć fotografa. Usłyszałem jakieś głosy z tarasu na dachu. Poszedłem za klikaniem fleszy i zdecydowanymi poleceniami wydawanymi dziewczynom w obcym mi języku, co zaprowadziło mnie po schodach na dach.

Zobaczyłem czterech, może pięciu facetów – jaka była ich rola, nie umiem powiedzieć – i fotografa nachylonego nad aparatem. Popatrzyłem w miejsce, gdzie skierowany był obiektyw, a tam siedziała jedna z dziewczyn, które właśnie malowałem, zupełnie naga, okrakiem na czymś, co przypominało stary stołek do dojenia krów. Kiedy moje oczy oswoiły się z oślepiającym blaskiem słońca, zrozumiałem, co to znaczy „różowe”...

Niektórzy mogą pomyśleć, że mój sukces w telewizji został mi pewnego wieczoru podany na tacy, ale zapewniam was, że nic z tych rzeczy.

Jeśli księżniczka musi pocałować wiele żab, nim trafi na swojego księcia, to ja zerznąłem dupę całej ciężarówce ropuch, żeby zdobyć swojego!

W latach 2005 i 2006 Carol wyznaczała mnie do wszystkich zleceń dla telewizji, jakie się trafiały, i trzynaście razy chodziłem na rozmowy wstępne, nim dostałem swoje trzy minuty na wizji. W 2005 roku Susannah Constantine i Trinny Woodall porzuciły BBC i swój cieszący się niesamowitym powodzeniem show *Jak się nie ubierać*. Przeszły do ITV. BBC szukała presenterów, którzy mogliby je zastąpić. Zadzwonili do Carol, czy ma jakiegoś kandydata.

Oczywiście rzuciłem się na tę szansę. *Jak się nie ubierać* odniosło wielki sukces i błyskawicznie wywindowało Trinny i Susannah na pozycje megagwiazd. Ich talent krawiecki w połączeniu z arbitralnym stylem klasy średniej uTORował drogę nowemu gatunkowi programów o modzie.

Od początku lat osiemdziesiątych w czasie antenowym poświęconym tej tematyce królował *The Clothes Show* i jemu podobne formaty w stylu żurnalowym. I nagle w 2001 roku na ekrany telewizorów Wielkiej Brytanii wdarły się Trinny i Susannah i postanowiły się dowiedzieć, dlaczego Brytyjki tak kiepsko się ubierają. Ich show pokazywał autentyczne przeobrażenia. Trinny i Susannah twardo brały w obroty swoje panie, często chwytając je za „cycki” i gromiąc za popełniane błędy. Program *Jak się nie ubierać* odniósł olbrzymi sukces, bo był świeży, inny i nie miał konkurencji. Zdobywał nagrody i nominacje BAFTA, Brytyjskiej Akademii Sztuk Filmowych i Telewizyjnych, i został sprzedany do wielu krajów na świecie, pączkując wydaniem książkowymi oraz programami z udziałem celebrytów. Wyemitowano pięć jego udanych serii, nim dziewczyny zdecydowały się przejść do konkurencji. Trudno im było dorównać. Śmiałą decyzją było nawet pomyśleć o tym, że staję w szranki, ale bardzo niewiele miałem do stracenia.

Przygotowując się do przesłuchań w telewizji, zmieniłem swój wizerunek skatera na coś bardziej rozsądnego – głównie czarne garnitury. Krzywe zęby miałem już wyprostowane i zgodnie z diagnozą, że jestem krótkowidzem, nosiłem okulary w ciemnej oprawce. Miałem nadzieję, że mój wygląd spełnia wszelkie oczekiwania, jakie mogą mieć w telewizji, ale o wiele trudniej jest stylizować siebie niż kogoś. (Wiadomo, szewc bez butów chodzi, fryzjerzy zwykle mają okropne włosy, a styliści prezentują się fatalnie – za dużo myślą o tym, jak wyglądają inni!).

W dniu przesłuchania zostałem zaproszony do jednej z sal konferencyjnych w BBC, w White City. Znów uderzyło mnie, że prezentuje się ono byle jak. Biuro jak biuro, mogłoby to być *call center* sprzedające ubezpieczenia – cokolwiek, ale nie telewizja! Przy automacie z kawą nie stał Terry Wogan, po korytarzu nie szwendały się French i Saunders, a w tym narożnym

biurze nie siedział Michael Aspel. Ciocia Beeb, czyli BBC, robiła nas w balona tyle lat!

Z sali najwyraźniej wyniesiono meble, krzesła odsunięto pod ściany. W rogu ustawiono małą domową kamerę z obiektywem skierowanym na pojedyncze biurowe krzesło. Asystentka, która poprosiła, żebym wszedł, spytała, czy chcę coś do picia, i poinformowała mnie, że producenci są jeszcze zajęci. Powiedziałem, że nie ma sprawy, i poprosiłem o szklankę wody. Gdy wychodziła, spytała, czy nie mam nic przeciwko temu, że będą nagrywać rozmowę. Powiedziałem, że nie, i usiadłem na krześle dla kandydatów.

Czekałem ponad dwadzieścia minut, nim ktoś się pojawił. To było najdłuższe oczekiwanie w moim życiu. Stawka wydawała się tak duża. Trinny i Susannah były wielkimi gwiazdami i choć miałem bardzo odmienne podejście do mody, potwornie się denerwowałem na myśl, że próbuję wskoczyć w ich szpilki numerek czterdzieści jeden.

Wreszcie drzwi się otworzyły i do środka wtuptały trzy kobiety plus asystentka, która niosła plastikowy kubek z moją wodą. Panie przedstawiły się jako producentki show i dwie wymieniły ze mną uścisk dłoni. Ta główna nie.

Była dokładnie taka, jak można było ją sobie wyobrazić. Najwyraźniej uważnie słuchała rad swoich byłych prezenterek, bo jeśli mnie pamięć nie myli, miała na sobie krzykliwą kimonową sukienkę w mocne wzory. Czubek dekoltu opadał jak skaczący do wody pływak olimpijski, co świetnie podkreślało jej telewizyjną sylwetkę. Mogę sobie wyobrazić, jak T&S rzucają jej ten ciuch i upominają, że tylko ten rodzaj kroju ma nosić do końca swoich dni!

Producentki usadowiły się w fotelach, a asystentka włączyła nagrywanie. Kiedy ta główna zaczęła ze mną rozmawiać, zauważyłem, że strasznie dziwnie się czuję. Jej oczy patrzyły wszędzie, tylko nie na mnie. Zadawała pytania mechanicznie, jakby to był jakiś skrypt czytany przez nią już tysiące razy. Najwyraźniej uważała, że ma wiele ciekawszych zajęć niż sprawdzanie mnie. Nie miało znaczenia, że ruszyłem tyłek i przebiłem się przez cały Londyn, aby tu dotrzeć, i że jestem zdenerwowany i stremowany. Boże uchronaj, żeby choć trochę się postarała i pomogła mi poczuć się swobodniej.

Rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

Główna: Gdyby zobaczył pan na ulicy kobietę, która wygląda okropnie, co by pan jej powiedział?

Gok: No... Nic bym nie powiedział, chyba że by mnie poprosiła o radę.

Główna (po chwili milczenia): A gdyby pana poprosiła, to co by pan powiedział?

Gok: No, to zależałoby od tego, jak by wyglądała.

Główna: Już panu powiedziałam, okropnie!

Gok: Hm... Trudno powiedzieć, bo jej nie ma i nie widzę, jak jest ubrana. Ale pewnie zasugerowałbym, żeby spróbowała odmiany...

Główna: NIBY CZEGO?! No, dalej, Gok, musisz być wredną suką!

Gok: To naprawdę nie w moim stylu, przykro mi. Jeśli chce pani, żebym był stylistą i doradzał w dziedzinie mody, to nie problem, ale nie będę dla kogoś wredny tak dla zasady, zwłaszcza jeśli ten ktoś nie istnieje naprawdę!

Główna: Nie widział pan show?

Gok: Oczywiście, że widziałem! I nie sędzę, żebym był osobą, której szukacie!

I w tym momencie wyszedłem z rozmowy. Opuszczałem BBC kompletnie załamany. Czy mogę odnieść sukces w telewizji tylko wtedy, gdy będę udawał kogoś, kim nie jestem? I jak ona śmie brać mnie za wredną sukę?! Jestem gejem, mogę obsobaczyć nie gorzej niż one, ale nie będę z nikogo szydził tylko dlatego, że mnie filmują! Przez krótki moment podejrzewałem, że może w prawdziwym życiu Trinny i Susannah są jak anioły zesłane przez Pana Boga, gotowe troszczyć się o kobiety, i w niczym nie przypominają twardo stąpających po ziemi telewizyjnych celebrytek. Może to tylko ta producentka skazała ich niewinność telewizyjnym jadem. Ale to było tylko przez chwilę.

* * *

BBC kontynuowała *Jak się nie ubierać* z Lisą Butcher i Micą Paris jako nowymi prezenterkami i choć przyciągały sporą widownię, to w 2007 roku show został zdjęty z grafika. Carol nadal wysyłała mnie na przesłuchania do zespołów producenckich, na castingi, spotkania w stacjach telewizyjnych. Nic z tego nie wychodziło. Albo był problem z budżetem i zamówienie wycofywano, bo w końcu program nie powstawał, albo nie całkiem pasowałem do koncepcji. No i tak zupełnie szczerze trzeba przyznać, że na większości przesłuchań wypadałem fatalnie. Nerwy brały górę i zaczynałem panikować.

Zamartwiałem się, czy w ogóle mam jakieś szanse na karierę telewizyjną. Ciągłe porażki przypomniały mi czasy w szkole teatralnej i zaczęło mi się wydawać, że nie jestem dość dobry, aby dać radę. Doszedłem do wniosku, że próbowanie tej ścieżki jest chyba zbyt niebezpieczne. Jeśli na nowo rozbudzę swoje marzenia o występach, a nie będę w stanie się przebić, może wrócić nienawiść do samego siebie – tak jak zwykle, kiedy czułem, że zawiodłem. To byłaby katastrofa, gdybym przestał skupiać się na karierze stylisty. Mógłby mi nawet grozić nawrót anoreksji, którą udawało mi się trzymać na wodzy przez ostatnich kilka lat, kiedy wszystko szło tak dobrze.

Aby spróbować zwalczyć niepokój i lęk przed porażką, starałem się powtarzać sobie, że osiągnąłem wysoką pozycję w modzie, i to wystarczy.

Ale bogowie telewizji uśmiechnęli się do mnie. Pewnego dnia GMTV zadzwoniła do Carol z pytaniem, czy ma kogoś na trzy minuty do telewizji śniadaniowej Lorraine Kelly w dniu rozdania nagród Brytyjskiej Akademii Sztuk Filmowych i Telewizyjnych. Szukali kogoś, kto umiałby porozmawiać z Lorraine o strojach. Carol zaproponowała mnie i zostałem umówiony bez wstępnego przesłuchania.

Byłem podekscytowany, ale i przerażony.

W poranek przed występem zerwałem się o świcie. Nie zmrużyłem oka, bo do łóżka wchodziły się ze mną nerwy i przez całą noc gadały, wypełniając mi głowę niepokojem. A jeśli trema mnie sparaliżuje? A jak wymknie mi się niechcący jakieś „ja pierdolę”? A jeśli nie będę mógł sobie przypomnieć, jak się nazywa jakaś aktorka albo projektant, którego kreację nosi? To była długa, bezsenna noc...

Nadal było zupełnie ciemno, kiedy podjechaliśmy pod studio. Powiedzieli, żebym miał na sobie garnitur, bo to będzie pasowało do tematu rozmowy. Pewnie wyglądałem jak ktoś, kto wraca po całonocnym balowaniu, kiedy pojawiłem się w drzwiach w swoim smokingu od Topmana. Powitała mnie kobieta, która okazała się asystentką (a konkretnie kimś, kto pracuje

na zapleczu i holuje każdego, kiedy przychodzi jego kolej). Byłem zaszokowany, jak świetnie wygląda – w pełnym makijażu, w szpilkach o siódmej zero pięć. Pokazała mi drogę do pokoju makijażystów, gdzie nałożono nieprzyzwoicie grubą warstwę *make-upu* na moją umęczoną twarz. Musiałem wyglądać na wykończonego!

Kiedy mnie umalowali, producentka szybko mnie poinformowała, jakie suknie chcą przedstawić o ósmej dwadzieścia jeden. Zamikrofonowali mnie i usadzili na kanapie obok Lorraine. Takiej gwiazdy! Mowę mi odjęło. Lorraine Kelly, szkocka kobieta instytucja, z którą jadałem śniadania dzień w dzień od lat osiemdziesiątych, siedzi przy mnie i uśmiecha się promiennie. Nachyliła się do mnie.

– Wypadniesz fantastycznie, kochanie – powiedziała, żeby mi dodać odwagi. – Odpręż się tylko i będzie świetnie.

A mnie całkiem zamurowało. Brak snu i napięcie zrobiły swoje i w głowie miałem pustkę. Patrzyłem na ściągawki, które dała mi producentka, żebym nie pomylił kolejności, ale zupełnie jakbym oślepnął z nerwów – nie potrafiłem przeczytać, co tam jest napisane. Pokój zaczął wirować i spociłem się jak mysz. Lorraine musiała to zauważyć i po prostu położyła dłoń na mojej ręce. I było tak, jakby miała magiczną moc – lęk gdzieś się rozpułnął. Przywróciła mi przytomność swoim łagodnym uśmiechem. Wiedziałem już, że dam radę.

Rozmowa wypadła świetnie. A Lorraine była po prostu fantastyczna. Zadawała trafne pytania, a kiedy mógłbym się zaciąć, dorzucała zachęcająco coś w rodzaju: „To cudowna suknia, prawda, Gok?”. Sprawiała, że przez te trzy minuty na wizji czułem się całkiem naturalnie. Zawsze będę jej dłużnikiem za to, że pomogła mi zrobić pierwszy krok w telewizji.

Potem byłem częstym gościem na antenie GMTV (nadal tam chodzę – bezgranicznie wielbię Lorraine, za co ona rewanżuje się przyjmowaniem zaproszeń i do mojego programu). Pojawiłem się też w T4 w dyskusji o modzie w serialu o nastolatkach *Życie na fali* i niewiele brakowało, a wywołałbym skandal na skalę krajową, kiedy zakląłem w trakcie show *Richard & Judy*. (Starałem się wbić sobie do głowy, żeby nie używać brzydkich wyrazów na wizji, ale niechcący wymknął mi się jeden tuż przed wejściem na żywo. Dzięki Bogu, nikt się nie zorientował).

Stało się! Na dobre rozsmakowałem się w występowaniu przed kamerą. Choć nadal brakowało mi doświadczenia i miałem sporą treść, nie bałem się już mówienia na wizji. Uwielbiałem ten bezpośredni kontakt, to, że ma się jedną szansę, aby coś przekazać. Nauczyłem się wypowiadać treściwie i precyzyjnie i – po kilku kolejnych podejściach – zacząłem dodawać trochę humoru. Wiedziałem, że w tym mogę być dobry. Uwielbiałem modę, a teraz mogłem powiązać to z elementami aktorstwa. To było tak, jakby spełniały się wszystkie moje marzenia. Wiedziałem, że muszę się jeszcze wiele nauczyć i że jestem nadal na najniższym szczeblu telewizyjnej drabiny, ale w porządku. Dajcie mi więcej!

Nago

W tym czasie, kiedy walczyłem z depresją, miałem kilka pomysłów na programy telewizyjne. Jeden z castingów, w jakich brałem udział na początku, dotyczył programu na temat mody, który miał być emitowany przez Channel 4 w godzinach dziennych. Tytuł brzmiał *Zamiana ubrań*. Nagrałem próbkę (robi się takie z nowicjuszami), ale jeszcze w fazie przygotowań do show Channel 4 zamówił produkcję *Grasz czy nie grasz*, która szybko wypełniła wszystkie luki w dziennym programie. W efekcie *Zamiana ubrań* została skreślona z planu.

Byłem rozczarowany, ale – jak się okazało – nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Redaktor programów dziennych Mark Downey był pod wrażeniem, że jestem taki naturalny i zabawny przed kamerą, i nie chciał, by przejęła mnie jakaś inna stacja. Przekazał moje nagranie próbne szefowej programów w czasie najwyższej oglądalności – Sue Murphy.

Tak się szczęśliwie składało, że Sue pracowała nad nowym pomysłem, programem *Nago*. Cykl miał być jedyny w swoim rodzaju. Chodziło o codzienne problemy, jakie mają ze swoim ciałem kobiety w Wielkiej Brytanii, i pójście na przekór ideałom sylwetki narzucanym przez modę. Śmiała koncepcja, nawet jak na Channel 4.

Kiedy tylko Sue zobaczyła moje nagranie, wiedziała, że pasuję jak ulał do poprowadzenia programu. Powiedziała mi później, że przez wszystkie lata pracy dla telewizji nigdy nie zdarzył jej się tak świetny, zupełnie jakby kierowany zrzędzeniem losu, zbieg okoliczności. Byłem właściwą osobą i pojawiłem się dokładnie wtedy, kiedy trzeba – na moje szczęście.

Sue nie miała pojęcia, że tego roku byłem też na castingu do programu *Make Me a Grown Up*, również dla Channel 4, produkowanego przez Maverick TV. To był program w dużym stopniu edukacyjny; cały zespół, w tym stylistka, dokonywał metamorfozy młodych ludzi, przygotowując ich do następnego etapu życia. Wydawało się, że to może być dla mnie wspaniała szansa na zaczepienie się w telewizji.

Maverick zadzwonił do biura Carol z prośbą, żebym zgłosił się na zdjęcia próbne do show. Przeszedłem do domu towarowego John Lewis na Oxford Street, gdzie poznałem Colette Foster, producentkę, która odnosiła wielkie sukcesy w telewizji i była uważana za jedną z najwybitniejszych indywidualności w dziedzinie programów. Jej CV zawierało wiele tytułów, takich jak *The Clothes Show*, *Ten Years Younger*, *Embarrassing Illnesses*, *Gardeners' World* czy *Chelsea Flower Show*. Przeszła z asystentką, która miała filmować mnie małą amatorską kamerą. Oczywiście denerwowałem się, ale wcześniejsze doświadczenia czegoś mnie nauczyły. Zdawałem już sobie sprawę, że przesłuchanie to tylko początek długiej, zmudnej podróży. To, do czego się zabieraliśmy, mogło nigdy nie powstać, więc byłem nieco bardziej zrelaksowany niż dawniej. Postanowiłem, że będę po prostu robić to, co zawsze – zabawiać widza.

Maverick zadzwonił do biura Carol z prośbą, żebym zgłosił się na zdjęcia próbne do show. Przeszedłem do domu towarowego John Lewis na Oxford Street, gdzie poznałem Colette Foster, producentkę, która odnosiła wielkie sukcesy w telewizji i była uważana za jedną z najwybitniejszych indywidualności w dziedzinie programów. Jej CV zawierało wiele tytułów, takich jak *The Clothes Show*, *Ten Years Younger*, *Embarrassing Illnesses*, *Gardeners' World* czy *Chelsea Flower Show*. Przeszła z asystentką, która miała filmować mnie małą amatorską kamerą. Oczywiście denerwowałem się, ale wcześniejsze doświadczenia czegoś mnie nauczyły. Zdawałem już sobie sprawę, że przesłuchanie to tylko początek długiej, zmudnej podróży. To, do czego się zabieraliśmy, mogło nigdy nie powstać, więc byłem nieco bardziej zrelaksowany niż dawniej. Postanowiłem, że będę po prostu robić to, co zawsze – zabawiać widza.

Colette przygotowała dla mnie próbkę. Miałem poznać pewną kobietę o imieniu Lizzy i dokonać jej przemiany w dziale mody damskiej w John Lewis. Powiedziano mi, że Lizzy pracuje w biurze i ma właśnie przerwę na lunch. Nie wiedziałem, że została podstawiona, a tak na-

prawdę jest asystentką przy produkcji show.

– Co byś zrobił z Lizzy? – spytała Colette. – Jaki krój ubrań jest najbardziej odpowiedni dla jej kształtów? Czy ubiera się odpowiednio do swojego wieku? Czy potrafisz zrobić coś, żeby wyglądała piękniej?

To było łatwe! Od lat ubierałem kobiety, a ponieważ Lizzy przyszła w bardzo zwyczajnych rzeczach, na sportowo, bez problemu mogłem wprowadzić zmiany, żeby wyglądała elegancko, nowocześnie i seksownie.

– Których części swojego ciała nie lubisz? – spytałem, kiedy wybierałem jej stroje. – Których nie chcesz eksponować?

– Nie znoszę swojego brzucha, mam taki bęben, że żadne dzinsy na mnie nie pasują! – odpowiedziała Lizzy.

I wtedy to się stało.

– Lizzy, jesteś fajna, młoda, szczupła i ładna. Masz idealną sylwetkę i wcale nie musisz ukrywać swojego brzucha tylko dlatego, że on cię drażni. Powinnaś jedynie znaleźć ubrania, w których poczujesz się pewnie i zapomnisz o tym, co ci się w twojej figurze nie podoba.

Nie miałem pojęcia, że właśnie nadaję ton mojej przyszłej telewizyjnej karierze. Gdy inni się naśmiewali i wydawali polecenia, ja miałem podbudowywać w ludziach pewność siebie i sprawiać, żeby poczuli się dobrze we własnej skórze.

Colette wyglądała na zadowoloną z próby i *Make Me a Grown Up* weszło do produkcji. Moja rola tam nie była duża, ale wystarczająca, żeby trochę oswoić się z kamerą.

Kiedy zdjęcia do *Make Me a Grown Up* trwały, Sue Murphy poleciła Maverick TV rozwinąć pomysł *Nago* i powiedziała im, że widziała próbne nagranie Goka Wana, uważa, że to nowy talent i że to ja powinienem prowadzić show. W Mavericku bardzo się ucieszyli, bo już ze mną współpracowali. Los zetknął nas wszystkich ze sobą i w ciągu miesiąca zaczęły się prace nad produkcją pierwszej serii *Jak dobrze wyglądać nago*.

To było niesamowicie ekscytujące. Dostałem pracę marzeń, miałem prowadzić własny show. Oczywiście nie wiedzieliśmy, czy to chwyci, ale i tak było to fantastyczne doświadczenie. Niestety, w telewizji nie płacili tak dobrze jak przy stylizacjach i czekała nas bardzo ciężka praca, ale to mi nie przeszkadzało. Wiedziałem, że to dla mnie wielki przełom.

* * *

Wstępna produkcja ruszyła wiosną 2006 roku. Maverick TV zatrudnił zdolną, ambitną ekipę producentów, w tym najbardziej cenionych realizatorów w kraju.

Wezwano mnie do siedziby Mavericka, żebyśmy się zgrali z członkami zespołu. Zadziwili mnie entuzjazmem do pracy. Stykałem się z wieloma wspaniałymi specjalistami w dziedzinie mody, ale nigdy nie miałem do czynienia z bardziej pracowitą, ambitną i gotową sprostać wszelkim wymogom ekipą. Sukces programu to w wielkiej mierze zasługa zespołu i jego oddania dla show, a nasz zespół nie miał sobie równych. W trakcie produkcji programu wszyscy poświęcali mu cały swój czas, wiedzę i zapał. Nie tylko wkładali w to przedsięwzięcie swoje doświadczenie i umiejętności; większość zespołu pracowała w nadgodzinach, w weekendy i prawie nie pojawiała się u siebie w domu. Nie dostawali za to żadnych dodatkowych pieniędzy, bo budżet był skąpy. I nikt nie narzekał.

Wszystkim kierowała Colette Foster i podczas spotkań pomysły z jej notatnika tak szybko śmigały w kierunku realizatorów, że w głowie mi się kręciło. Nagromadzenie kreatywnej energii było ogromne. Miałem wrażenie, że znalazłem się w tunelu aerodynamicznym bombardowany siłami ich wyobraźni. Siedziałem i patrzyłem, jak Colette dyskutuje, spiera się, przekonuje i dyktuje format show swojej oddanej drużynie. Wiedziała, czego chce, i zgodnie z jej wskazówkami wszyscy wzięli się do pracy, żeby to osiągnąć!

Nabrałem dużo szacunku dla zespołu realizatorów i dałem sobie słowo, że nigdy mi nie odbije, że nie będę wymagał szczególnych przywilejów, bo jestem gwiazdą. Przysiągłem, że nie będę zadzierał nosa ani umniejszał zasług zespołu tylko dlatego, że to ja firmuję program. Obiecałem też sobie, że woda sodowa nie uderzy mi do głowy i nigdy nie będę traktował nikogo z pracowników jak obsługi – jak to mnie samego czasem spotykało, kiedy byłem stylistą. Tak sobie obiecałem i do dziś nie złamałem słowa.

* * *

Pierwszy dzień zdjęć zbliżał się wielkimi krokami. Ponieważ telewizja była dla mnie w zasadzie nadal nowym doświadczeniem, nie czułem podczas przygotowań takiej presji jak reszta ekipy. Nie miałem pojęcia o skali ryzyka, kiedy się tworzy tego typu program. To nie było moje zmartwienie, że tak wielkie pieniądze idą na nowy telewizyjny show o optymistycznym przesłaniu i nowatorskim podejściu, na program, który pokaże mnóstwo nagich ciał przed przełomową zmianą. Wśród wszystkich tych stresów i nerwów po prostu uczestniczyłem w spotkaniach i cieszyłem się, że mam okazję zapoznawać się z ekipą.

Format, jaki stworzyliśmy, był prosty. Show miał obalać powszechnie panujące mity na temat idealnego ciała utrwalane przez świat mody, urody i reklamy. *Size hero, not size zero* – głosiliśmy, że nie rozmiar się liczy, ale jakość. Nasz program miał pomóc kobietom odbudować pewność siebie i dobrze czuć się z tym, jakie są naprawdę. Nie trzeba się katować dietą ani iść pod nóż chirurga plastyka – każda kobieta jest piękna na swój sposób, w ubraniu czy bez. Miałem spotykać się z kobietą, która tak bardzo nie cierpi swojego wyglądu, że komplikuje jej to życie. Zwykle nosi stroje maskujące – dzinsy, workowate bluzy – w nadziei, że w ten sposób ukryje to, czego najbardziej w swoim ciele nie znosi. Prosiłem, żeby się rozebrała do bielizny przed trzema lustrami i powiedziała mi szczerze, co myśli o swoim wyglądzie. W tym samym czasie ogromny plakat z wizerunkiem tej pani w negliżu wystawiany był na widok publiczny, a ja zbierałem opinie przechodniów, żeby lepiej ją przekonać, jak bardzo nieobiektywnie na siebie patrzy. Potem zabieraliśmy się do ustalenia, jak się ubierać przy takiej sylwetce – jak może pomóc odpowiednia bielizna i jaki styl byłby najbardziej korzystny – a wreszcie dokonywałem pełnej metamorfozy i dochodziłem do punktu kulminacyjnego, pytając, czy zgodzi się pozować nago naszemu fotografowi. To była długa droga, ale – jak mieliśmy nadzieję – prowadziła w pozytywnym kierunku.

Podczas gdy stacja, producenci, reżyserzy, cała ekipa i oczywiście Colette mogli przewidywać sukces tego show, ja – na szczęście – byłem całkiem nieświadomy, co z tego wyniknie. Gdybym wiedział, że to katapulta, która może wystrzelić mnie w górę tak szybko, że aż mi gatki spadną, i zmienić z osoby anonimowej w postać publiczną, myślę, że mógłbym uciec z krzykiem. Nie byłem w najmniejszym stopniu przygotowany na to, co miało się stać.

– Za moment twoje życie zmieni się już na zawsze – powiedziała pierwszego dnia zdjęć reżyserka Jenny.

Zachichotałem i potraktowałem to lekko. Myślałem, że chce mi sprawić przyjemność. A Jenny oczywiście nie chodziło o prawienie mi komplementów – tak naprawdę ona mnie ostrzegła! Nigdy nie zapomniałem tamtego jej zdania i jak bardzo miała rację. Podczas wspólnej pracy usłyszałem od niej wiele mądrych słów, zawsze będę jej dłużnikiem.

* * *

Nasz pierwszy dzień zdjęć do *Jak dobrze wyglądać nago* zapisał mi się trwale w pamięci. Od tamtej pory już nie miałem wątpliwości, że naprawdę chcę pracować w telewizji.

Trzymetrowe lustra, które za chwilę miały stać się słynne, ustawiono pośrodku studia. Ogromne reflektory umieszczono wysoko na stojakach, każdy przewód i drut został starannie zamaskowany specjalną białą taśmą, a kamerzysta przygotował tor dla swojego wózka pozwalającego kamerze przemieszczać się bezszelestnie po szerokości studia.

Zanim zaczęliśmy filmować, Colette, Jenny i ja siedliśmy na wielkiej skórzanej kanapie w rogu i ustaliliśmy plan dnia. Powiedziały mi, co chcą osiągnąć, i bez przerwy zapewniały mnie, że będę świetny. Robiły, co w ich mocy, żebym się nie denerwował i wypadł naturalnie. Obie wiedziały, że jako kompletny nowicjusz jestem wielkim ryzykiem dla całego przedsięwzięcia. Jako prezenter byłem prawiczką, a gdyby kamera mnie sparaliżowała, gdybym poczuł się niezręcznie i zeszywniał albo, co gorsza, gdyby zaprowadziło mnie na manowce, cały dzień zdjęciowy mógłby pójść na marne.

Mieliśmy nakręcić początek show. Trzy lustra otoczą moją panią i kiedy wypytam, dlaczego zgłosiła się po pomoc, poproszę, żeby się rozebrała do bielizny i powiedziała, co myśli o swoim roznegliżowanym odbiciu.

Nie mieliśmy pojęcia, jak ona na to zareaguje. To był pierwszy odcinek i lustra stanowiły teren nieznaną. Kobieta mogła uznać, że jednak jej ciało nie wydaje się jej aż tak okropne, jak myślała! Mogła też się załamać i uciec ze studia, płacząc z upokorzenia, jakie stało się jej udziałem z naszej przyczyny. Mogła zrobić wszystko! Ale zespół realizatorów był raczej pewny, co się stanie – ona zdobędzie się na szczerłość i powie, że potrzebuje mojej pomocy.

Nikt nie pomyślał jednak o tym, że ja też mogę różnie zareagować. Na tamtym etapie ani Colette, ani Jenny nie zdawały sobie sprawy, że ciągnie się za mną moja własna historia otyłości, autoagresji, niewiary w siebie i nienawiści do swojego ciała. Wiedziały, że jestem stylistą zdolnym ubrać niemal każdego, a z moich zdjęć próbnych zorientowały się, że mam ciepłe, empatyczne podejście do ludzi, ale poza tym nikt nic o mnie nie mógłby powiedzieć.

I oto nadszedł ten moment. Kamery pracowały, a ja stałem przed lustrem ze swoją panią i prosiłem, żeby się rozebrała. W jej spojrzeniu zobaczyłem strach. Wstydziła się. Zmartwiła, łzy napłynęły jej do oczu i widziałem, jak walczy ze sobą. Jednak zgodziła się to zrobić i kiedy rozkleiła się na widok swojego odbicia i powiedziała mi, że nienawidzi własnego ciała, uderzył mnie jej ból. Doskonale wiedziałem, jak to jest. Objąłem ją, czując w sobie każdą cząstkę jej udreki i lęku, tak jak te własne sprzed dziesięciu lat. W jednej chwili wróciły do mnie najtrudniejsze, najstraszniejsze chwile mojego życia – znów przeżywałem cierpienie, o którym tak bardzo chciałem zapomnieć.

To był długi i ciężki dzień na planie. Nakręciliśmy dwie sesje przed lustrem z dwiema pierwszymi paniami. Byłem zaszokowany, jak bardzo stają mi się bliskie. Nie przygotowałem się na to, że natychmiast poczuję tak silną więź emocjonalną z tymi dziewczynami i że będę musiał sobie z tym jakoś radzić. Bardzo chciałem pomówić z Colette i powiedzieć jej, że sam mam za sobą podobne przejścia, że nienawidziłem swojego ciała, ale się bałem. Mogła pomyśleć, że staram się przebić historii tych kobiet. Albo nawet uznać, że jestem za słaby, aby udźwignąć powierzoną mi rolę, stwierdziłem więc, że lepiej samemu się z tym uporać.

Wszyscy byli zadowoleni z pierwszego dnia zdjęć, ale to był dopiero początek i póki nie skończyliśmy filmowania i nie zmontowaliśmy programów w gotowy cykl, nikt nie mógł wiedzieć, czy się udało, czy nie.

Produkcja trwała prawie trzy miesiące. Każdy dzień na planie był dla mnie jak pierwszy dzień szkoły. To była straszna harówka. Jeśli ktokolwiek myśli, że praca w telewizji to popijanie cappuccino i wczesne urywanie się do domu, to wyprowadzę go z błędu. Dni pracy bywają potwornie długie, nierzadko trwają po szesnaście godzin. Ale ja musiałem się tyle nauczyć i uwielbiałem to. Czułem się potrzebny i ważny.

Nakręciliśmy osiem półgodzinnych odcinków. Każdy przedstawiał niezwykłą kobietę i jej poruszającą historię. Zakochałem się we wszystkich moich dziewczynach – tak bardzo, że czułem się za nie odpowiedzialny. A jeśli nie uda mi się im pomóc? Nie miały się gdzie zwrócić, gdybym zamknął przed nimi drzwi. To było niemal ojcowskie uczucie. Wiedziałem, że wszystko, co im mówię, wywiera na nie ogromny wpływ – one mi zawierzyły i nie mogłem ich zawieść.

Pod koniec realizacji programu, kiedy oddawałem dziewczyny jedną po drugiej ich rodzinom, wyglądające fantastycznie i podbudowane na duchu, za każdym razem czułem, jakby spadał mi z piersi wielki ciężar. Wiedziałem, że zrobiłem, co w mojej mocy, żeby dostrzegły, jakie są piękne, a teraz to już od nich zależy, czy utrzymają nowo odnaną pewność siebie. Ale tęskniłem za nimi.

* * *

Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że dając tyle serca dziewczynom, sam zaczynam w środku iść w rozsypkę. Byłem wyczerpany. Nie spałem porządnie od trzech miesięcy, bo w nocy zamartwiałem się o ich przyszłość. Zmęczenie zaczęło mi płać figle i kilka razy złapałem się na tym, że odmawiam sobie jedzenia, ażeby nieco zapanować nad sobą.

Wychudłem, zmizerniałem i kiedy patrzyłem w lustro, miałem wrażenie, że twarz i ciało robią się coraz bardziej wyniszczone. Wiedziałem jednak, że to nie z wyczerpania tracę na wadze. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Jak mogę stawać przed kamerą i głosić swoją nową wiarę, że rozmiar nie ma znaczenia, skoro sam się głodzę? Jak ja mam czelność? Co za pieprzony hipokryta!

Na swoją obronę powiem, że naprawdę te kobiety były w moich oczach piękne, uwielbiałem ich kształty i krągłości i nie sądziłem, że muszą się odchudzić, by wyglądać cudownie. Wiedziałem, że to, o czym przekonuję widzów w Wielkiej Brytanii, jest słuszne – wszystkie sukcesy, jakie odnosiłem w życiu, wiązały się z wiarą w siebie, a nie z rozmiarem, jaki noszę. Ale choroba była silniejsza ode mnie. W moim zrzucaniu wagi nie chodziło o to, żeby być

szczuplejszym, ale o zapanowanie nad swoim życiem. Potrzebowałem czasu, by oswoić się z tym, co robię, i utwierdzić w przekonaniu, że to potrafię. Potem może będę w stanie pokonać mojego podstępного wroga jeszcze raz.

* * *

Pierwszy odcinek wyemitowano, kiedy jeszcze pracowaliśmy nad realizacją serii. Nadano go o dwudziestej trzydzięci. Zaczynał się od mojego ujęcia. Stoję na zewnątrz, ciemne włosy, grzywka, okulary w prostokątnych białych oprawkach. Mówię prosto do kamery.

– Czy unikasz stawania nago przed lustrem? Rozbierasz się po ciemku? Godzinami szukasz odpowiednich dżinsów, żeby nie wyglądać jak beczka? No, to nie wpadaj w rozpacz i ani się waż iść pod nóż, bo jestem tu, żeby pokazać ci, jak wyglądać dobrze w ubraniach i – tu mały frywolny uśmiezek – bez...

I potem zabieraliśmy się do dzieła. Pokazywałem uroczej Susan z Yorkshire, jak przestać nienawidzić swojego ciała i zacząć cenić swoje krągłości. To było niesamowite przeobrażenie. Dziewczyna odzyskała wdzięk i uświadomiła sobie, że jest naprawdę piękna. Kiedy wyświetliliśmy wspaniałe zdjęcie nagiej Susan na jednym z londyńskich budynków, żeby mogli je podziwiać wszyscy – w tym jej mąż – to był moment triumfu.

Gdy pojawiło się to na ekranach telewizorów w całej Wielkiej Brytanii, ja nadal pracowałem. Dzień był upalny, na Embankment w centrum Londynu można się było ugotować, a my kręciliśmy ostatnie poprawki z moją ostatnią panią w pięknej restauracji na statku. Ale gdy tylko nadano mój program, komórka oszałała. Przychodziły esemesy od rodziny, przyjaciół, starych znajomych, których nie widziałem od lat, i oczywiście od Channel 4. Wszyscy zachwycali się show. Byłem niezwykle dumny z naszego osiągnięcia, ale to stanowiło dla mnie tak obce doświadczenie, że wydawało mi się aż nierealne. Trudno mi było się cieszyć. Owszem, byłem zadowolony, że nasza ciężka praca się opłaciła. Godziny zamartwiania się, płaczu, bezsenne noce poszły w zapomnienie i czułem tylko wielką ulgę. Ale wiedziałem też, że to wszystko może zniknąć jak sen złoty, bo jutro dowiemy się, co myślą krytycy i – przede wszystkim – jaka była oglądalność.

* * *

Następnego ranka kupiłem wszystkie możliwe gazety. Prasa dostała bzika na punkcie show. Recenzenci telewizyjni z całego kraju bardzo uważnie obejrzel program i wydali werdykt. Większość opinii była znakomita, chwalono naszą odwagę i koncepcję. To, że nas doceniali, było wspaniałe, ale garstka ocen krytycznych zrobiła na mnie większe wrażenie, niż mogłem przypuszczać. Każdy przytyk unieważniał pochwały i poczułem się tak, jakby wszyscy mnie nienawidzili. Sceptycy najwyraźniej nie widzieli problemu w idei show. To mnie nie mogli przeboleć i biadając, zadawali pytanie, skąd też teraz bierze się prezenterów do telewizji.

Okrutne słowa bardzo bolały, tak jakby każda litera była wypalana na mojej skórze gorącym żelazem. Rozpaczliwie pragnąłem, żeby dziennikarze mnie polubili i żeby nie nastawiali przeciwko mnie widzów. Późnym rankiem byłem cały roztrzęsiony, czułem się tak, jakbym po latach znów został wydany na pastwę szyderców. Część prasy była potwornie złośliwa, szczególnie w stosunku do mojego wyglądu. A ja nie uodporniłem się jeszcze na krytykę po

tym, co przeszedłem.

Staralem się powiedzieć sobie, że jestem w porządku, że po prostu staram się robić coś dobrego, ale gruby chłopak, który nadal żył we mnie, nie chciał tego słuchać. To, że dziennikarze sądzą mnie po wyglądzie, wydawało mi się potwornie niesprawiedliwe. Czy nie widzieli show? Przecież opiera się on na tym, że powinno się akceptować ludzi takimi, jacy są, a nie surowo oceniać ich powierzchowność! A jednak teraz musiałem znosić uwagi, że zbyt dziwnie się prezentuję, aby się pokazywać w telewizji.

Carol, Channel 4 i moi producenci starali się mnie pocieszyć. Mówili, że w tej pracy już tak jest, ale im nie wierzyłem (o, naiwny!). Powiedziałem im, że nie płaci mi się za to, żebym dawał się tak masakrować – ale żebym nie wiem jak się przed tym bronił czy się tym zamartwiał, krytyki nie dało się zatrzymać.

W dodatku bardzo się bałem, jak z negatywnymi recenzjami poradzi sobie moja rodzina. Jeden z tabloidów napisał: „Lisa z *Big Brothera* nie jest już najbardziej drażniącą postacią chińskiego pochodzenia w brytyjskiej telewizji”. Strasznie się wkurzyłem. Jak mogą pozwalać sobie na taki szowinizm? Co ma do tego moja rasa? A wiedziałem, że tata kupuje tę gazetę. Martwiłem się, że nie jestem w stanie chronić swojej rodziny. Wybrałem sobie tę nową drogę kariery zawodowej, ale oni nie, a przeze mnie są wystawieni na ataki mediów.

Kiedy emitowano resztę cyklu, chowałem się u siebie w mieszkaniu. Nie miałem ochoty wychodzić, bo ktoś mógłby mnie wygwizdać, śmiać się ze mnie albo – jeszcze gorzej – nawet mnie zaatakować. Byłem tak bardzo spanikowany, że zadzwoniłem do Carol. Powiedziałem, że czuję się skompromitowany. Cały kraj mówi o mnie i o show i martwię się, że mnie nie znoszą. Moja paranoja znów wymknęła mi się spod kontroli.

Carol była wspaniała. Przekonywała mnie, że to fantastyczne doświadczenie. Muszę zdać sobie sprawę z tego, że nigdy nie zadowolę wszystkich i że zawsze znajdą się tacy, którym się coś nie spodoba. Ale są też tacy, którym potrzeba trochę więcej czasu, aby lepiej poznać mnie i nasz program.

– Prasa musi mieć o czym pisać – mówiła mądrze – a w tym tygodniu to ty jesteś tematem. Czytelnicy lubią różnorodne opinie i ich potrzebują, ale koniec końców wyrabiają sobie własne zdanie. A dzięki dziennikarzom stajesz się sławny bez względu na to, czy im się podobasz czy nie, więc staraj się przyjmować to spokojniej i ciesz się tą całą przygodą.

O wiele mniej bałbym się prasy, gdybym mógł przewidzieć przyszłość i miał choć mgliste pojęcie, co osiągnie nasz program. Nikt z nas, którzy nad nim pracowaliśmy, nie zgadłby, że *Jak dobrze wyglądać nago* stanie się jednym z najbardziej cenionych show na świecie, nadawanym w ponad pięćdziesięciu krajach, że będziemy oglądani w milionach domów. Przez myśl nam nie przeszło, że za pięć lat studenci mogą pisać prace dyplomowe na temat formatu naszego show. Nie zaświtało nam w głowie, że w najbliższych latach wprowadzimy modelki o dużych rozmiarach do głównych kampanii reklamowych, a niepełnosprawne do promocji jednego z największych domów towarowych w Wielkiej Brytanii, albo że będziemy apelować do rządu, i wygramy, aby w szkołach uczono czuć się pewnie we własnym ciele. To wszystko właśnie się zaczynało, ale ja tylko miałem wrażenie, że osacza mnie wielki wrogi świat.

Jednak uzbrojony w mądre słowa Carol, włożyłem kurtkę i wyszedłem, żeby stawić mu czoło.

Placki kartoflane

Składniki

3 duże ziemniaki (obrane i utarte)

mała cebula (utarta)

3 jajka łyżeczka soli

2 łyżki stołowe mąki albo tyle, ile trzeba

1/2 szklanki oleju roślinnego

Sposób przygotowania

Utarte ziemniaki i cebulę rozmieszaj w misce z jajkami, solą i mąką, żeby się zrobiła kleista masa. Mokrymi dłońmi bierz po dobrej garstce i formuj płaskie okrągłe albo owalne placki.

Rozgrzej olej na płaskiej patelni na średnim ogniu, aż zacznie wrzeć, i delikatnie kładź na nim placki. Podpiecz z dołu na złoto, żeby były chrupkie, 5 do 8 minut, potem przełóż łopatką na drugą stronę i przyrumień. Wyłóż cedzak podwójną warstwą papierowych ręczników i odsącz placki z tłuszczu. Podawaj gorące po 20 centów za sztukę.

Przepis: Dolly Handlowiec vel Carol Hayes

Po kilku dniach już mniej przejmowałem się opiniami. Przekonywałem się, że to, co dziś jest sensacją, jutro staje się makulaturą. Kiedy tylko recenzje szły do druku, dziennikarze już dopadali piórem, słowem i nożem inną ofiarę. Może to zabrzmie okrutnie, ale cieszyłem się, że tym razem to nie ja!

Życie powoli wracało do normy. Zacząłem zwyczajnie jeść. Lepiej spałem i miałem ochotę znów popracować jako stylistą.

Kiedy tylko skończono nadawanie cyklu, Carol odebrała telefon z wytwórni płytowej EMI. Szef od artystów i repertuaru powiedział, że w zespole All Saints nastąpiły zmiany. Dziewczyny chciałyby mnie zatrudnić jako stylistę. Oglądały *Nago* i chcą mnie poznać. Ale numer! Nie mogłem uwierzyć, że program zrobił mi taki PR i że nawet celebryci go oglądali. Zajełście! Czy to znaczy, że może i królowa siadała sobie z podgrzaną w mikrofalówce kolacją we wtorki wieczorem, żeby obejrzeć mój show? Kompletny odjazd!

Channel 4 nie podjął decyzji, czy zamówi kolejną serię programu, więc praca dla All Saints trafiła się w samą porę. Grupa miała wydać singla i album i czekał ją bezlitosny harmonogram związany z promocją. Dziewczyny potrzebowały stylisty, który nada im nowy wizerunek i przygotuje je do wideoklipu, zdjęć dla prasy, do wywiadów i na okładki. Nieźle!

* * *

Do studia nagraniowego w Primrose Hill na spotkanie z dziewczynami wszedłem stremowany. W latach dziewięćdziesiątych All Saints były superznanym zespołem, słynęły ze stylu na luzie, nosiły bojówki i koszulki na ramiączkach – na pewno niejednokrotnie nawiązywałem do tego w swoich stylizacjach.

Przez kilka dni poszukiwałem pomysłu i przygotowywałem się do nadania im nowego wizerunku. Wiedziałem, że muszą nadal wyglądać popowo, ale były już trochę dojrzałe, miały nawet dzieci. Nie mogły dalej nosić bojówek i włosów ściągniętych w kitkę. Potrzebowały nowego, bardziej seksownego stylu – na tyle na luzie, żeby kojarzyć się z tym dawnym, ale jednak bardziej na czasie.

Postanowiłem wystylizować je na „seksowne skaterki”, aby nawiązać do sposobu noszenia się, z którego były znane. Zastąpię bojówki i sportowe buty wąskimi džinsami i szpilekami, ale utrzymam koszulki, bluzy z kapturami i obcisłe kurtki. To będzie idealne skrzyżowanie Gwen Stefani z Avril Lavigne.

Kiedy stałem przy recepcji w studiu, nabierałem wiary w siebie. Po co tak się martwię? To one mnie zaprosiły! Jeśli im się nie spodoba, co zaproponuję, to po prostu obracam się na pięcie i idę szukać innego zajęcia.

Zdałem sobie sprawę, że *Jak dobrze wyglądać nago* dało mi plan awaryjny, miałem teraz

drugą specjalność. To, czy będę miał pieniądze, czy osiągnę sukces, nie zależało już tylko od stylizacji. Mogłem też pracować jako prezenter w telewizji. A gdyby to się nie udało, nadal zostawały mi zlecenia stylisty.

Pokrzepiony na duchu, śmiało ruszyłem do studia, gdzie dziewczyny nagrywały. Kiedy uchyliły się drzwi do tonącego w mroku pomieszczenia, po raz pierwszy zobaczyłem je na żywo. W jednej chwili wyparowała ze mnie cała nowo odnaleziona pewność siebie. Cholerny świat, pomyślałem. To przecież All Saints!

Nicole i Nat siedziały za stołem mikserskim, obok przycupnęła Mel, a za nimi stała Sha-znay. Spojrzały na mnie wszystkie jednocześnie.

– Cześć, Gok! – powiedziały chórem.

Czułem się tak, jakbym się wdarł gwałtem na plan *Aniołków Charliego*.

– Cześć – mruknąłem nieśmiało.

Zapatrzony w nie, jak zahipnotyzowany, nie zauważyłem małego stopnia prowadzącego do studia. Zachwiałem się, straciłem równowagę, przeleciałem przez drzwi, zrobiłem dwa, trzy rozpaczliwe kroki, wyrzucając ręce do góry, i wreszcie wylądowałem twarzą na stole mikserskim.

To był naprawdę najbardziej upokarzający moment w moim życiu.

Zaskoczone dziewczyny krzyknęły, a potem zaczęły się tarzać ze śmiechu i klaskać w ręce, bardzo ubawione. Nie do wiary. Z obolałą twarzą i nieco spanikowany, starałem się pozbierać, ale podnosząc się ze stołu, trafiłem na kręcony stołek z tyłu i znów straciłem równowagę. Musiałem wyglądać jak sześciorogie, czerwone na gębie chińskie wydanie słynnego kłowna Franka Spencera!

Kiedy wreszcie odzyskałem grunt pod nogami, przeprosiłem, że taki ze mnie łamaga. Dziewczyny dalej się śmiały, zapewniły, że nie szkodzi, i spytały, czy nic mi się nie stało.

Powiedziałem, że nie, ale kłamałem. Upadek mocno zranił moją dumę i chciałem uciec ze studia, znaleźć jakiś cichy kąt, zwinąć się w kłębek i umrzeć. Miałem wrażenie, że wygłupiłem się jak jeszcze nigdy w życiu. (Ostatnio Mel powiedziała, że kiedy upadłem, od razu wiedziały, że mnie przyjmą. „To był dowód, że do nas pasujesz” – wyjaśniła).

W końcu złapałem pion i najszybciej, jak mogłem, przedstawiłem im swoje pomysły na ich nowy styl. Zdawało się, że moja propozycja im się podoba, ale ja ledwie to odnotowałem. Nie mogłem się doczekać wyjścia ze studia.

Kilka godzin po tym, kiedy już zdołałem stamtąd uciec,

Carol odebrała telefon z managementu dziewczyn. Bardzo spodobałem się All Saints. Zamawiali mnie. Najwyraźniej dziewczyny poczuły do mnie tak samo wielką słabość, jak ja, padając przed nimi. Jedną z pierwszych okazji do wspólnej pracy był klip *Rock Steady*, którym zespół powracał do show-biznesu. Miałem wiele spotkań z reżyserem, wytwórnią, menedżerami i – oczywiście – dziewczynami. Fabuła teledysku nawiązywała do lat dwudziestych dwudziestego wieku, napadów na bank w stylu Bonnie i Clyde'a. Na szczęście przyszedł mi do głowy pomysł, który się dziewczynom bardzo spodobał. Zaprojektowałem trochę strojów retro, inspirowanych latami trzydziestymi, czterdziestymi i pięćdziesiątymi, i kazałem je zrobić w czerni i bieli z plastiku. To był bardziej hołd dla *Śniadania u Tiffany'ego*! Koncepcja wypaliła i wideo wypadło fantastycznie, bardzo elegancko i stylowo. Dziewczynom przypadł do gustu nowy seksowny wizerunek.

Po wypuszczeniu singla mieliśmy jechać w trasę promocyjną po Europie. Dziewczyny zapraszano do wszystkich programów telewizyjnych – śniadaniowych, muzycznych, na wywiady. Trzeba je było inaczej ubrać na każdą taką okazję. A ja odpowiadałem za to, żeby zawsze wyglądały idealnie, nigdy tak samo, i – co najważniejsze – dobrze się czuły w tym, co mają na sobie.

Postanowiłem wziąć je ze sobą na zakupy, żeby dobrać im ubrania na trasę, bo w ten sposób mogłem się na bieżąco upewnić, co chcą nosić. Wykombinowałem, aby brać je po dwie naraz, więc najpierw poszły ze mną Mel i Nic. Oczywiście we wszystkich sklepach chcieli, żeby dziewczyny się u nich ubierały, więc dostawaliśmy pięciogwiazdkową obsługę z zespołem osobistych doradców pod ręką i kilkoma butelkami szampana na lodzie. Takie zakupy to ja rozumiem!

W jednym ze sklepów przeczesywaliśmy właśnie stojak z ubraniami, gdy nagle, ni stąd, ni zowąd, rozległy się piski i chichot. Biegły do nas jakieś nastolatki. Pewien, że chcą zdobyć autografy i zrobić sobie zdjęcia z dziewczynami, odsunąłem się na bok, ale ku memu zdumieniu ruszyły wprost na mnie i prosiły o MÓJ autograf! Dziewczyny też były zaszokowane. Widok miny Mel i Nic w tamtej chwili był bezcenny. Spiękniałem raka, rozdałem autografy, a kiedy zostaliśmy znów sami, odwróciłem się z uśmiechem do Mel i Nic.

– No, dziewczynki, musimy dziś znaleźć osiem zestawów, bierzcie się do roboty.
A potem wszyscy zaczęliśmy pękać ze śmiechu.

* * *

Uwielbiałem pracę z dziewczynami. Nie we wszystkim się zgadzaliśmy, co czasem prowadziło do modowych starć, ale w sumie było bardzo fajnie. Zachwycała mnie dynamika zespołu – Shaznay była najcichsza z nich i nic nie mogło wyprowadzić jej z równowagi, Mel i Nicole podtrzymywały swoją dzieciinną przyjaźń i zawsze można się było spodziewać po nich jakiejś psoty, podczas gdy Nat była niezmiennie skoncentrowana i stanowcza.

Na All Saints było zapotrzebowanie, wszyscy chcieli robić z nimi wywiady. Prasa polowała na jakieś szczegóły i węszyła za plotkami, żeby się dowiedzieć, dlaczego w latach dziewięćdziesiątych zespół się rozpadł, ale dziewczyny były świetnie wytrenowane w odbijaniu wścibskich pytań. Przyglądałem się temu i sporo się nauczyłem na temat radzenia sobie z prasą, kiedy ta staje się jak psy tropiące.

Pierwszy singiel *Rock Steady* wypadł świetnie i zajął bardzo dobre trzecie miejsce na brytyjskich listach przebojów. Dziewczyny bardzo się cieszyły, ale wiedziały, że przed nimi jeszcze długa droga, jeśli mają powtórzyć dawny sukces. Byłem dumny, że brałem udział w ich powrocie.

* * *

Tymczasem Channel 4 i Maverick pracowały ciężko nad rozwinięciem *Jak dobrze wyglądać nago*. Choć jeszcze o tym nie wiedziałem, Sue Murphy zamówiła kolejną serię i zdecydowała, że teraz zrobi z tego godzinny show.

Kiedy zadzwoniła Carol z wiadomością, że chcą, abym wziął udział w zdjęciach, nie mogłem w to uwierzyć. Tak łatwo wślizgnąłem się z powrotem do znanego mi dobrze świata

stylizacji, gdzie czułem się bezpiecznie, a poza tym myślałem, że *Jak dobrze wyglądać nago* skończyło się na jednej serii. Nie zdawałem sobie sprawy, że show wypadł zaskakująco dobrze, windując oglądalność na ponad trzy miliony gospodarstw domowych przy każdym odcinku. *Nago* odniosło wielki sukces i miało wrócić na ekrany wiosną 2007 roku!

Byłem niesamowicie podekscytowany tą wspaniałą wiadomością. Uważałem, że dokonaliśmy w telewizji czegoś wyjątkowego, przełomowego, co mogło poruszyć serca i zmienić podejście, i najwyraźniej w Channel 4 też byli tego zdania.

Ale, cholera jasna... Co teraz z All Saints?

Przez wiele dni z przerażeniem zastanawiałem się, jak powiedzieć dziewczynom, że odchodzę. Martwiłem się, że uznają mnie za zdrajcę, będą sądzić, że je wykorzystałem. Czy pomyślą, że podpisałem z nimi kontrakt tylko na przeczekanie, zanim trafi mi się coś lepszego?

Choć zespół zatrudnił mnie na zlecenie i w każdym momencie mogłem odejść, nie chciałem zawieść dziewczyn. Przez krótką chwilę zastanawiałem się nad możliwością brania udziału w zdjęciach, a jednocześnie stylizowania zespołu, ale wiedziałem, że to za dużo naraz. Nawet przeszło mi przez myśl, że może zrezygnuję z show i zostanę z dziewczynami, ale przecież w żaden sposób nie mogłem zaprzepaścić takiej szansy. Wspaniale było pracować dla All Saints, ale w głębi duszy wiedziałem, że już nie zadowala mnie rola stylisty. Zasmakowałem w światłach rampy, o których zawsze marzyłem, i przez pięć miesięcy spędzonych z zespołem brakowało mi występowania przed kamerą. Choć łączyły się z tym też pewne rzeczy, których nie lubiłem – uwaga mediów, naprawdę długie dni pracy – połknąłem haczyk.

* * *

Najbardziej obawiałem się tego, że praca w telewizji wywoła nawrót anoreksji. Z całą pewnością w ten sposób odbiło się na mnie kręcenie pierwszej serii. Ale miałem teraz tych kilka miesięcy, żeby wszystko przemyśleć i zrozumieć, dlaczego choroba wróciła. Przyczyną było poczucie utraty kontroli. W dodatku show, z powodu historii zgłaszających się do nas kobiet, zmuszał mnie do zmierzenia się od nowa z nienawiścią wobec własnego ciała. Musiałem sobie zadawać pytanie, co ja sam myślę, patrząc w lustro. Wiedziałem, że jeśli kiedykolwiek mam na dobre uporać się z anoreksją, to nie mogę uciekać przed tym, czego się boję.

* * *

All Saints przyjęły to, że odchodzę, całkiem dobrze – tak dobrze, że poczułbym się nawet nieco urażony, gdyby nie były takie kochane. Tuż przed Bożym Narodzeniem 2006 roku powiedziałem im, że nasze drogi się rozeszły, i wśród mnóstwa pocałunków i obietnic, że będziemy nadal w kontakcie, pożegnaliśmy się.

Drugą serię *Jak dobrze wyglądać nago* zaczęliśmy kręcić w styczniu 2007 roku. Postanowiłem, że zrobię z niej coś większego i lepszego. Nie ma mowy, abym dał się pokonać prasie. Byłem już silniejszy. Wiedziałem, że wreszcie znalazłem drogę zawodową, którą chcę podążać, i byłem gotów dać z siebie wszystko.

Chciałem nauczyć się dokładnie tego co trzeba orobieniu telewizyjnego show. Pragnąłem mieć wpływ na decyzje redaktora programu i chciałem, żeby wszyscy w kraju wiedzieli, że ten show zmienia oblicze brytyjskiej mody. Przesłanie programu miało stać się moją osobistą

wendetą przeciwko tym wszystkim draniom, którzy mówili mi, że nie jestem dość dobry. Dowiodę im, że byłem dobry, kiedy byłem gruby, i jestem dalej tak samo dobry, kiedy jestem chudy. Jeśli ktokolwiek jeszcze powie mi, że nie jestem dość dobry, to stanę z nim do walki na gołe pięści, razem ze swoją nową nagą armią.

* * *

Dostałem zielone światło i wprost paliłem się do pracy. Zorientowałem się, że kręcenie drugiej serii wygląda inaczej niż kręcenie pierwszej – głównie dlatego, że kobiety wybrane do programu oglądały pierwszą i wiedziały, czego się spodziewać.

A format programu opierał się na elemencie zaskoczenia i bez taktyki szokowej nigdy nie udałoby się nam wywołać autentycznych reakcji tych pań. Żeby uciec od schematu, producenci chcieli zmienić finał – panie miały przejść po wybiegu dla modelek, nie mając na sobie nic poza bielizną.

Martwiłem się, że dla tych dziewczyn to będzie zbyt wiele. A jeśli odmówią? Co będzie, jak zaczną protestować widzowie i zarzucą nam, że posunęliśmy się za daleko? A jeśli prasa uzna, że to nieuzasadnione, i obwini mnie o ten pomysł?

Cholera!

Rozmawiałem o swoich wątpliwościach z producentami, ale zapewnili mnie, że panie będzie się chronić, że nie dopuścimy, by spotkała je jakakolwiek przykrość, i zaufałem im, bo widziałem, jak opiekowali się naszymi dziewczynami w pierwszej serii. Ich nagie sesje były starannie wyreżyserowane, żeby cały czas czuły się swobodnie, i nie pokazano nic, co mogłoby kogoś zawstydić czy obrazić. Wiedziałem, że przejście po wybiegu zostanie zorganizowane podobnie. Odpowiedzialność za to, żeby zadbać o dziewczyny i nie narazić ich na nieprzyjemności, spoczywała głównie na Jane Galpin, producentce od strony mody. Jane szybko stała się sumieniem show.

Kiedy zaczęły się zdjęcia, od nowa zakochałem się w tym programie. Mogłem spać spokojnie, bo wiedziałem, że jest on ważny i niesie bardzo istotne przesłanie, na miarę ducha naszych czasów. Nie zgadzałem się z tymi dziennikarzami, którzy uznali go za impertynencki i niestosowny. Wiedziałem, że zmieniamy świat na lepsze i podważamy dyktat mody, która tak długo była elitarna i promowała niezdrowy ideał kobiecego ciała. Zbyt długo kobietom wmawiano, że muszą poddawać się masie operacji plastycznych, jeśli chcą być piękne. Co za główniane przesady! Już pierwsza seria naszego show dowiodła, że dzięki odpowiedniemu wsparciu, ukierunkowaniu, porządnej bieliźnie i trafnie wybranym strojom kobieta może się poczuć sto razy lepiej we własnej skórze. Nie trzeba być supermodelką (często niesamowicie chudą i wyglądającą dziwnie w prawdziwym życiu) albo piękną aktorką (starannie sfotografowaną w profesjonalnie oświetlonym studiu przy współudziale makijażysty, fryzjera, stylisty i naszego przyjaciela fluidu w sprayu) ani też nastoletnią miss plaż, żeby być cudowną kobietą, dumną ze swoich naturalnych atutów.

Pierwsza seria była dla nas pilotażowa i okazała się hitem. Odcinki drugiego cyklu miały być dłuższe, każdy trwał godzinę, a Channel 4 chciał zainwestować o wiele więcej w program zaplanowany do nadawania w czasie najlepszej oglądalności.

Kiedy kręciliśmy pierwszą serię, czasami przerażało mnie, jak wielkie emocje okazują na-

sze panie. Raz czy dwa spanikowałem i miałem wrażenie, że wykraczamy daleko poza to, co planowaliśmy, wymyślając telewizyjny show na temat wybierania ładnych ubiorów i budowania pewności siebie. Ale kiedy odcinki zostały zmontowane i je zobaczyliśmy, stało się jasne, że *Nago* mówi o czymś o wiele ważniejszym niż nowe sukienki. Jego rdzeniem była emocjonalna podróż, jaką odbywały te kobiety, a jej rezultat dowodził, że okazała się warta zachodu.

W drugiej serii postanowiliśmy więc pójść głębiej, naprawdę poznać nasze panie, ich życie i cielesne kompleksy. Nie wszystkie dziewczyny miały krągłe kształty. Wiele było drobnej budowy, starających się to ukryć, bo uważały, że są okropnie niezgrabne. Show tworzył wspólnotę, pomagał ludziom zrozumieć, że nie tylko oni nienawidzą swojego ciała, czują się nieatrakcyjni i bezwartościowi.

Było też kilka innych zmian w formacie. Teraz kobiety szły razem ze mną, kiedy wystawiałem ich roznegliżowane zdjęcie na widok publiczny na początku programu – co dało mi okazję do kilku biegów sprinterskich, kiedy mi uciekały! Braliśmy się do takich spraw, jak usuwanie owłosienia, opalanie i inne zabiegi, i do dobierania bielizny odpowiedniej dla danej figury. Robiliśmy zakrojone na szeroką skalę badania konsumenckie, setka pań sprawdzała, na ile różne mazidła spełniają dawane w reklamach obietnice. Zaglądaliśmy do szuflad z bielizną dziewczyn, a ja wyrzucałem stare, zszarzałe gatki za okno albo do ognia i kazałem im kupić majtki, które dobrze na nich leżą i ładnie wyglądają.

No i oczywiście mieliśmy nasz wybieg. To był wielki szok dla pań, kiedy im oznajmiłem, że mają przejść jak modelki na oczach tysięcy widzów, na koniec zostając w samej bieliźnie. Każdy widział, że na ich twarzach maluje się strach i że mają opory, ale wszystkie wzięły się w garść i zrobiły to. Rozpierała mnie duma z moich dzielnych dziewczyn. To była wielka chwila – kiedy moja pani szła po wybiegu wśród braw i owacji (a czasem też łez) wzruszonej rodziny i przyjaciół.

Kiedy wyemitowano serię, widzowie, podobnie jak ja, uznali ją za poruszającą i optymistyczną. Nowe odcinki miały być ogromnym sukcesem. To był kolejny kamień milowy w moim życiu.

Następne pół roku to było kompletne szaleństwo! Druga seria *Jak dobrze wyglądać nago* stała się jednym z najgłośniejszych show w kraju – chyba poświęcono nam więcej miejsca w gazetach niż ślubowi Katie Price! Cała prasa zachwycała się show, blogerzy też, a nawet niektórzy krytycy, którzy kiepsko przyjęli pierwszą serię, odszczekiwali dawne opinie i chwaliли program.

Telefon Carol się urywał. Oferty zaczęły napływać ze wszystkich stron. Klienci chcieli, żebym otwierał centra handlowe, przemawiał na imprezach charytatywnych, przyszedł na premierę, promował pralki, produkty do pielęgnacji włosów, okulary, ubrania i bieliznę. Carol i ja żartowaliśmy sobie, że nie ma takiej części mojego ciała, która nie może czegoś sprzedać. Polegałem na Carol, wiedziałem, że trafnie zdecyduje, w co powinniśmy wejść. Radziła mi, co wziąć, a co nie jest dla mnie odpowiednie. Nadal starannie wybieraliśmy, z kim będziemy współpracować, bo nie chcieliśmy popaść w biznesowe zależności i dbaliśmy o mój spójny wizerunek. Stałem się rzecznikiem firmy optycznej Specsavers, która sponsorowała nasz show, i napisałem książkę związaną z programem, która też nosiła tytuł *Jak dobrze wyglądać nago*.

Nie tylko rynek reklamowy zwracał się do nas. Paul O’Grady chciał posadzić mnie na swojej kanapie, Gordon Ramsay gościć u siebie w kuchni, nawet premier zaprosił mnie do siebie do domu. Nie mogłem w to wprost uwierzyć. Gruby, wyśmiewany chłopak z Leicesteru był teraz jednym z najbardziej pożądanych gości w kraju – niesamowite!

Wśród tych emocji związanych z sukcesem i frajdą, że wszędzie jestem mile widziany, zdałem sobie sprawę, że moja sława osiągnęła poziom, jakiego nikt nie mógł się spodziewać. Gdziekolwiek się ruszyłem, ludzie wszędzie mnie zatrzymywali, prosili o autograf, chcieli sobie zrobić ze mną zdjęcie. Często proszono mnie o radę. „Jakie fasony są dla mnie odpowiednie?” – pytała jakaś kobieta. „Idę w sobotę na przyjęcie, jak się ubrać?”

Wydawało się, że cały kraj uznał nasz show za własny. *Jak dobrze wyglądać nago* przedstawiało prawdziwych ludzi i było dla prawdziwych ludzi, więc wszyscy czuli, że mają w nim swój udział. Pod wieloma względami zgadzałem się z tym – to był ich show! Nie mogliśmy go tworzyć bez naszych cudownych pań, ich przyjaciół i rodzin oraz publiczności, której opinie zbieraliśmy i która tworzyła widownię finałowego wyjścia na wybieg.

Myślę, że wydawałem się taki przystępny, bo nie przyjąłem żadnej pozy, która zrobiłaby ze mnie kogoś innego, niż jestem – po prostu byłem sobą. Teoretycznie dobry pomysł, ale w rzeczywistości miał swoje złe strony. Przede wszystkim każdemu, kto widział show, wydawało się, że mnie zna. Uwielbiałem spotkania i rozmowy z fanami. Z zasady nie odmawiałem autografów i zdjęć, bo zdawałem sobie sprawę ze swojej odpowiedzialności wobec widowni – bez niej nie zrobiłbym kariery – więc zawsze starałem się być serdeczny i bezpośredni i często wdawałem się w małe pogawędki. Zwykle ludzie byli uroczy i przyjaźni, chwalili

show, mówili, jak bardzo go lubią.

Publiczność szybko podchwyciła moje określenia. W programie mówiłem zawsze tak samo jak w życiu. Piersi nazywałem „buforami” i zapowiadałem swoim paniom, że posłużymy się „majtkowym poradnikiem”. I to weszło do ogólnego sposobu komunikacji ze mną. Kiedyś stałem na Oxford Street, a tu mija mnie taksówka. Z okna wychylają się dwie kobiety z podciągniętymi bluzkami i pokazują staniki.

– Złap moje bufory, ciociu Gok! – krzyknęły.

Śmiałem się chyba z tydzień!

* * *

Ale sława zaczęła zakłócać moje relacje z przyjaciółmi. Nie mogłem już wieczorem wyjść spokojnie z kumplami na miasto. Bez przerwy ktoś podchodził, prosił o autograf albo o zdjęcie. Moi znajomi słusznie mieli dość tego zamieszania wokół mnie. Nie to, żeby zazdrościli mi sławy, ale po prostu nie chcieli naszego wspólnego czasu dzielić z całym krajem.

Próbowałem być uprzejmy i robić, co w mojej mocy, dla tych, którzy prosili o autografy i zdjęcia, ale czasem to nie było możliwe, bo musiałem też żyć własnym życiem. Któregoś wieczoru poszliśmy z E’lain na drinka i skończyło się na tym, że strasznie się pokłóciliśmy. Staliśmy na Shaftesbury Avenue. Emocje były silne i staraliśmy się wszystko jakoś wyjaśnić, oboje bliscy łez, a tu nagle zatrzymuje się przy nas jakaś para i pyta, czy mogą sobie zrobić ze mną zdjęcie. Widzieli, że jesteśmy roztrzęsieni, ale to ich nie powstrzymało. Po raz pierwszy odmówiłem, powiedziałem, że bardzo przepraszam, ale naprawdę to nie jest odpowiednia pora. Mężczyzna wyzwał mnie od palantów, a kiedy odchodzili, kobieta powiedziała: „Wiedziałam, że on nie jest taki jak w telewizji, pieprzony picer”.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom i zrobiło mi się jeszcze bardziej przykro niż przedtem. Uświadomiłem sobie, że sława przegryzła się do mojego życia prywatnego. Po tamtym incydencie obiecałem sobie, że zrobię, co w ludzkiej mocy, żeby chronić rodzinę i przyjaciół od tego swojego nowego świata.

* * *

Były też inne zmiany. Po raz pierwszy w życiu miałem jakieś większe pieniądze. Kiedy zaczynałem w *Jak dobrze wyglądać nago*, zarabiałem mniej niż jako stylistą, ale teraz mi się poprawiło. Udział w akcjach promocyjnych, książki (podpisałem umowę na dwie kolejne o stylu) i sukces show – wszystko to przynosiło godziwe zyski i zaczynałem się zastanawiać nad innymi możliwościami, takimi jak własna linia bielizny. Dziwne uczucie, bo przez większość życia brakowało mi pieniędzy, ale teraz wcale nie korciło mnie, żeby wydawać na prawo i lewo.

Zbyt mocno miałem w sobie zakodowaną typową dla klasy pracującej ostrożność. Nadal żyłem skromnie. Kupiłem kilka ładnych rzeczy, pozwoliłem sobie na dobry samochód i trochę designerskich ubrań – ale trzymałem się zasady, że wszystko jest z miejsca zapłacone. Nic na kredyt. Wiedziałem, że prezenterzy telewizyjni mają zwykle krótki termin ważności. Za bardzo się bałem, że to wszystko może się w jednej chwili skończyć i zostanę z niczym, aby zacząć szastać ciężko zarobionymi pieniędzmi. Nadal wynajmowałem sobie mieszkania i zbierałem

kasę, bo nie chciałem kupować nic na własność, dopóki nie będę w stanie wpłacić pełnej sumy.

Podczas drugiej serii wskaźnik oglądalności ogromnie wzrósł i Channel 4 wiedział już, że ma w rękach prawdziwy przebój. Wkrótce znów pracowaliśmy przy produkcji, szykowaliśmy trzecią serię, gdzie w każdym odcinku miało być jeszcze więcej epizodów. Maverick bardzo się starał o coraz bliższe relacje ze mną. Dyrektorka kreatywna firmy Alex Fraser stała się moim powiernikiem, kiedy miałem jakieś wątpliwości dotyczące decyzji podjętych przez redakcję. Zawsze przekonywała, że producenci mają rację, ale już samo to, że mnie wysłuchiwała, dawało mi poczucie, że moje sprawy leżą jej na sercu.

Prasa nadal nas wspierała, a *Nago* było przejmowane przez inne kraje. Australia, Nowa Zelandia, Kanada, Polska – żeby wymienić tylko kilka przykładów – kupiły show i nasze przesłanie: „Liczy się jakość, nie rozmiar”, głoszone już na całym świecie. To było dziwne uczucie pomyśleć, że znają mnie w krajach, w których nigdy nie byłem!

Wypracowałem sobie różne strategie, żeby prowadzić, na ile to możliwe, normalne życie. Zacząłem dostosowywać zwyczaje do nowej sytuacji. Zakupy w centrum Londynu były ściśle ograniczone do godziny między dziewiątą a dziesiątą, kiedy w sklepach są praktycznie pustki. Kiedy potrzebowałem czegoś z ubrań, wpadałem do Topshopu, łapałem całe naręczce i szybko kupowałem, nim mnie ktoś rozpoznał. Miałem też specjalne przebranie – dres, czapkę i ciemne okulary – żeby mniej rzucać się w oczy przy sprawunkach w Sainsbury's. Nikt nie potrzebuje widowni, kiedy się zastanawia, jaki papier toaletowy wybrać.

Ale kiedy *Jak dobrze wyglądać nago* stało się przebojem w czasie najwyższej oglądalności, musiałem zaakceptować fakt, że wchodzę na wyższy stopień sławy. I nie chodziło już tylko o drobne niedogodności. Teraz bywały i bardziej poważne sytuacje.

Na przykład kiedyś ktoś z moich przyjaciół zdobył dwa bilety do O2 na Spice Girls, które właśnie wracały z nową trasą koncertową. Znajomy spytał, czy chcę z nim pójść, i oczywiście się zgodziłem. Nie zastanawiałem się, gdzie siądziemy – byłem za bardzo podekscytowany, że zobaczę, jak dziewczyny będą ubrane.

Kiedy przybyliśmy pod O2, zdałem sobie sprawę, że może popełniłem błąd. Dostanie się do budynku przypominało przedzieranie się przez tłum podczas zamieszek wśród kibiców piłkarskich. Mamy i córki szturmowały po mój autograf i zdjęcia. Im więcej ludzi nas otaczało, tym więcej przybywało zainteresowanych.

Wreszcie przebiliśmy się do środka, kupiliśmy sobie coś do picia i popcorn i poszliśmy szukać swoich miejsc. Okazały się strzałem w dziesiątkę! Fantastyczny widok na scenę – mieliśmy siedzieć dokładnie pośrodku głównej areny. Już tam dochodziliśmy, kiedy nagle wybuchły owacje. Myślałem, że na scenie pojawiły się przed czasem dziewczyny, ale to było dziwne, bo nie przyciemniono świateł na sali. I szybko się zorientowałem, że ludzie wiwatują nie na cześć Spice Girls, ale moją!

W jednej chwili znów ruszył na nas tłum, coś nieprawdopodobnego! Ze wszystkich stron błyskały flesze, rozbrzmiewały okrzyki: „Gok, Gok, Gok!”, setki programów koncertu Spice Girls natarły na mnie, żebym je podpisał. Na szczęście ochrona zorientowała się, co się święci, i wyciągnęła mnie i mojego przyjaciela z tłumu. Umieścili nas w prywatnej łoży, żeby nie dopuścić do zagrożenia bezpieczeństwa i zdrowia na sali. Jednak ponieśliśmy dotkliwą stratę, bo z prywatnej łoży był najgorszy widok na scenę, jaki można sobie wyobrazić! Jeśli to

jeszcze do mnie wcześniej w pełni nie docierało, to teraz już miałem pewność – nagomania zaczęła się na dobre.

Zigazig ah!

* * *

Kilka podobnych incydentów i zdałem sobie sprawę, że ja i moi przyjaciele możemy znaleźć się w niebezpieczeństwie, jeśli nie podejmiemy odpowiednich środków ostrożności. Byłem atakowany przez tłum na lotniskach, a wyjście do klubu czy restauracji stało się koszmarem. Któregoś wieczoru w Liverpoolu wybrałem się do klubu z kimś z ekipy i skończyło się na tym, że musieliśmy przeskoczyć przez bar i uciekać tylnymi drzwiami, by nie dać się zadusić. Po tym zdarzeniu wiedziałem, że naprawdę muszę bardziej uważać.

Wieczorne wypadki z kumplami były teraz planowane jak akcje wojskowe, z rezerwowaniem miejsc dla VIP-ów i uprzedzaniem o naszym przyjsciu ochrony. Hotelom podawaliśmy fałszywe nazwisko, żeby ktoś z obsługi nie powiedział znajomym o moim pobycie. (Przyjęliśmy tę strategię, kiedy raz jakaś recepcjonistka zwierzyła się najbliższej przyjaciółce, a ta z kolei wychlapała całemu miastu, że się u nich zatrzymałem. Po zameldowaniu skierowałem się do swojego pokoju i trafiłem na cztery biwakujące pod drzwiami w oczekiwaniu na autografy i zdjęcia dziewczyny!).

Kręcenie show też musiało być starannie organizowane. Już nie mogliśmy dyskretnie wślizgnąć się do sklepu i nie zwrócić na siebie specjalnej uwagi poza rzuconym od czasu do czasu zaciekawionym spojrzeniem. Teraz trzeba było wynajmować ochronę, która pomagała trzymać na dystans setki fanów chcących zobaczyć, jak filmujemy – a trudno skupić się w błyskach fleszy, kiedy jakieś nastolatki wołają cię po imieniu.

Były też inne aspekty sławy, których nie brałem wcześniej pod uwagę – złe strony wykraczające poza zwyczajną utratę prywatności. Proste zagadywanie chłopaków w stylu: „Masz ochotę na drinka?” albo „Często tu bywasz?” odpadało. Potencjalni partnerzy musieli być teraz weryfikowani z największą precyzją, bym mógł upewnić się o ich uczciwości i dobrych intencjach. Do tej pory faceci niespecjalnie się mną interesowali, a tu nagle zostałem zasypany ofertami od mężczyzn, którzy chcieli mnie „lepiej poznać”. Szybko się okazało, że ich piękne słówka są pełne kłamstw na temat ich zawodu, statusu osobistego i wieku. Z drugiej strony bardzo mi zależało, żeby moi dawni, obecni i potencjalni chłopcy nie znaleźli się w centrum publicznej uwagi, nawet jeśli to się stało częścią mojej codzienności.

Przyjaciele pisali mi e-maile i pytali, czy wiem, że sprzedaje się koszulki z moją podobizną albo że są ze mną kartki urodzinowe i kalendarze. Słyszałem, jak mówi się o mnie w radiu albo moje nazwisko pada w rozmowie postaci z seriali telewizyjnych, takich jak *Coronation Street*, *Życie w Hollyoaks* lub *EastEnders*, czy w komediowych show. Wszedłem do powszechnej świadomości. W Wielkiej Brytanii moje imię stało się synonimem gejowskiej troskliwości. Odkryłem, że ktoś specjalizuje się w udawaniu mnie w agencji sobowtórów i można go sobie zamówić na urodziny, wieczory panieńskie i cokolwiek, jak się mu zapłaci. Muszę powiedzieć, że to mnie wkurzyło.

* * *

Moja rodzina na pewno mocno odczuła efekty uboczne mojej sławy. Kiedy podążałem swoją ścieżką, zajmowałem się makijażem, stylizacją, a potem stawiałem pierwsze kroki w telewizji, oni żyli sobie po swojemu.

Po studiach na uniwersytecie Oilen zgodnie z wybranym kierunkiem została radcą prawnym specjalizującym się w kwestiach opieki nad dziećmi, co było bardzo odległe od świata, w jakim ja się obracałem. Oczywiście musi utrzymywać szczegóły swojej pracy w tajemnicy, ale wiem, ile dobrego robi, wyciągając rodziny i dzieci z niebezpiecznych sytuacji. W porównaniu z nią nie czuję się nikim ważnym. To dla mnie zaszczyt, że mogę ją nazywać swoją starszą siostrą.

Kwok-Lynowi nieco więcej czasu zabrało odkrycie, czego chce, ale kiedy tego dokonał, to było coś wspaniałego. Zawsze dawał sobie radę, skończył college, potem pracował w restauracji i nie zszedł na złą drogę ani nie obijał się po mieście jak wielu młodych ludzi ze środowiska podobnego do naszego. Kwok-Lyn na swój sposób powtórzył historię taty – wyjechał na rok do Portsmouth do pracy i wrócił ze swoją wspaniałą żoną Lisą. Bardzo wydorósł i był gotów przyjąć rolę najstarszego syna.

Lisie niełatwo przyszło wpasować się między nas. Potrzeba było lat cierpliwości i determinacji, aby się przebić przez wodoszczelny kokon naszej rodziny, ale cieszę się, że jej się udało. Pokazała nam, że możemy jako rodzina skupiać się też wokół innych ludzi. Niewątpliwie nadała nowy wymiar naszemu życiu.

Kiedy Kwok-Lyn i Lisa zaczęli wychowywać swoje dwie wspaniałe córki, Mayę-Lily i Lolę-Rose, brat odnalazł drogę, której tak długo szukał, i został instruktorem oraz specjalistą w sztukach walki. Otworzył własną firmę i odkrył w sobie wybitne zdolności menedżerskie. Pisywał do branżowych czasopism, prowadził szkolenia w Stanach i zapoczątkował jedno z największych pokazów sztuk walki w Wielkiej Brytanii, które odbywają się co roku. Jest w swojej dziedzinie bardzo ceniony, ale nikt nie ceni go bardziej ode mnie.

Mama i tata zamknęli wreszcie Gong i całkiem zerwali z chińską kuchnią. Przejęli za to lokal z rybami i frytkami o nazwie Whetstone Fish Bar i pracowali dalej tak samo ciężko jak zawsze, prowadząc interes sześć dni w tygodniu.

Kiedy zacząłem pojawiać się w telewizji, bardzo się cieszyli z mojego sukcesu i oglądali każdą minutę... dwukrotnie! Mama i tata udekorowali swój bar moimi zdjęciami i wycinkami z prasy na temat show. Teraz mogłem sobie pozwolić na to, by gościć ich w niektóre święta, co uwielbiałem.

Ale moja sława miała też minusy dla rodziny. Oilen zorientowała się, że nagle robi się znana jako „jego siostra” zamiast jako ona sama, co było dla niej frustrujące, i trudno się dziwić. Rodzice byli stale wypytywani o mnie przez klientów, a ich przyjaciele i przyjaciele przyjaciół wiecznie prosili ich o książki, autografy i wstawiennictwo. Rodzice za nic nie chcieli nikogo zawieść, więc kiedy przyjeżdżałem do domu, znajdowałem przy łóżku wielką stertę książek i zdjęć przygotowanych do podpisania.

Nie mogłem też już cieszyć się swobodnie czasem spędzanym tylko z rodziną. Kiedy przy rzadkich okazjach udawało mi się wpaść do Leicesteru, zbieraliśmy się zwykle w restauracji wujka, gdzie jedząc różne przekąski, opowiadaliśmy sobie nawzajem, co słychać. Ale dawno minęły dni, kiedy mogliśmy sobie zamawiać do woli, opychać się i mieć święty spokój. Teraz oblegali nas „starzy znajomi” rodziny i dalecy krewni, którzy chcieli zdobyć autograf albo zro-

bić sobie ze mną zdjęcie.

Rodzice i rodzeństwo zawsze uprzejmie odsuwali się na bok, ale w gruncie rzeczy czuli się urażeni. Mnie zdjęcia, rozdawanie autografów i zagadywanie obcych nigdy nie przeszkadzały, pod warunkiem że nie byłem właśnie z rodziną.

Miałem tyle zajęć, że te krótkie wspólne chwile były dla mnie bezcenne jak diamenty. Czuję się zobowiązany składać podpisy na skrawkach serwetek i pozować do fotografii. Bardzo rzadko odmawiałem, ale czułem się winny, kiedy to robiłem.

Przyjeżdżałem do domu właśnie po to, żeby uciec od szaleństwa sławy i telewizyjnego życia. Nie chciałem tu też pracować, więc wprowadziłem zasadę, że w domu nic nie podpisuję. Ale mama zawsze w ostatniej chwili podkradnie się do mnie z książką i piórem, błagając o ten jeden jedyny autograf, bo nie chce kogoś rozczarować, co rozumiem, ale mimo wszystko jestem sfrustrowany. Tak jak mówiłem, sława to kompletne wariactwo.

Najlepiej to wszystko znosi mój przedsiębiorczy brat. Uzmysłowił sobie, że nie da się uniknąć tego całego szumu, więc uznał, że równie dobrze można go wykorzystać. Pracował nade mną ciężko, nakłonił, bym mu pomógł, i wygrywa na tym, że jestem znany. Genialny pomysł! Dawaj, Kwok-Lyn. Nie mam nic przeciw temu – w pewien sposób to tylko malutki rewanż za to, jak on i Lisa karmili mnie, kiedy byłem chory. Sława to stan przewlekły, z którym nauczyliśmy się radzić sobie najlepiej, jak umiemy. Nadal jestem przede wszystkim synem i bratem i jeśli cały ten szal jutro minie, to moi kochani bliscy mnie nie opuszczą, zawsze, bez względu na okoliczności, będę miał ich miłość. Wiem, z czym przeze mnie muszą się borykać, i kocham ich jeszcze bardziej za to, że wytrzymują.

Pocieszające risotto

Składniki

paczka bekonu

cebula

łyżka masła

kopiasta szklanka ryżu na risotto

paczka pomidorków koktajlowych

3 szklanki bulionu z kury albo warzywnego

2 łyżki parmezanu

Sposób przygotowania

Nagrzewaj piec do temperatury 200 stopni Celsjusza. Potnij drobno bekon i podsmaż na patelni na chrupko, potem dodaj cebulę i masło. Duś 3 minuty, potem dodaj ryż i pomieszaj. Dołóż pomidorki koktajlowe, zalej gorącym bulionem, nakryj pokrywką i włóż do pieca na 20 minut. Znowu zamieszaj i posyp świeżo utartym parmezanem.

Totalna pociecha na talerzu!

Przepis: makijażysta nadzwyczajny Charlie „Sama przyjemność” Duffy

Wszystko było idealne, aż do momentu, gdy Carol powiedziała mi, że French i Saunders chcą, żebym je wystylizował na ich dwudziestą piątą rocznicę w BBC, aż podskoczyłem z radości.

Zawsze byłem ich wielkim fanem. Sama okazja poznania tych dziewczyn to byłoby dla mnie coś, a już ich stylizowanie to jak spełnienie marzeń. Śledziłem ich karierę od samych początków w latach osiemdziesiątych w serialu komediowym *Girls on Top* i moje czasy w szkole teatralnej wydawały mi się bardziej znośne dzięki świadomości, że one też tam studiowały, a nawet były na tym samym kursie co ja – ja cię kręcę, byłem ich superfanem! Kto by pomyślał, że pewnego dnia te wielkie ikony komedii poproszą, abym je stylizował.

Dziewczyny wynajęły mnie do wszystkich sesji zdjęciowych planowanych w związku ze zbliżającą się rocznicą. Każdy magazyn i dodatek weekendowy chciał mieć z nimi wywiad i oczywiście wszyscy potrzebowali ich zdjęć.

Menedżerka Dawn zaproponowała Carol, żebym poszedł do niej do domu przejrzeć jej garderobę, bo ona projektuje stroje i ma fantastyczną kolekcję ubiorów.

O Boże! Niech mnie ktoś uszczypnie! Ja chyba śnię!

* * *

Przygotowałem się i ruszyłem do Reading, gdzie Dawn mieszkała z Lennym Henrym. Ich dom leżał w pięknej jak z obrazka podmiejskiej okolicy. Kiedy wjeżdżałem na wysypaną żwirrem alejkę prowadzącą do posiadłości – którą opisano mi jako „wiejską” – z nerwów zaczęło mi się kręcić w głowie. Dom był o wiele bardziej okazały, niż mogłem się spodziewać z opisu, ale zachował naturalny, wiejski charakter – bliski temu, który znałem z serialu *Pastor na obcasach*. Po murze pięła się glicydia, przepięknie komponując się z dopieszczonym ogrodem.

Kiedy szedłem do drzwi frontowych, przystanąłem na moment, żeby zebrać się w sobie i przećwiczyć powitanie: „Cześć, Dawn, jestem Gok” albo „Witam panią, jestem Gok”.

Ale nim zdążyłem zapukać, drzwi się uchyliły i ukazała się za nimi głowa Dawn.

– Witaj, Gok Wan! – powiedziała z najszerszym, najbardziej serdecznym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałem.

Z rozmachem otworzyła szeroko drzwi i nim miałem szansę odpowiedzieć, wyskoczyła na ganek, porwała mnie w ramiona, uściskała i ucałowała.

O mój Boże... Pocałował mnie pastor na obcasach. Chwalmy Pana!

Starłem się zachować spokój, ale trudno było nie czuć skrępowania w towarzystwie tak wielkiej gwiazdy. Z promiennym uśmiechem i lekko zarumienionymi policzkami wszedłem do jej domu. Dawn prowadziła mnie do kuchni, proponowała herbatę i pytała, czy nie jestem głodny, tak jakbyśmy się znali od lat. Jej naturalny urok i gościnność tak mnie ośmieliły, że

niewiele brakowało, a zacząłbym bełkotać, jak bardzo ją podziwiam. Po kubku bardzo słodkiej herbaty i kilku czekoladkach z burbonem zdecydowaliśmy, że czas obejrzeć jej garderobę.

Nim odstawiłem kubek, Dawn już wybiegła z kuchni, wołając: „Chodź, Gok Wan!” (bardzo mi się spodobało, jak wymawia moje imię z nazwiskiem, nie mogłem powstrzymać chichotu). Wyszedłem za nią na korytarz. Patrzę, a ona już jest na górze schodów, bez bluzki, z najbardziej zawadiackim uśmiechem na twarzy!

Dostałem ataku śmiechu. Czy to się dzieje naprawdę? Scena była jak żywcem wzięta z jej telewizyjnych występów, a ja odgrywałem rolę jej sługi! I właśnie wtedy z idealnym wyczućciem czasu, tak jakby to wszystko było starannie wyreżyserowane, frontowe drzwi się otworzyły i stanął w nich Lenny brudny Henry! Aż mnie замуrowało. Uśmiechnąłem się głupawo do niego i skinąłem w kierunku jego żony, żeby usprawiedliwić swoją obecność w holu ich domu.

– Witaj, Lenny – powiedziałem. – Jestem Gok.

Zaczerwieniłem się jak dzieciak przyłapano przez rodziców na całowaniu niani. A Lenny na to z podobnie łobuzerskim uśmiechem jak ona:

– Witaj, Gok, co ty tu robisz z moją żoną?

I śmiejąc się sam do siebie, poszedł do kuchni.

Zakochałem się w atmosferze ich domu!

Nasze popołudnie było jak cudny sen. Dawn przymierzała miliony strojów, a ja wylegiwałem się na jej łóżku i wydawałem opinie. Świetnie się dogadywaliśmy. Dawn sprawiła, że poczułem się u niej całkiem swobodnie. Rozmawiała ze mną jak z członkiem rodziny. Byłem nią zachwycony, a kiedy powiedziała, że bardzo jej się podoba *Nago* i to, co zrobił dla kobiet w całym kraju nasz show, pękałem z dumy!

Kiedy przejrzelśmy zajmującą osobne pomieszczenie ogromną garderobę Dawn, powiedziała, że chce mi pokazać coś szczególnego. Zaprowadziła mnie do innego pokoju, gdzie miała szafę pełną kostiumów z czasów całej swojej fantastycznej kariery komediowej. To już przypominało dorwanie się do modowych pornosów! Omal nie krzyknąłem, kiedy wyciągnęła swoją szatę duchowną i krucyfiks.

Praca dla Dawn i Jennifer to było dla mnie coś niesamowitego. Jennifer poznałem dopiero przy pierwszej sesji zdjęciowej, ale podobnie jak Dawn i ona na swój sposób okazała się cudowna i serdeczna. Co prawda Dawn była większą jajcarą i nie owijała nic w bawełnę, a Jennifer była bardziej łagodna i z rezerwą. Kiedy zasugerowałem, co z wielu przygotowanych przeze mnie ubrań powinna włożyć, zastanawiała się nad tym bardziej metodycznie niż Dawn. Wyraźnie ostrożniej podchodziła do strojów. Może przygotowując się do roli w serialu *Absolutnie fantastyczne*, nabrała większej świadomości, jak bardzo ubiór działa na naszą korzyść albo wręcz przeciwnie. To było widać po tym, jak decydowała, czy jakaś moja propozycja jej się podoba, czy też nie. Wiedziała, jakie ubiory są odpowiednie dla jej sylwetki, i wiedziała też, co chce nosić.

Z tej dwójki Jen na pewno była cichsza i pozwalająca, żeby to Dawn głównie dowcipkowała – zarówno na wizji, jak i prywatnie. Byłem zachwycony tym, jak ich związek ewoluował w ciągu dwudziestu pięciu lat i że nadal się sprawdza jak niezawodny tandem.

Kiedy skończyliśmy prasową rundę, dziewczyny zaprosiły mnie na swój ostatni show na żywo do Drury Lane Theatre. Ich występ był fantastyczny, a one dla mnie cudownie serdeczne

podczas przyjęcia po spektaklu. Przedstawiały mnie swoim rodzinom i bliskim przyjaciołom. Spotkanie i praca z Dawn i Jen to niewątpliwie kamień milowy na mojej drodze zawodowej. Przez moment czułem się tak, jakbym znalazł się na liście przebojów.

Dawn dała mi jedną wskazówkę, której nigdy nie zapomnę: „Zawsze masz kontrolę nad własnym życiem. Czasem może się zdawać, że nie, ale masz”.

* * *

Kiedy kręciliśmy trzecią serię *Nago*, czułem się przy pracy tak pewnie jak jeszcze nigdy. Nadal wprowadzaliśmy zmiany formatu, bo trzeba go było odświeżać, by program nie stał się schematyczny i nudny. Poza tym nasze panie zawsze myślały, że wiedzą, czego się spodziewać, bo oglądały poprzednią serię, a my chcieliśmy, aby były zaskakiwane. W serii trzeciej poszliśmy o krok dalej i poprosiliśmy panie już nie tylko o to, żeby weszły na wybieg w bieleńnię, kiedy wyżej wyświetlane jest ich nagie zdjęcie. Teraz miały iść naprawdę nagie. Prosiłyśmy o bardzo dużo i martwiłem się, że może posuwamy się za daleko, ale jak zwykle moje dziewczyny się spisały i byłem z nich bardzo dumny.

Jak dobrze wyglądać nago w dużym stopniu opiera się na poczuciu humoru. Żartowałem sobie leciutko z dziewczyn, bo choć starałem się podbudować ich pewność siebie, nie mogłem przesadzić ani popaść w czułośćkowość. Humor pomagał mi sprawić, żeby one nie traktowały siebie tak poważnie i zobaczyły zabawną stronę sytuacji. Pozwalał też łatwiej oswoić się z rzeczywiście dość przerażającą perspektywą rozebrania się do naga w telewizji publicznej.

Zawsze podziwiałem aktorów telewizyjnych, którzy mają sytuacyjne poczucie humoru i potrafią je w odpowiedniej chwili wykorzystać. Kiedy byłem młodszy, próbowałem się od nich uczyć. W szkole starałem się rozśmieszać kolegów, więc uważnie słuchałem rozmów i czekałem na moment, kiedy mogę wtrącić coś zaskakującego albo dodać ni z tego, ni z owego zabawną puentę. Wszystko to okazało się idealnym treningiem do mojej pracy.

Uwielbiałem wykorzystywać w programie poczucie humoru – różne gagi i śmieszne sztuczki. Dzięki nim czułem, że wnoszę do show coś więcej niż tylko znajomość mody. Im bardziej udało mi się rozbawić nasze panie, tym lepiej wypadał odcinek.

Rozwijałem też swoje umiejętności występów na żywo, kiedy filmowaliśmy sekwencje z wybiegiem dla modelek i mogliśmy liczyć na ponad osiem tysięcy widzów, którzy gotowi byli stać niestrudzenie cały dzień, żeby śledzić show. Chcieliśmy, by publiczność była wesoła i aktywna, biła brawo i okrzykami dodawała paniom odwagi, więc rozgrzewaliśmy ją, zanim zaczynaliśmy filmować. Wychodziłem na scenę i przez jakieś piętnaście minut mówiłem do widzów. Uwielbiałem to! Sypałem dowcipami, flirtowałem, brałem ich trochę pod włos, a oni śmiali się i reagowali entuzjastycznie. To była największa frajda w świecie. Naprawdę uwielbiałem stawać przed żywą widownią i improwizować. Aktor, który jest we mnie, miał wreszcie szansę się ujawnić i odegrać swoją rolę.

* * *

Te umiejętności przydawały mi się też w występach na żywo poza *Nago*. Czy to był wywiad dla Jonathana Rossa w obecności widzów w telewizyjnym studiu, czy prowadzenie ceremonii wręczenia nagród, o co bywałem teraz proszony, praca przed żywą widownią była

tym, w czym czułem się najlepiej.

Pod koniec roku 2007 Maverick wezwał Carol i mnie do biura, by przedstawić nam swój pomysł. Chcieli, żebym rozważył poprowadzenie *Jak dobrze wyglądać nago* na żywo na scenie.

Takie imprezy okazały się w przeszłości wspaniałym sposobem na promowanie programu. Pokazy na żywo *Top Gear* odniosły ogromny sukces, *Taniec z gwiazdami* i *X Factor* też to praktykują. Miałem tremę, bo nigdy czegoś takiego nie robiłem, ale wiedziałem, że nie mogę zmarnować okazji do wypróbowania swoich możliwości i przekonania się, czy sprostim wyzwaniu. Powiedziałem więc: dobrze, do diabła, wchodzę w to.

Zdecydowaliśmy, że weźmiemy pewne elementy z *Nago* i rozwiniemy je w spektakl na żywo. Ostre ocenianie strojów, żeby pokazać, jak eksponować sylwetkę, zmiany fryzury i makijażu, wyjście na wybieg i oczywiście nagość w finale. Byłby też czas na odpowiadanie na żywo na pytania publiczności i tyle humoru, ile zdołam z siebie wykrzesać, stojąc na trzęsących się nogach w buciorach o rozmiarze czterdzieści trzy! Bałem się jak diabli. A jeśli bilety się nie sprzedadzą? A jeśli ludzie zaczną wychodzić, bo się znudzą? A jeśli okażą się nie dość dowcipny, żeby poprowadzić na żywo dwugodzinny show?

Firma producencka postanowiła, że wystawimy show w Glasgow, bo w tym mieście mieli siedzibę i wiedzieli, że publiczność dopisze. Na szczęście bilety się sprzedawały i nim się opamiętałem, nie było już odwrotu.

Przygotowania do występu ruszyły pełną parą. Z nerwów nie spałem, a jeśli już, to miałem koszmary, że wygwizdany uciekam ze sceny. Nie potrafiłem pozbyć się uczucia, że porwałem się z motyką na słońce, ale mój strach przed porażką oznaczał też, że nie byłem gotów się wycofać.

W dniu show ekipa techniczna miała pełną próbę światła i sygnałów dźwiękowych i o ponad dwie godziny przekroczyła swój czas, bo oświetlenie padło. Z każdą minutą coraz bardziej się denerwowałem. Nie obchodziło mnie, czy puszcza na mnie reflektor na scenie, czy nie, chciałem tylko – a raczej potrzebowałem – zrobić parę prób. Ale nie było czasu. Dochodziła szesnasta, a ja ani razu nie przeleciałem wszystkich punktów programu i moje nerwy były w totalnej rozsypce. Carol i moi rodzice starali się mnie wesprzeć, ale nie było sposobu, żeby mnie uspokoić. Wpadłem w kompletny amok.

O siedemnastej mogłem przerzucić scenariusz – przećwiczyłem podstawowe wejścia i wyjścia i gdzie kiedy mam być, ale nie było czasu na pełną próbę.

Zrozpaczony, usiadłem w garderobie, nie mogłem złapać tchu. I nagle pomyślałem, że z czymś takim profesjonalni aktorzy mają stale do czynienia. I co? Bez względu na to, jak bardzo się denerwują i boją, wychodzą i robią, co do nich należy. Improvizują, polegając na swoich wrodzonych zdolnościach. Dobrze wiedzą, że wszystko może się pokręcić, a publiczność często nawet się nie zorientuje. Muszę zmobilizować całe swoje doświadczenie, wszystkie swoje możliwości. Cholera! Czy ja temu podołam?

Przed dziewiętnastą dano mi znać, że mam pół godziny. Stwierdziłem, że to najgorszy dzień w moim życiu. Nie potrafiłem sobie przypomnieć kolejności, co po czym idzie ani co mam mówić, a odsłuch, który mi dali, żebym słyszał wskazówki reżysera, wypadał mi ze spoconego z nerwów ucha.

Za chwilę wyjdę na scenę przed tysiące widzów, którzy zapłacili za przedstawienie,

i padnę trupem!

Stanie za kulisami i popatrywanie w kierunku sali było dla mnie najstraszliwszym przeżyciem. Widownia nabita do ostatniego miejsca, wśród publiczności grupy nabuzowanych kobiet skandujących moje imię. Chciało mi się wymiotować.

Nagle zabrzmiała muzyka czołówki programu i scenę spowił dym. „Głos Boga” przedstawił mnie i zająłem miejsce pośrodku sceny, ukryty za wielkimi, sięgającymi od sufitu do ziemi czerwonymi aksamitnymi kurtynami.

– Panie i panie... Wstańcie, proszę, aby powitać swojego gościa wieczoru... To sułtan stylu, mistrz metamorfozy i wasz najlepszy kumpel... Szykujcie swoje bufory... To Gok Wan!

Publiczność kompletnie oszalała. Krzyki, wrzask, brawa, skandowanie mojego imienia, tak głośne, że aż dudniło mi w płucach. Zastłony poszły w górę, a zza mnie wypłynęło jeszcze trochę więcej dymu. Znalazłem się w punktowym świetle mocnego reflektora. Moja sylwetka wypełniła scenę i dwa ogromne ekrany po bokach. Stałem pośrodku, plecami do widowni, a oni krzyczeli i skandowali moje imię jeszcze głośniej. Serce waliło mi jak młotem, a ręce i nogi drżały z emocji. O czymś takim marzyłem całe życie – znaleźć się na scenie przed publicznością.

Pamiętam, że kiedy wolno się odwróciłem, twarzą do widowni, pomyślałem: jeśli teraz padniesz trupem, to będziesz mieć za swoje, ty głupia cipo!

* * *

Show był... niesamowity! Pierwsza połowa trwała dwadzieścia minut krócej, bo z nerwów gnałem z planem, jakby mnie na konia posadzili, ale wyrównałem czas w trakcie pytań i odpowiedzi. Publiczność cały czas żywo reagowała, śmiała się i płakała we właściwych momentach. Przeobrażenia zakończyły się wielkim triumfem, a podczas finałowej parady wszyscy zerwali się z miejsc. Tańczyli, śpiewali. Kiedy zrobiłem frywolny ministriptiz, ściągnając spodenki spod czarnego skórzanego kiltu, ludzie kompletnie oszaleli. Byli niesamowici, wszyscy co do jednego!

Zajebista frajda!

* * *

Potem przyszło kolejne ważne dla mnie wyzwanie. Dostałem propozycję poprowadzenia na żywo relacji z uroczystej premiery filmu *Seks w wielkim mieście* na Leicester Square. Nie mogłem wprost uwierzyć!

Sam jestem zaprzysięgłym wielbicielem tego serialu. Oglądałem wszystkie odcinki co najmniej ze sto razy i jak wiele kobiet na całym świecie hołduję zasadzie wyznawanej przez jego bohaterki: „Pieprzyć to, chodźmy na zakupy”.

Uwielbiam w tej produkcji wszystko – ubiory, sytuacje i oczywiście solidarność przyjaciółek. Bardzo się cieszyłem, że powierzono mi zaszczyt przedstawienia premiery jednego z najbardziej wyczekiwanych filmów! Dzięki ci Ojcze, Synu i Święty Chanelu!

* * *

W dniu premiery wiele godzin spędziłem na planie zdjęciowym swojego show. Gdy przyjechałem o siedemnastej na Leicester Square, ubrany od stóp do głów w Vivienne Westwood, byłem wyczerpany.

Kiedy tylko położyłem swoją męską torbę, dostałem kartki z kwestiami, scenariusz, wskazówki i podwójne cappuccino. Przed osiemnastą plac zapełnił się do granic wytrzymałości rozhisteryzowanymi fanami *Seksu w wielkim mieście*. Byłem jednym z nich!

Odkryłem, że jestem jedynym prezenterem dopuszczonym na czerwony dywan, na mnie więc spoczywa odpowiedzialność za przeprowadzenie wywiadów ze wszystkimi odtwórcami ważniejszych ról (O mój Boże – OMB – z Sarah Jessicą Parker – SJP!), reżyserem, producentami i wszystkimi świętymi. To było jak wygrany los na loterii.

Kiedy ćwiczyłem sobie otwierającą kwestię, nagle zaświtało mi w głowie, że jeszcze nigdy nie robiłem relacji z takiego wydarzenia. Jak ja sobie z tym poradzę? A jeśli nie przyjdzie mi do głowy, o co pytać dziewczyny? A jeśli mnie nie cierpią? Co będzie, jeśli rzucę się je całować z dubeltówki, a one okażą się skłonne podsunąć tylko jeden policzek? Co będzie, jeśli zapomnę, jak naprawdę ma na imię Sarah, i powiem do niej Carrie? Głowa pękała mi od tych „co będzie”, ale po prostu nie było czasu, żeby się za bardzo zdenerwować.

Podczas takich imprez oczekuje się, że aktorzy postarają się poświęcić jak najwięcej czasu swoim fanom, a jak najmniej dziennikarzom, byle tylko za bardzo ich nie obrazić. A reżyser kazał mi robić, co w ludzkiej mocy, żeby dziewczyny jak najwięcej powiedziały, bo to one przynoszą pieniądze. Jeśli ktoś z ich PR będzie próbował je odciągnąć, mam nie odpuszczać i do ostatniej sekundy zadawać pytania. Będzie tylko jedna szansa nawiązania rozmowy, a ponieważ my jako jedyni robimy relację z premiery na rynek brytyjski, wywiady muszą być koniecznie ciekawe i treściwe. Więc spokojnie!

Wytrącony z równowagi i spanikowany, nagrywałem pierwsze kwestie, ale trudno mi się było skoncentrować i w efekcie moja relacja wyglądała jak wideo aplikacyjne na studia. I właśnie w tym momencie spoza tłumu PR-owców, ochrony, rozhisteryzowanych fanów i zdenerwowanych filmowców dojrzałem to. Jak cudowny zielony rajski ptak z mercedesa o przyciemnionych szybach wynurzył się kapelusz Sarah Jessiki od Philipa Treacy'ego.

Myślałem, że zwymiotuję z nerwów i emocji. Sarah Jessica „Bogini” Parker stała teraz na tym samym czerwonym dywanie co ja i machała do tysięcy krzyczących fanów. Wyglądała fantastycznie w sięgającej kolan kreacji z jedwabnego szyfonu, kloszowej sukience od Alexandra McQueena, a jej kapelusz był bajecznym połączeniem zielonych jedwabnych róż, polnych kwiatów i motyli.

Plac eksplodował. Nigdy nie słyszałem takich wiwatów. Jakby szalał jakiś największy stadion! Sam zacząłem na jej widok szczerzyć zęby i klaskać jak opętana foka, dopóki reżyser nie pokręcił głową, dając mi znak, żebym się opamiętał – ale wstyd!

Kiedy przebijała się przez tłum fotografów i fanów, czekałem karnie przy kamerze na swoją szansę, żeby zrobić z nią wywiad. Im dłużej to trwało, tym bardziej się denerwowałem. Ręce mi się trzęsły z totalnej euforii.

Minęło pół godziny, nim wreszcie Sarah Jessica dotarła w moje okolice. Była drobniutka, ale doskonała w każdym calu. Nie mogłem uwierzyć, że stoję przy Carrie Bradshaw! Chciałem krzyknąć: „Uwielbiam cię!” do jej ładnego uszka, złapać ją i trzymać w objęciach do końca świata, ale domyśliłem się, że gdybym tylko spróbował coś takiego zrobić, ochrona

najpewniej powaliłaby mnie na ziemię i poraziła prądem, aż wyzionąłbym ducha.

Pytania ze ściągawek, które ćwiczyłem od wielu godzin, jakoś wyleciały mi z głowy i jedyne, co mogłem zrobić, to gapić się na nią. Chciałem dotknąć jej ręki, żeby się przekonać, że jest prawdziwa, ale nie śmiałem. To było to! Moja jedyna szansa, aby nie spieprzyć najwspansialszego momentu w mojej dotychczasowej karierze. Sarah uśmiechnęła się do mnie, kamera skierowała się na nią, a mój reżyser wrzasnął:

– Akcja!

Uśmiechałem się tak szeroko, że musiałem wyglądać na przygłupa, ale udało mi się ściągnąć usta na tyle, ażeby zadać pierwsze pytanie.

– Sarah Jessico, kochana, wyglądasz fantastycznie! Od jakiego projektanta jest ta sukienka?

Wywiad potrwał trzy minuty. O co spytałem w drugiej kolejności, nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Bliskość gwiazdy zrobiła na mnie tak piorunujące wrażenie, że byłem jak ogłuszony, słyszałem tylko bicie własnego serca. Zanim ją pociągnęli do fotografów, odwróciła się do mnie, położyła mi dłoń na ramieniu i powiedziała:

– Dzięki, Gok. To był miły wywiad. Mam nadzieję, że film ci się spodoba.

Totalny orgazm! Kocham cię, SJP!

* * *

W ciągu następnej godziny przeprowadziłem wywiady z Kristin, Cynthią, Kim, Michaeliem i kilkorgiem bardzo eleganckich celebrytów. Patricia Field, stylistka z *Seksu w wielkim mieście*, uznała mnie za swój brytyjski ekwiwalent. Vivienne zauważyła, że jestem ubrany od stóp do głów w jej rzeczy. A Davina McCall uściskała mnie tak mocno, że nie wiem, czy nie puściłem bąka. To był naprawdę cudowny wieczór.

Po tamtej nocy zdałem sobie sprawę, że w pracy odnalazłem taką pewność siebie, jaka wydawała mi się nieosiągalna. Może nigdy nie będę najlepszym prezenterem na świecie, ale byłem w kilku trudnych sytuacjach i zdołałem stanąć na wysokości zadania. Wreszcie nabrałem pewności, że temu podołam. Może teraz mógłbym się trochę zrelaksować i pozwolić sobie na odrobinę szczęścia.

„Zeszłej nocy myślałem sobie, kiedy wreszcie spotkania z SJP przestaną być OMB...”

Kiedy zadzwoniła Carol i powiedziała, że w Channel 4 chcą się ze mną spotkać, przypuszczałem, że chodzi o *Nago*. Myślałem, że chcą przetrzepać format i zobaczyć, czy może mam jakieś pomysły, które by się przydały przy wprowadzaniu zmian.

Całkiem zbiło mnie więc z nóg, kiedy zaproponowali, żebym poprowadził inny show: *Czary-mary Goka*. Najpierw pomyślałem sobie: rewelacja! Byłem podekscytowany i ucieszyłem się, że Channel 4 uważa mnie za wystarczająco doświadczonego, żeby prowadzić aż dwa ich programy. Może coś takiego było mi właśnie potrzebne, bo w *Nago* czułem się już zupełnie swobodnie. Bynajmniej się nie nudziłem, ale wiedziałem, że dobrze zrobiłoby mi nowe wyzwanie. Stacja dała mi kilka dni do namysłu, nim przekaże pisemne zlecenie producentowi programu.

Kiedy oswoiłem się z nową perspektywą i radosne emocje nieco opadły, zacząłem rozpatrywać minusy. A jeśli *Czary-mary* nie wypadną tak dobrze jak *Nago*? A jeśli widzowie znienawidzą mnie za to, że rzucam się na kolejny show? A jeśli *Czary-mary* zrobią klapę?

Pomyślałem, że to może za dużo, za szybko. W gruncie rzeczy dopiero co stanąłem na nogi jako prezenter, a *Nago* nadal biło rekordy popularności wśród programów stacji. Po co mi drugi show?

Umówiliśmy się z Carol na lunch i przedyskutowaliśmy za i przeciw. Zaletą było to, że w *Czary-mary* mógłbym pokazać swoje umiejętności stylisty w prawdziwej modzie. I miałbym szansę uniknąć zaszkladkowania jako „Nagi Gok”, a nowy aspekt mojej osobistej marki mógłby otworzyć masę innych możliwości. Ale był też jeden wielki minus. Chcieli, żebym miał osobę współprowadzącą – królową popu Alexę Chung.

Co takiego?!

Sądziłem, że w żaden sposób nie jestem w stanie współgrać z Alexą. Była milion razy młodsza ode mnie, bilion razy ładniejsza i miała trylion razy więcej doświadczenia w występowaniu w studiu – ja byłem przyzwyczajony do prowadzenia programu w terenie. Au!

Ale zatrzymałem swoje obawy dla siebie i zgodziłem się porozmawiać z producentami, żeby dowiedzieć się trochę więcej o nowym show.

Colette Foster opuściła już jakiś czas temu Maverick TV i zajęła się modą dla telewizji w Endemolu, który wyszedł z pomysłem programu *Czary-mary*. Ucieszyłem się, że nad show pracuje Colette. Spotkaliśmy się przy koktajlu. Opowiedziała mi, co planuje dla tej serii.

To miał być program prowadzony w szybkim tempie, prezentujący wszystkie rodzaje mody. Głównym motywem byłoby *The Fashion Face-off*, pojedynki z modą. Miały ze mną konkurować cztery wielkie nazwiska, szykując mały pokaz mody. Numer polega na tym, że ja muszę się ograniczyć do tego, co dostępne w zwyczajnych sklepach, i nie wolno mi wydać więcej niż dwieście funtów na wszystko, co będzie miała na sobie modelka. Natomiast inni spece od

mody nie będą mieli żadnych finansowych barier i będą mogli wybierać z projektów wielkich krawców, ile dusza zapragnie. Na koniec widzowie w studiu zagłosują, który pokaz im się najbardziej spodobał, nie wiedząc, która kolekcja prezentowała wielkie marki, a która to, co powszechnie dostępne w sklepach. Będziemy też przeglądać garderoby celebrytów, wyślą mnie do różnych miast w poszukiwaniu najlepiej ubranej osoby w Wielkiej Brytanii, a Alexa wypróbuje wybrane produkty i sprawdzi, na ile spełniają obietnice z reklam. Do tego wszystkiego wywiad z projektantem. Alexa wybierze się w różne miejsca na świecie, żeby porozmawiać z najsłynniejszymi – odwiedzi Cavallego w jego florenckiej willi, Lagerfelda w legendarnym paryskim biurze przy Rue Cambon. Dlaczego to jej dostaje się, co najlepsze?!

Słuchałem uważnie i wreszcie pomyślałem: czy tobie już całkiem odbiło, Colette?

* * *

Nie mogłem uwierzyć, że ona chce, abym jak równy z równym stanął w szranki z największymi autorytetami biznesowymi mody, które będą mieć nieograniczony budżet i dostęp do najlepszych marek, a ja swoje dwieście funtów i cudowne brytyjskie ulice handlowe. To pieprzone samobójstwo, przyjaciółko!

Wiedziałem, że jestem kompetentnym stylistą. Uwielbiałem brytyjskie sklepy i miałem dość pewności siebie, żeby podjąć wyzwanie, ale format zdawał się stawiać mnie na przegranej pozycji. Jak mógłbym nawet pomyśleć, że dam radę ścigać się z Chanel, Dolce, Halstonem czy Choo? Wielcy krawcy wydają tysiące funtów, żeby dostać najwspanialsze materiały na świecie. Mają najlepszych krojczych, projektantów i najbardziej kreatywnych współpracowników. Podaj mi kubek, czuję się trochę dziwnie!

Martwiłem się też, że publiczność uzna mnie za hipokrytę, bo nie kryłem się z faktem, że mam w szafie pełno ciuchów od znanych projektantów, które zbieram od lat. Uwielbiam je i nie chciałem, by świat mody pomyślał, że ich spuszczam, mówiąc widzom, że nie powinni wydawać ciężko zarobionych pieniędzy na tak wyrefinowane dobra luksusowe.

* * *

Colette przekonywała, że nie będę deprecjonował ubrań od projektantów, ale występował w obronie odzieżowej masówki i podpowiadał widzom, których nie stać na wielkie marki, jak dobrze wyglądać bez konieczności organizowania napadu na bank.

Słuchałem jej argumentów, pomyślałem o tym z tej perspektywy i uznałem, że to ma sens. W *Jak dobrze wyglądać nago* stawaliśmy w obronie prawdziwych kobiet, przekonując je, że jak mają rozmiar osiemnaście, to ani lepiej, ani gorzej, niż gdyby miały ósemkę. W nowym programie robilibyśmy coś podobnego, ale z ubraniami. Przesłanie brzmiało: „Stylowo, bez względu na to, za ile”.

Im więcej o tym myślałem, tym bardziej mnie to wciągało. Wiedziałem, że będę musiał spuścić z tonu, by poukładać sobie relacje zawodowe z Alexą, ale kto wie, może nawet czegoś się przy okazji nauczę. Miałem przecucie, że planowany show to może być coś wielkiego. Postawiłem więc krzyżyk nad wykropkowaną linią w umowie.

* * *

Zacząła się produkcja i wszystko było dla mnie obce. Pracowałem z inną firmą, z całkiem nowym zespołem i byłem prowadzącym nowy show. Znalazłem się na kompletnie nieznanym sobie terenie.

Cykl *The Fashion Face-off* spodobał mi się bardziej, niż mogłem przypuszczać. To była rzeczywiście ciężka praca i wszystko musiałem robić sam, ale miałem prawdziwą frajdę, znów wykorzystując swoje umiejętności. Najważniejsze było odpowiednie przeobrażenie czegoś z masówki. Ukrycie detali, które wyglądają na tanie. Kilka zabiegów nadających bardziej luksusowy charakter. A w końcu dobranie dodatków, które tworzą wyjątkową kreację.

Ukułem powiedzenie „galanteryjny szyk”, żeby opisać, co robię, aranżując stroje. Zdobywałem kwiaty do przypięcia, guziki, tasiemki, szamerunki, lamówki, aplikacje – wszystko, co może dodać blasku na przykład tanim złotym bucikom z New Look. Używałem pasków jako opasek na włosy, spódnic jako sukienek, nakładałem bluzki tył na przód i barwiłem sprayami torebki. Doszywałem paciorki do mokasynów z frędzlami. Tu oderwałem rękawy, tam coś przestębnowałem, dodałem objętości falbaniastą halką, ścisnąłem paskiem. Na każdą okazję – na plażę, na lato, do pracy, wieczorne wyjście na miasto – udawało mi się skomponować tanio strój i nadać mu projektancki sznyt poprzez odpowiednie dodatki i modyfikacje. To była fantastyczna zabawa.

Według wstępnego pomysłu przetwarzanie ubiorów miało się dokonywać poza wizją, ale Colette uwielbiała patrzeć, jak to robię, i zdecydowała, że to będzie wystrzałowe dla widzów. Teraz możliwość śledzenia, jak dokonuje się stylizacyjny cud, jest specjalnością show, choć niewiele brakowało, a program w ogóle nie zostałby wyemitowany.

Firma producencka wyszukała cztery specjalistki od mody, które miały występować przeciwko mnie: Marigay McKee z Harrodsa (gdzie – jak łatwo zgadnąć – nie brak wielkich marek), Erin Mullaney z Brownsa (rzeczywiście, ten jeden z najelegantszych londyńskich butików oferuje kreacje wielu wymarzonych projektantów), Linę Basnę z Selfridgesa (świątyni fashionistów) i Brix Smith-Start z butiku Start. Wszystko, co te panie musiały zrobić, to trochę się rozejrzeć, wybrać najpiękniejsze kreacje od wielkich projektantów, z ich hektarami luksusowych tkanin, wziąć jakieś najwspanialsze buty i horrendalnie drogie torebki, dorzucić trochę biżuterii i *voilà*. Kiedy ja nadal pociłem się nad rozgrzaną do czerwoności igłą i uwijałem się z krochmalem w sprayu, one dzielnie znosiły ciężar swoich louboutinów, popijając dobrze zasłużone martini.

A ja, kiedy już nie zajmowałem się szyciem, ganiałem do celebrytek. W pierwszej serii spotkałem Geri Halliwell, Kelly Osbourne (która przyznała się, że wydała dwadzieścia osiem tysięcy dolarów na kurtkę, której nigdy nie włożyła), Mischę Barton, Dannii Minogue, Lorraine Kelly (moją cudowną telewizyjną mamę – odcinek, w którym polegujemy w jej łóżku, miał fantastyczną oglądalność), Lulu i Jamelię.

Ale najbardziej ekscytujące było dla mnie zetknięcie się z Joan Collins.

Joan jest nieoceniona. Zgodziła się na program, ale musieliśmy polecić ją filmować do Saint-Tropez. Wszystko zostało tak zaaranżowane, że mam spotkać się z nią na mieście i – ponieważ jej garderoba jest daleko w Londynie – pójdziemy razem na zakupy, żeby pokazać w akcji jej fascynację haute couture i najbardziej ekskluzywnymi markami.

Producenci ustalili, że mam na nią czekać przy wielkim zegarze w centrum, a stamtąd ruszymy do bardzo drogich sklepów. Tego dnia Joan pozwoliła sobie na spóźnienie w iście holly-

woodzkim stylu, co nie pomogło moim i tak już nadwerężonym nerwom. Upał nie do wytrzymania, a ja byłem ubrany jak zwykle w czarną kurtkę i spodnie rurki – to zdecydowanie nie jest strój, jaki bym wam polecał do biegania w środku dnia po rozgrzanych brukowanych uliczkach na południu Francji z telewizyjną legendą Alexis Colby!

Wydawało się, że minęły wieki, nim podjechał jakiś sfatygowany busik (może i nawet nieco przypominał nieoznakowaną taksówkę, jaką można zobaczyć gdzieś w Soho w piątek w środku nocy). Okna miały przyciemnione szyby, ale udało mi się przez nie dostrzec największy w świecie biały słomiany kapelusz na czubku mocno zrobionej Joan Collins, która siedziała z tyłu. Otworzyłem drzwi bardzo drżącą ręką. Poczekalem, aż Joan wysiądzie. Potem powitałem ją obowiązkowym cmoknięciem w oba policzki, uważając, żeby nie dotknąć skóry. Schyliła głowę, uniosła ciemne okulary i powiedziała:

– Witaj, kochany, wiedziałam, że będziesz mocniej umalowany ode mnie.

Po tej kwestii odrzuciła włosy i ruszyła dumnie naprzód, a Percy (jej mąż menedżer) za nią.

Popołudnie było cudowne. Zaglądaliśmy do lokalnych butików, gadaliśmy o jej karierze w Hollywood, miłościach i – oczywiście – jej namiętności do mody. Szybko się przede mną otworzyła, a jej opowieści były fascynujące. Wydawało się, że zawsze żyje w świetle reflektorów, emanowały z niej wdzięk, wyrafinowanie, pewność siebie.

Kiedy wałęsaliśmy się uliczkami Saint-Tropez, zaskoczyło mnie, że nikt specjalnie nie zwraca na nią uwagi. Przecież to Joan pieprzona Collins! Miałem ochotę krzyknąć. Jak to możliwe, że nie chcecie autografu ani zdjęcia? Ale ją najwyraźniej traktowano tu jak tutejszą, tak jakby wyskoczyła na chwilę z domu, żeby kupić rolkę papieru toaletowego, zanim przygotowuje lunch dla poczciwego starego Percy'ego, który stale trzymał się jakieś trzy metry za nami i odzywał się tylko na wyraźne polecenie. Bardzo chciałem, żeby ludzie padali z wrażenia na widok robiącej zakupy Joan, ale nic takiego się nie działo. Od czasu do czasu ktoś zawołał: „Salut, Joan!” i jakaś para Brytyjczyków poprosiła ją o zdjęcie, ale to właściwie wszystko. Co za rozczarowanie! Myślę, że moje ego poczuło się bardziej zranione niż jej, bo bardzo chciałem się pochwalić, że jestem nową kumpelą Joan, ale nie miałem szans.

Po jakichś trzech godzinach filmowania poczułem się swobodniej. Joan nie była już niedotykalną boginią z ekranu, jaką sobie w wyobraźni stworzyłem, ale koleżanką z telewizji.

Gadała ze mną, jakbyśmy się znali od zawsze, i w pewnym momencie nawet spojrzała mi naprawdę w oczy. Opowiedzieliśmy sobie parę dowcipów na temat kamery i odnaleźliśmy spokojny, miarowy rytm. Robiłem postępy! Wreszcie doszliśmy do ostatniego sklepu: Roberta Cavallego.

Ekipa była wyczerpana, ja byłem wyczerpany, tylko Joan nie brakowało pary. Reżyserka, Ann Wilson, poleciła mi kończyć wywiad. Była to więc ostatnia szansa, żeby spytać Joan o coś jeszcze na temat jej życia jako ikony stylu. Usiedliśmy w sklepie na bardzo cudacznym fioletowym pufie i przeszliśmy do finału.

– To jak, Joan, dobrze się dziś bawiłaś?

– Tak, kochanie, było cudownie!

– Nauczyłaś się czegoś od swojej cioci Gok?

– Kochany, niczego mnie nie nauczyłaś. A czy ja czegoś cię nauczyłam?

– Tak, Joan, nauczyłaś mnie, jak być gwiazdą dnia, bardzo ci dziękuję!

– Cała przyjemność po mojej stronie, Gok!

Uściskaliśmy się, a Ann krzyknęła: „Cięcie!”.

Joan odwróciła się do mnie.

– Kiedy to pójdzie w BBC?

– Joan, to dla Channel 4. Czy ty w ogóle wiesz, kim jestem? Śmiechu było co niemiara, odjeżdżałem stamtąd jako jeszcze większy wielbiciel Joanie niż przedtem.

* * *

Zacząłem sobie uświadamiać, że jestem naprawdę zmęczony. Nie powstałem chwili w miejscu od czasu, kiedy zacząłem zdjęcia do pierwszej serii *Nago*. Teraz byłem przy czwartym cyklu. Po pierwszej książce pracowałem nad drugą: *How to Dress*. Zaprojektowałem też kolekcję bielizny, lansowałem okulary dla Specsavers i byłem w Australii w trasie promocyjnej. Prowadziłem wręczanie nagród z różnych okazji, kupiłem pierwsze mieszkanie, gościłem we wszystkich programach telewizyjnych w Wielkiej Brytanii, starałem się nadal mieć jakieś życie towarzyskie i pisałem o modzie do dwóch tytułów prasowych.

Byłem naprawdę nieźle skołatany. Chciałem powiedzieć Carol, że czuję presję, ale się bałem. Mogła uznać, że powinienem zwolnić. A nie miałem jak – praca czekała. Im więcej dostawałem zleceń, tym bardziej mnie to rajcowało. Moje uzależnienia od przejadania się, niedojadania i wiecznych starań, żeby wszystkich zadowolić, teraz przekształciły się w uzależnienie od pracy. Dopóki musiałem się stawić o siódmej rano i nie wracałem do domu przed północą, byłem potrzebny. Dawałem z siebie wszystko fizycznie i mentalnie i jeśli czasem czułem, że kompletnie tracę oddech, przynajmniej panowałem nad sytuacją. Ignorowałem krzyki swojego ciała, że jest wyczerpane. Postanowiłem pracować tak ciężko, jak tylko potrafię, żeby skończyć serię, i dopiero wtedy pomówić z Carol o zarezerwowaniu mi odrobiny wolnego czasu.

Zbliżaliśmy się do końca produkcji. Zdołałem przełamać opory i wejść w dobre relacje z Alexą. Muszę powiedzieć, że dużo mnie nauczyła o prowadzeniu show w studiu.

Cykl *The Fashion Face-off* odniósł wielki sukces – wkrótce stał się dla wszystkich ulubioną częścią show i specjalnością programu *Czary-mary* – i to ja wygrałem we wszystkich odcinkach! Wspaniale było pokazać widzom, jak stać się swoim własnym stylistą i nie rujnując się, wyglądać jak milion dolarów. Przy pierwszym odcinku specjalistki od mody wydały po trzysta tysięcy funtów, a ja tylko siedemset pięćdziesiąt. Mimo to wygrałem... Wielka moda na czasy kryzysu, kochanie!

* * *

Produkcja potrwała parę tygodni dłużej, niż planowano, i nadal filmowaliśmy, kiedy wyemitowano pierwszy odcinek. Denerwowałem się, co powiedzą recenzenci.

Następnego dnia rano wszedłem do studia, rzuciłem torby w garderobie i ruszyłem prosto po gazety.

Znowu byłem zdruzgotany. Mieliśmy różne recenzje i większość dziennikarzy wspierających *Nago* zachwyciła się show, ale nie wszyscy. Bez względu na to, ile mieliśmy pozytywnych komentarzy, to te złe jak zwykle utkwiły mi w skórze niby stary zardzewiały gwóźdź. Jeden z krytyków napisał coś w rodzaju: „Czy Gok ma już za sobą swoje pięć minut?”.

Co takiego? Jestem w telewizji dopiero od dwóch lat, a oni już zastanawiają się, czy moja gwiazda gaśnie? Na szczęście wskaźniki oglądalności wypadły zdrowo i nie potwierdzały wątpliwości kilku zadufanych krytyków.

Nie chciałem dopuścić do tego, żeby złe recenzje mnie zdołowały, ale nic na to nie mogłem poradzić. Strasznie trudno było czytać te negatywne opinie. Włożyliśmy tyle ciężkiej pracy w wyprodukowanie ciekawego i pouczającego show łączącego odrobinę ryzyka i odrobinę wiedzy z mnóstwem atrakcji, a nadal nie byliśmy w stanie wszystkich zadowolić. Byłem potwornie zmęczony i przez krótki moment wydawało mi się, że nie warto było się tak szarpać.

Martwiłem się i zaczęło mnie to kompletnie podłamywać, ale porozmawiałem trochę z Carol i rodziną i doszedłem do wniosku, że przecież zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Muszę po prostu pogodzić się z tym, że niektórym spodobają się oba programy, niektórym jeden z nich, a niektórym nie spodoba się żaden.

Ubieranie mamy

Jedyny raz ubierałem kogoś z rodziny, kiedy zaprosiłem mamę i tatę na rozdanie nagród, które prowadziłem. Kilka razy rozmawiałem o tej imprezie z mamą. Mówiła, że nie wie, jak ma się ubrać. Powiedziałem, żeby sobie kupiła coś ode mnie w prezencie, a ja wyślę jej pieniądze.

Kiedy zbliżał się dzień uroczystości, spytałem mamę, czy coś już sobie znalazła, a ona powiedziała, że nie. I wtedy załapałem. Mama chciała, żebym ją ubrał, ale uważała, że nie wypada o to prosić.

W weekend przed rozdaniem nagród skreśliłem wszystkie inne plany i pojechałem do domu w Leicesterze. Zapakowałem mamę i tatę na tylne siedzenie auta i ruszyliśmy do Marksa & Spencera, żeby ubrać mamę Wan.

W sklepie było pełno ludzi. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło, ale wydawało się, że wszyscy czekali na nasze przybycie. Wchodziliśmy do sklepu owacyjnie witani. Szybko prowadząc mamę i tatę przez tłum, wykombinowałem, że najbezpieczniej będzie natychmiast schować się w zaciszu przymierzalni. Chwyciłem naręczkę sukienek i pociągnąłem tam mamę Wan, zostawiając tatę przy garniturach. (Tata uznał, że to nie fair, jeśli mama dostanie coś nowego na tę okazję, a on nie. O, jak bardzo role się odwróciły!).

Kiedy byliśmy już w przymierzalni, okazało się, że mamie potrzebna jest też jakaś modelująca bielizna.

– Zostań tu, a ja polecę po jakieś duże majtki – powiedziałem. – I okryj się trochę, na litość boską!

I zostawiłem ją chichoczącą w przymierzalni. Gnałem po piętrze w poszukiwaniu bielizny, ale kiedy tylko dotarłem do dodatków i torebek, wyskoczyła na mnie jakaś kobieta uzbrojona w telefon komórkowy, długopis i papier. Nim zdążyła poprosić mnie o wspólne zdjęcie, powiedziałem:

– Przykro mi bardzo, ale zostawiłem mamę w przymierzalni w samej kombinacji i muszę jej szybko przynieść większe majtki...

Uśmiechnąłem się i ruszyłem dalej, ale ona złapała mnie za rękę jak zapaśnik.

– Nic mnie to nie obchodzi, chcę zrobić zdjęcie, ty bezczelny draniu! – warknęła.

Nie wierzyłem własnym uszom! Jak ktoś może mówić w ten sposób do zupełnie obcej osoby?

Zatrzymałem się, obróciłem na swoim kubańskim obcasie i spiorunowałem ją wzrokiem.

– Mówiłem ci, że jestem tu z matką, ona jest o wiele ważniejsza niż twoje cholerne zdjęcie. Puszczaj moją rękę!

Kobieta była zaszokowana moją reakcją i najwyraźniej jeszcze bardziej się wkurzyła. Zwolniła uścisk.

– Nie jesteś wcale taki jak w telewizji! – powiedziała. – No, właśnie straciłeś jednego wi-

dza, kochany!

Rzeczywiście, wykonuję zawód publiczny i wiem, że bez widzów nie zrobiłbym kariery. Ale przepraszam – kiedy moja mama stoi w samej bieliźnie w przymierzalni... A jednak coraz trudniej było mi uporać się z tym wszystkim.

Tata wybrał najdroższy garnitur, jaki mógł znaleźć. A mama włożyła duże majtki i cudowną czarną sukienkę koktajlową i wszyscy spędziliśmy mile wieczór. Morał z tej historii jest taki, że mamom potrzeba czegoś więcej niż gatek – one potrzebują lojalnych dzieci, które zawsze będą je stawiać na pierwszym miejscu.

Kochana Mamusiu, jesteś dla mnie przyjacielem. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale to do Ciebie pierwszej się zwracam, kiedy potrzebuję rady. Może nie zawsze się z Tobą zgadzam, ale potrafisz sprawić, że moje problemy gdzieś się rozplývają.

Twój uśmiech to dla mnie najcieplejsze miejsce na świecie i kiedy czasem czuję się samotny, zamykam oczy i go sobie wyobrażam. Przez lata uczyłaś mnie kochać. Nigdy nie spotkałem kogoś, kto miałby do ofiarowania tyle miłości.

Nasza rodzina zawsze była gotowa dać wsparcie każdemu w potrzebie i to Twoja zasługa. Tyle Ci zawdzięczam, bo nauczyłaś mnie, jak być dobrym dla ludzi wokół mnie.

Pamiętasz, jak razem pakowaliśmy choinkę do mojego citroena 2cv parę tygodni przed świętami w przeraźliwym mrozie? Zrolowaliśmy ceratowy dach i położyliśmy prawie dwumetrowe drzewko z tyłu auta. Śmialiśmy się przez całą drogę do domu. Kiedy tylko jest mi smutno, wsłuchuję się w tamten śmiech. Zawsze będziesz centrum mojego świata, bez Ciebie on przestałby się kręcić. Jestem dumny, że jestem Twoim dzieckiem. Dla Ciebie bije moje serce. Kocham Cię bezgranicznie i jeszcze bardziej, i bardziej.

Całuję,
Mały

Kiedy wyemitowano już cały pierwszy cykl *Czarów-marów*, byłem skrajnie wyczerpany. Przez większość dni napędzały mnie nerwy. Mama zaczęła się martwić o moje zdrowie i w naszych codziennych rozmowach telefonicznych stale powtarzała, żebym podchodził do tego wszystkiego z większym spokojem. Radziła, abym poprosił producentów o dzień wolnego, ale tak jak robiłem to w czasach mojej choroby w szkole teatralnej, uspokajałem ją.

– Czuję się świetnie – mówiłem. – Nie martw się, naprawdę, wszystko u mnie w porządku.

Zanim się spostrzegłem, zdjęcia do nowej serii *Jak dobrze wyglądać nago* ruszyły pełną parą, a *Czary-mary* dostały zamówienie na kolejne odcinki. Nie mogłem powiedzieć producentom, że jestem zmęczony. Mogliby pomyśleć, że jestem słaby albo że gwiazdorzę. Uśmiechałem się więc na potęgę i wycinałem hołubce wokół kamery.

W drugiej serii *Czarów-marów Goka* wprowadziliśmy pewne zmiany. Alexa nie była już współprowadzącą. Pojawił się nowy element – włączaliśmy do akcji kogoś z widowni, kto chciał, żeby mu pomóc ocenić własną sylwetkę i co do niej najlepiej pasuje. *Jak dobrze wyglądać nago* poruszało problem braku akceptacji własnego ciała, tożsamości i pewności siebie, pokazywało kobiety przechodzące poważną przemianę emocjonalną. *Czary-mary* bezwstydnie skupiały się na modzie – ubraniach, butach, torebkach, najzgrabniejszych fasonach i najnowszych trendach. Wypracowaliśmy nową mantrę show: „Kupuj mniej, więcej noś”. Pokazywałem, jak robiąc zakupy świadomie i z pewną znajomością własnej sylwetki, można skompletować podstawowy zestaw ubrań złożony z dwudziestu czterech pasujących do siebie wymiennych elementów, który pozwala każdej kobiecie wyglądać elegancko w pracy, na spotkaniach, kawie z koleżankami i wieczorowej gali.

Sposób przedstawiania znanych osób w show też się nieco zmienił. Teraz zabierałem celebrytów uzależnionych od metek wielkich projektantów do zwyczajnych sklepów i pokazy-

wałem im, jak tam robić zakupy. Ubierałem ich na imprezę z czerwonym dywanem i namawiałem, żeby pokazali się w stroju z masówki paparazzim. Na pierwszy ogień poszła Janet Street-Porter, która jest jedną z największych maniaczek wielkich marek, jakie spotkałem – twierdzi, że to przez jej wzrost – ale chwala jej, ubrała się na galę w sugerowaną przeze mnie kreację ze sklepu i karnie dała się w niej sfotografować. Przerzuciłem też garderobę Cilli Black, Lorraine (pojawiała się już po raz drugi), Lyndy Bellingham, Alana Carra, Bena Shepharda i Ruby Wax.

Oczywiście *The Fashion Face-off* zostało w programie. Pojedynki z modą wszystkim się spodobały już w pierwszej serii i stały się specjalnością naszego show. Ale nie szły tak dobrze, jak chcieliśmy. Stawka była zbyt mała. Wychodziłem ze skóry, żeby osiągnąć dobry rezultat, ale panie, które przedstawiały kreacje od wielkich projektantów, nie za bardzo przejmowały się wynikiem, bo każda z fashionistek stylizowała tylko jeden zestaw. Kiedy zrobiły swoje, już się nie pokazywały. Aby wprowadzić nieco więcej współzawodnictwa, zdecydowaliśmy, że będę szedł łeb w łeb tylko z jedną kupującą, Brix Smith-Start, choć zasada będzie ta sama – sieciówkowy budżet dla mnie, a dla niej najlepsi projektanci bez żadnych ograniczeń finansowych.

Czary-mary Goka były wysokooktanową zabawą, wymagały wiele filmowania i mnóstwa pracy, by zagwarantować tempo i ciekawe spojrzenie na modę. Uwielbiałem to robić, ale w końcu byłem stale coraz bardziej i bardziej wyczerpany.

Nie zanosilo się jednak na to, że w najbliższym czasie będę mógł chwilę odpocząć, i powiedziałem sobie, że to byłoby szaleństwo teraz sobie poluzować, kiedy jest więcej pracy niż kiedykolwiek.

Czekały mnie kolejne fascynujące wyzwania, musiałem dać radę. Proste jak drut.

Sygnał ostrzegawczy

W roku 2009 miałem więcej zajęć niż kiedykolwiek. Nie mogłem odpocząć, musiałem zgodnie z umową kontynuować zdjęcia, a kiedy kończyliśmy prace nad jednym programem, od razu braliśmy się do następnego. Podpisałem też umowę z Boots na własną linię kosmetyków, brałem udział w teleturnieju *Celebrity Apprentice* na rzecz Comic Relief, nagrywałem skecz komediowy dla Children in Need, podpisałem kontrakt z Dorothy Perkins – stałem się ich internetowym konsultantem od stylizacji, skończyłem kolejną książkę – *Work Your Wardrobe* – i nadal współpracowałem ze Specsavers. No i była jeszcze moja kolekcja bielizny i inne obowiązki.

W listopadzie zobowiązałem się do kolejnych dwudziestu jeden odcinków *Jak dobrze wyglądać nago* i wkrótce prace ruszyły. Podczas kilku pierwszych tygodni filmowania miałem silne bóle brzucha. Myślałem, że to z nerwów. Zacząłem brać codziennie zantac. Organizm ostrzegał mnie, że potrzebuję przerwy, jednak ja nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Pewnego dnia filmowaliśmy parę godzin, ale wiedziałem, że coś jest nie tak. Brzuch mnie bolał i czułem się bardziej wyczerpany niż zwykle. Po południu skończyliśmy zdjęcia, ale nie miałem siły wyjść ze studia i jechać do domu, choć na zewnątrz czekał na mnie kierowca. Kręciło mi się w głowie, nie mogłem złapać tchu. Wieki trwało, nim się jakoś pozbierałem i poszedłem do auta.

W drodze do domu zaniepokojony Steve, mój szofer, powiedział mi, że kiepsko wyglądam. Byłem blady, a białka oczu wydawały się żółte, podeszły krwią. Kiedy tylko wszedłem do domu, padłem na łóżko – myślałem, że po prostu jestem potwornie zmęczony. Po godzinie snu się obudziłem. Miałem zawroty głowy, było mi niedobrze. Pobiegnąłem do toalety i zwymiotowałem jakieś dwie szklanki ciemnej mazi. Wiedziałem, że to niedobrze, ale pomyślałem, że jak pojedę do szpitala, to mi powiedzą, że pewnie coś zjadłem i niepotrzebnie zajmuję im ich cenny czas. No to powlokłem się z powrotem do łóżka i przekonałem sam siebie, że najlepiej to przespać.

W ciągu godziny jeszcze dwa razy wymiotowałem, za każdym razem wyrzucając z siebie więcej tej czarnej mazi. Zadzwoiłem na telefon porad medycznych i opisałem objawy. Pielęgniarka kazała mi natychmiast jechać na ostry dyżur – podejrzewała krwotok wewnętrzny.

Na szczęście moja współlokatorka Gaynor była w domu. Przyjaźnimy się od wielu lat. Tak naprawdę jest moją najstarszą kumpelką – poznaliśmy się jeszcze w Leicesterze, kiedy oboje studiowaliśmy w Charles Keene College. Nadal mam w oczach widok bujnych włosów Gaynor powiewających w studiu tanecznym, kiedy w podskokach wdarła się w moje życie. Przeprowadziła się do Londynu zwabiona przeze mnie. Obiecywałem jej masę wieczornych wypadów na miasto, szansę zrobienia czegoś więcej ze swoim życiem i – oczywiście – upra-

gnioną nagrodę w postaci opieki nade mną – z czego zawsze wywiązywała się z wielką finezją.

Pojechaliśmy do szpitala, a ja byłem tak zmęczony, że zasnąłem w poczekalni. Obudził mnie ktoś prośbą o autograf. Czysty surrealizm.

Kiedy tylko lekarz mnie obejrzał, od razu przyjęli mnie na oddział. Zrobili mi badania, analizy krwi i okazało się, że mam niebezpiecznie niski poziom hemoglobiny. Diagnoza: skrajne wyczerpanie i dwa wrzody, które spowodowały krwotok do żołądka. Lekceważąc objawy, straciłem mnóstwo krwi. Wzięli mnie na wyższe piętro i jeszcze tego wieczoru dostałem transfuzję. Powiedzieli, że przez pięć dni dopompują mnie krwią jak należy.

W ten sposób trafiłem na dwa tygodnie do szpitala. Podczas pobytu tam dostałem sześć transfuzji krwi i dwie kroplówki z żelazem. Dowiedziałem się, że gdybym dalej bagatelizował problem, mogłoby się to skończyć tragicznie.

Pięć ostatnich lat zrobiło swoje. Od trzech nie schodziłem z wizji i całkiem zwyczajnie mnie jebnęło. Ale sprawa była bardziej poważna – lata nadużywania środków przeczyszczających zniszczyły mi przewód pokarmowy, dlatego dostałem wrzodów. To, co mnie teraz spotkało, to był sygnał ostrzegawczy.

Następnego dnia w szpitalu St Thomas przydzielono mi osobny pokój z własną małą łazienką, co zrobiło na mnie wrażenie, bo nigdy dotąd nie miałem izolatki i muszę przyznać, że to wydało mi się wielkim bajerem. Tak naprawdę czułem się trochę jak na wakacjach w porównaniu z tym wiecznym zasuwaniem w pracy. Przyjaciele przysyłali mi coś do ubrania. Natychmiast wpadła Carol, zapytała, jak się mam i czy coś mi przynieść. Nawet mama i tata pospieszyli do mnie szosą M1 swoim wan-busem uzbrojeni w torby słodczy i miłości.

Pewnego popołudnia, kiedy zostałem podłączony do kolejnej torebki z krwią, leżałem sam w pokoju i czułem się kompletnie zdruzgotany, usłyszałem nagle niesamowicie głośne i ciągnące się w nieskończoność pierdnięcie z pokoju obok. Myślę, że to było najdłuższe i najgłośniejsze pierdnięcie, jakie może wydać z siebie istota ludzka. Kiedy trochę ochłonąłem z wrażenia, rozległo się kolejne – potężne, wstrząsające!

Wygramoliłem się z łóżka z kroplówkami podłączonymi do obu rąk – jedna z solą fizjologiczną, druga z krwią – złapałem stojak i poturlałem się z nim do sąsiedniego pokoju, żeby nagadać temu komuś, ktokolwiek to jest. A tam, za ścianą, zastałem sir Michaela cholernego Gambona.

– Dumbledorze, ty łotrze! – powiedziałem.

Sir Michael i ja spędziliśmy razem dwa tygodnie i ubawiliśmy się jak nigdy w życiu. Był niesamowicie dowcipnym, wspaniałym kompanem. Przychodził do mojego pokoju i razem słuchaliśmy Radia Classic FM, potem wychodziliśmy i paliliśmy fajki na dachu. Tak naprawdę nie było nam wolno, ale jakoś zagadywaliśmy pielęgniarki, żeby nas wypuściły, i stawaliśmy tam sobie w piżamach, z wenflonami w rękach. Tak jakbyśmy mieli wakacyjny romans w szpitalu.

Stopniowo zaczynałem czuć się lepiej i życie było dość przyjemne. Stale odwiedzały mnie najbardziej ukochane osoby. Moja linia kosmetyków właśnie wchodziła do sprzedaży i przysyłali mi je do wypróbowania. Dostałem tyle kwiatów, że bawiłem się w robienie kotylionów i wianków dla wszystkich pielęgniarek, dekorowałem im czepki i fartuchy.

Po dwóch tygodniach rekonwalescencji w szpitalu wróciłem do domu w o wiele lepszej

formie. To, co się stało, uświadomiło mi, że muszę się trochę uspokoić. Powiedziałem sobie, że już nigdy nie będę tak ciężko pracować bez chwili odpoczynku. Co by to wszystko było warte, gdybym umarł? Jak dobrze wyglądać na marach?

Nagrywanie programu z Kelly Chamberlain miało odmienić moje życie. Od pozostałych dziewczyn różniła się tym, że przeszła mastektomię.

Kiedy po raz pierwszy przedstawili mi tę propozycję, intuicja podpowiadała mi, aby powiedzieć „nie”. Czułem, że przekraczamy wszelkie granice, wchodzimy na teren, gdzie nikt nie ma prawa się zapuszczać. *Jak dobrze wyglądać nago* to nie religia – powiedziałem – i nie uleczy raka. W show mieliśmy do czynienia z typowymi mankamentami figury, ale żeby wprowadzać do programu kogoś, kto jest okaleczony przez potworną chorobę... no, wydawało się, że nie wolno się porywać na coś takiego i mierzyć się z tak poważnym problemem.

Po wielu dyskusjach producenci jednak mnie przekonali. Zgodziłem się, pod warunkiem że będziemy filmować etapami, a jeżeli kiedykolwiek poczuję, że nie pasuje mi to, co robimy, będę mógł przerwać.

Miałem spore obawy. Nie znałem bliżej nikogo, kto miał raka piersi czy mastektomię, choć brałem udział w akcji charytatywnej pewnego czasopisma i robiłem wywiad z kobietą, która mówiła, że trudno jej kupić ubranie i stanik po amputacji piersi. Powiedziała mi, że niełatwo coś wkładać czy zdejmować, bo nie jest się w stanie podnieść rąk, tłumaczyła, jakie materiały nie podrażniają skóry, i rozmawialiśmy o tym, jak motać na głowie turban, by ukryć najbardziej oczywisty efekt uboczny leczenia raka – utratę włosów. Miałem więc odrobinę doświadczenia, ale nic, co mogłoby mnie przygotować do pracy nad godzinnym odcinkiem.

Kelly załamała się po operacji, nie uważała się już za kobietą i piękną i wstrzymała wszelkie plany założenia rodziny.

Kiedy ją poznałem, zdałem sobie sprawę, że, owszem, ma różne problemy – nie mógłbym udawać, że utrata piersi i wyraźne blizny po naświetlaniach to nic takiego – ale jak każdy reaguje na pochwały i słowa zachęty. W naszym programie spotkała kobiety, które przeszły to samo co ona i sobie poradziły. Nauczyła się ubierać swoje odmienione ciało i w miarę postępów w naszym programie rozkwitała.

Pod koniec wyglądała przepięknie, odzyskała pewność siebie i była gotowa stać się śliczną panną młodą. Dla mnie to było objawienie. Dowód, ile może znaczyć ten program. To było bezpieczne miejsce, gdzie kobiety mogły znaleźć poczucie wspólnoty niezależnie od tego, czy cierpią z powodu raka piersi czy nienawiści do własnego ciała. Po raz pierwszy weszliśmy na grunt, którego nie ważył się jeszcze tknąć żaden inny program, i okazało się to inspirujące. Wywarło to też ogromne wrażenie na widzach. Wiele dobrego wynikło z tego show. Nagle zaczęły nas cytować organizacje charytatywne zajmujące się chorymi na raka piersi, a Kelly została poproszona o pozowanie jako modelka dla jednej z firm produkujących biustonosze. Ja też dzięki temu, że pracowałem nad tym programem, odnalazłem w sobie znacznie więcej pewności siebie.

Producenci poszli dalej, wysunęli pomysł na rozszerzenie programu. Mieliśmy popracować z paniami dotkniętymi kalectwem. Wybrali Clare po amputacji, Tracy, która była na wózku, i niewidomą Di. Zareagowałem tak samo jak przy Kelly. Nie ma mowy. Powiedziałem, że nie mogę tego zrobić. Nie chcę udawać cudotwórcy – nie jestem w stanie uleczyć tych pań. Nie dam rady nic zmienić ani sprawić, że ich niepełnosprawność zniknie, i niewątpliwie wielką arogancją z mojej strony byłoby zachowywanie się tak, jakby to było możliwe.

I znów jednak producenci mnie namówili. Pod takim samym warunkiem. Gdybym czuł, że pomysł się nie sprawdza, w każdej chwili mogliśmy przerwać.

Bardzo starannie się przygotowałem, ale to wszystko było dla mnie niezwykle stresujące i strasznie się martwiłem. Tak naprawdę to właśnie w dniu, w którym filmowaliśmy sceny przed lustrem z Clare i Tracy, trafiłem chory do szpitala.

Gdy mnie podleczyli i wypisali, od razu przeszliśmy do kręcenia reszty odcinków. To było coś niesamowitego. Okazało się, że to najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjąłem. Od nowa zakochałem się w naszym programie.

Szczególnie silny wpływ wywarł na mnie odcinek z Di. Wydawało się, że to największe wyzwanie, i przyznaję, że się bałem – nie wiedziałem, jak to jest być niewidomym albo żyć w ciemności.

Kiedy kręciliśmy ujęcie przy lustrach, ogarnęła mnie panika. Nigdy jeszcze nie próbowałem pomóc nikomu, kto sam nie widzi, jak wygląda. Di miała pięćdziesiąt cztery lata, wzrok straciła w młodości, więc znała kolory, ale po raz ostatni widziała desenie, materiały i odcienie w latach siedemdziesiątych. Nie miała pojęcia o swoim obecnym wyglądzie, mówiła, że czuje się jak uwięziona w pudełku.

Gdy się rozkleiła, zaczęła płakać i opowiadała mi, jakie to dla niej okropne, objąłem ją i przytuliłem do siebie. Byłem strasznie zdenerwowany, ale starałem się opanować i zdołałem powiedzieć:

– Może zamiast naiwnie myśleć, że mogę być twoimi oczami, i mówić ci: „O, w tym wyglądasz świetnie”, spróbujemy razem zrobić coś takiego, abyś to ty sama mogła na siebie w pewien sposób popatrzeć?

– To byłoby fantastyczne – przyznała Di.

Wiedziałem, że jakoś udało mi się znaleźć właściwe podejście, choć nadal nie byłem pewien, czy może się nam to udać. Zaprojektowałem dla Di „biblię stylu” w oparciu o typ jej sylwetki. Pozwoliło to jej wyczuwać fasony i decydować, co może na niej dobrze leżeć. Na okładce był wypukły wizerunek jej figury, a kiedy Di otwierała kolejne strony albumu, mogła wyjmować z niego poprzyczepiane tam magnesami wycięte fasony żakietów, bluzek, sukienek i spódnic najbardziej pasujących do jej budowy i przykładać je do sylwetki na okładce, żeby wyczuć, jak się w nich prezentuje. Mnóstwo próbek faktur i kolorów (dla przyjaciół, którzy chodzą z nią na zakupy) miało pomóc jej przypomnieć sobie, czego się nauczyła w czasie odbytej wspólnie z nami podróży.

Całe to doświadczenie pomogło jej odzyskać nieco wiary w siebie i jeszcze raz poczułem, jak ważne jest to, co robimy. To było ogromnie poruszające patrzeć, jak Di odzyskuje coś, co wydawało się jej już nieosiągalne. W pewien sposób znów mogła widzieć – nie w sensie kon-

wencjonalnym, ale mentalnie. Mogła wyobrazić sobie kolory i kształty.

Show z Di był bardziej ascetyczny od innych. Obyło się bez głośnych efektów dźwiękowych, poświstów, ukłonów, dzwonek. Wszyscy razem z nią odbywali tę podróż i w niektórych momentach uzmysławiali sobie nagle, jak to jest być niewidomym. A dla Di oznaczało to, że przez krótką chwilę odczuwają razem z nią tę ciemność, w jakiej ona żyje. Myślę, że właśnie to miało dla niej największe znaczenie.

Te programy całkiem odmieniły mój świat. Były czymś niesamowitym. Kiedy skończyłem nad nimi pracować, pomyślałem, że *Jak dobrze wyglądać nago* stało się już instytucją, dowiodło, że nie jest tylko formatem rozrywkowym, ale programem z misją. Słyszałem, że Królewski Krajowy Instytut Niewidomych wykorzystuje odcinek z Di do celów szkoleniowych i że księga stylu jest wprowadzana jako jedna z pomocy dla niewidomych.

To dla mnie wielki zaszczyt, że mogłem pracować nad tymi programami, a oddźwięk ze strony społeczności niepełnosprawnych był niewyobrażalny. Zostaliśmy zasypani podziękowaniami. Nie zdawałem sobie sprawy, że w Wielkiej Brytanii są dwa miliony ludzi na wózkach inwalidzkich, a nie mają widocznej reprezentacji poza znacznikiem dla niepełnosprawnych na toaletach. Naszą Shannon na wózku wprowadziliśmy do reklamy domów towarowych Debenhams – to pierwszy taki przypadek w historii.

Jak dobrze wyglądać nago przeszło długą drogę. Stało się programem, który bierze na warsztat sytuacje ekstremalne. Wiele osiągnął – mówiono o nim w parlamencie, prowadził kampanię na rzecz modelek o bardziej obfitych kształtach i wprowadzenia w szkole lekcji akceptacji własnego ciała (Ed Balls, ówczesny minister do spraw dzieci, szkół i rodzin, zgodził się z tym wnioskiem, ale zobaczymy, co przyniosą przyszłość i nowe rządy). Nasz program ewoluował przy wsparciu publiczności, która chciała, żeby robił więcej, żeby się zmieniał i zaskakiwał.

A przede wszystkim *Jak dobrze wyglądać nago* obejmuje coraz szersze kręgi – ludzi noszących większe rozmiary, niepełnosprawnych, starych, przestraszonych, niepewnych siebie i samotnych – i wszyscy razem możemy czuć się częścią czegoś pozytywnego. Stanowimy jedność. To niezwykle mądry i ważny show. Mam wielkie szczęście, że i ja biorę w nim udział.

Gdybym nigdy się nie głodził, nie przeżywał udręki osamotnienia, nie nienawidził własnego ciała, to nie mógłbym tak dobrze rozumieć tych, którzy zgadzają się opowiedzieć nam swoje historie. *Nago* sprawia, że czujemy się mniej wyobcowani, i nie przychodzi mi do głowy żaden inny program, który to robi w podobny sposób. Bardzo wiele mu zawdzięczam. Coś więcej niż pracę, sławę czy trochę kasy. *Nago* pomogło mi zmierzyć się z moimi własnymi demonami. Jestem przekonany, że jeśli trzymam na wodzy chorobliwe podejście do swojego ciała, to dzięki sile, jaką daje przesłanie programu.

Porządna ryba z frytkami

Składniki

*numer telefonu do baru mamy i taty
6 puszek piwa
pudło listów od rodziny*

Sposób przygotowania

Zadzwoń do mamy i taty i powiedz, że jesteś przy stacji na zjeździe do Watford i będziesz w domu za pół godziny. Poproś, żeby grzali garnki z oliwą. Dojedź te 30 kilometrów. Pod domem zaparkuj, zostaw bagaże w aucie i nie zwracaj sobie nimi na razie głowy. Wejdź do domu, zrzuć buty. Poczekaj, aż mama, uzbrojona w wielki uśmiech i niedźwiedzi uścisk, przyniesie rybę i frytki. Delektuj się słonymi frytkami i chrupką rybą, aż ci się zrobi niedobrze. Połóż się na kanapie. Otwórz puszkę piwa i starannie przejrzyj wszystkie cudowne listy, jakie przez lata przysyłała ci rodzina. Ciesz się chwilą. Raduj się. Poczuj, że jesteś syty i kochany.

W roku 2008 pracowałem nad filmem dokumentalnym *Too Fat, Too Young*. Spotykałem się w nim z młodymi ludźmi zmagającymi się z otyłością. Robiłem też wycieczki we własną przeszłość. Odwiedziłem osiedle Beaumont Leys, Babington Community College, a nawet Charles Keene College, gdzie obejrzałem nagranie wideo. Widać mnie na nim. Wielgachna, trudna do przeoczenia postać skacząca po scenie.

Było to zarówno ogromnie bolesne – bardziej, niż się spodziewałem – jak i pozytywne doświadczenie. Sprawilo, że zdałem sobie sprawę, jak bardzo moja przeszłość wpłynęła na to, kim jestem i jaki odniosłem sukces. W dzieciństwie zetknąłem się z najokrutniejszym traktowaniem ze strony rówieśników. Złośliwe szeptki raniły dotkliwiej, niż gdyby mnie ktoś publicznie upokorzył. Na skryte kiksańce i uszczypliwości trudno się było poskarżyć.

Prawda jest taka, że tamten zagubiony, nic nieznaczący chłopak nigdy mnie nie opuści. Jestem pewien, że kiedy moi prześladowcy pastwili się nade mną i mnie przezywali, nie mieli pojęcia, że to zostanie we mnie na zawsze. Kiedy przez nich płakałem, czułem się samotny i niekochany, nie zastanawiali się, jak bardzo mnie krzywdzą. Ale teraz im dziękuję. Bez ich drwin i nienawiści nie byłbym tym, kim jestem.

Do dziś cechuje mnie bolesna nadwrażliwość na krytykę i kpiny, choć nauczyłem się je znosić. Nadal z niepokojem patrzę, czy nie ma gdzieś w pobliżu agresywnej bandy, i nie lubię wypuszczać się w miasto w pojedynkę. Nadal martwię się, że ktoś może mnie nie lubić. Pewnie wyda się to idiotyczne, ale czasami, nawet teraz, trudno mi uwierzyć, że odniosłem sukces, choć tyle na to wskazuje. Kiedy oglądam telewizję lub słucham radia i ktoś wspomni o Goku Wanie, mam wrażenie, że to ktoś nieprawdziwy. Tak jakby mówili o fikcyjnej postaci, kreacji telewizyjnej.

Ja nie jestem tylko tą osobą – mam nadzieję, że jestem kimś więcej. Myślę, że tamten jest świetny, jestem bardzo dumny z niego i jego osiągnięć. Ale poza ekranem ja to tylko ja – zwykajny chłopak, który ma przyjaciół, chodzi na zakupy, imprezy, jada i pije czasem troszkę za dużo. No, ale dajcie spokój, pochodzę z marnej dzielnicy, popijałem jabcoka na huśtawkach jako piętnastolatek! Może niektórzy nie uwierzą, ale lubię oglądać przy piwku piłkę nożną, tak samo jak uwielbiam biegać po sklepach ze swoimi dziewczynami. Nie potrafię być inny, niż jestem.

Czasami wydaje mi się, że cała ta sława i szum wokół mnie to coś pożyczonego. To nie jest naprawdę moje. I pewnego dnia może zniknąć. Jeśli tak się stanie, i tak będę dumny z tego, jak daleko zaszedłem i ile zrobiłem. Dobrze wiem, że łatwo mogłem skończyć na dnie i przespać swoje życie, ale dawno temu postanowiłem, że chcę czegoś więcej i nie pozwolę, aby ono przeciekało mi przez palce.

Nigdy nie upierałem się, że muszę być sławny. Chciałem zostać aktorem, żeby się schować i być kimkolwiek, byle nie sobą. Wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem, to poczuć się do-

brze we własnej skórze i pogodzić się z samym sobą. Myślę, że jestem już blisko tego. Zaakceptowałem, że moje poranione, nadwrażliwe, udręczone kpunami ja zawsze będzie we mnie obecne obok tego pewnego siebie, odnoszącego sukcesy – i chyba dobrze mi z tym. Na pewno bez tych dwóch elementów nie byłbym tak niezły w tym, co robię.

* * *

Ci, którzy znają moją przeszłość, zawsze chcą się dowiedzieć, jak to się stało, że obecnie jestem chudy. Teraz wiecie, że osiągnąłem to w jeden z najgorszych możliwych sposobów. Nie wstydzę się, że się głodziłem, bo nauczyłem się radzić sobie z tym, czego żałuję. Ale nigdy nie daruję sobie, że zraniłem swoich bliskich.

Czy jestem wyleczony? Nie mam pewności. Pod wieloma względami czuję się lepiej. Zaakceptowałem swoje skomplikowane relacje z jedzeniem i nauczyłem się z nimi żyć. Ale anoreksja jest podstępna. Nigdy nie przechodzi na zawsze i w tych latach odwiedzała mnie wiele razy, kiedy tylko byłem zdołowany, miałem poczucie, że tracę kontrolę nad swoim życiem, pewność siebie i że ponoszę porażkę. Za każdym razem zdołałem zwalczyć chorobę, ale ona zawsze czeka przyczajona, gotowa rzucić się na mnie i znów mną zawładnąć.

Czasami, tuż przed snem, przemyka mi przez myśl, że... jutro przejdę na swoją dietę, i to jest sygnał ostrzegawczy. Przypomina, że muszę być czujny. Prawda jest taka, że mam już za sobą wiele wygranych potyczek, ale wojna jeszcze się nie skończyła. I nie wiem, czy kiedykolwiek to nastąpi. Ale dzięki sile, jaką odnajdywałem przez te lata, teraz jestem w stanie walczyć.

Wszystko, co dotyczy jedzenia i wagi, jest dla mnie trudne, bo ja sam dokonałem fizycznej przemiany, a proszę kobiety, żeby zaakceptowały siebie takimi, jakie są. Zawsze będę zmagał się z faktem, że to sprzeczność. Ale niezależnie od tego, jakie sam miałem problemy, głęboko wierzę, że trzeba przyjąć do wiadomości, kim się jest jako człowiek. Nie ma co się odchudzać tylko dlatego, że zajrzało się do jakiegoś magazynu i zobaczyło kobietę wymalowaną, wyretuszowaną, wychudzoną i wypuszczoną na wybieg. I ja to wiem, bo byłem po obu stronach barykady. Nie ma sensu zrzucać wagi i uzależniać się od siłowni, jeśli się nie rozumie, kim się jest. W ten sposób nigdy nie osiągnie się szczęścia. Najważniejsze to zaakceptować, kim i jakim się jest, i postanowić wykorzystać w pełni cały swój potencjał. Szczerze w to wierzę.

Dziś odnalazłem swoje mocne strony, wiem, w czym jestem dobry, mam więcej wiary w siebie i powoli staję się osobą, jaką zawsze chciałem być. Mam satysfakcjonujące relacje z ludźmi, a dawniej tak nie było. Ostatnia dekada to dla mnie niesamowity czas i nie dałbym sobie rady bez źródeł, z których mogę czerpać energię. Najwięcej zawdzięczam przyjaciołom. Oczywiście teraz jestem zapraszany na szumne imprezy, balangi celebrytów, ale nadal jestem facetem, który lubi powłóczyć się ze swoimi przyjaciółmi i nie potrafiłbym żyć bez ich miłości i wsparcia (wiecie, że to o Was mówię). Wieczorne drinki nad Tamizą, gadanie godzinami i jedzenie zakąsek chińskich w Soho to kilka rzeczy, dla których żyję. Dziękuję Wam.

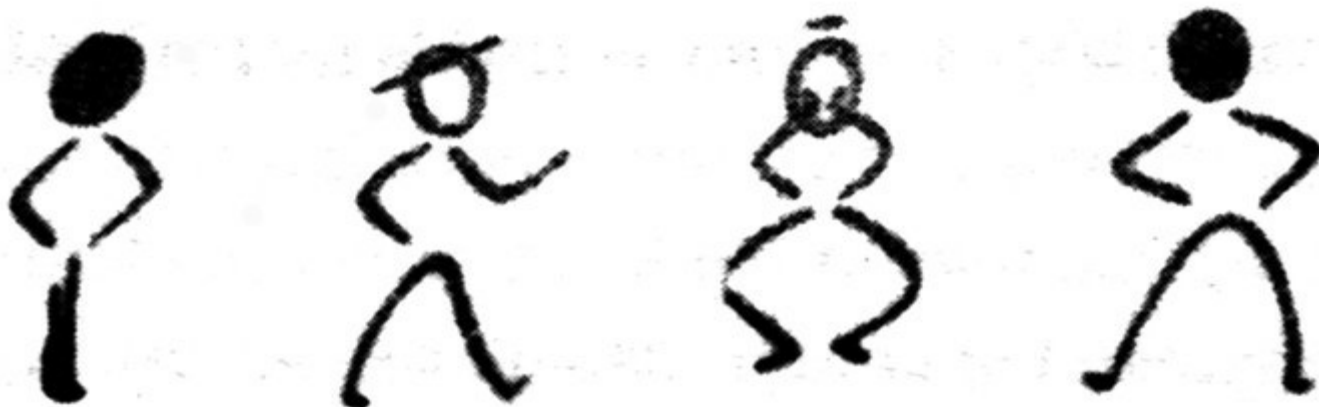
Mam teraz trzydzieści pięć lat i przyjaciół na całe życie, których zawsze będę kochać, szanować, na których mogę polegać i – co najważniejsze – którym mogę zaufać. Jesteście moimi oczami, gdy mnie coś zaślepi, i moją wrażliwością, kiedy tracę czucie. Dziękuję, że pozwoliliście mi stać się osobą, którą jestem.

Kolejnym źródłem siły jest dla mnie oczywiście moja agentka Carol. Mógłbym przez wiele rozdziałów rozpisywać się, ile jej zawdzięczam, ale to by się jej nie spodobało. Carol od dziesięciu lat wspaniale się mną zajmuje. Jest moim obrońcą, moim osobistym rottweilerem, moim aniołem stróżem. Czuwa nad moją karierą, negocjuje umowy, trzyma media na dystans i zawsze ma na mnie oko. Jest pierwszą osobą, z jaką rozmawiam, kiedy wpadam w panikę w związku z pracą; zawsze nad wszystkim się ze mną zastanowi i wszystko wyjaśni. Bardzo dobrze mnie zna. Ufam jej bezgranicznie. Mówię z nią o wszystkim, stale się kłócimy, ale ona zawsze mnie przekona, bo wiem, że naprawdę się o mnie troszczy, i bardzo szanuję jej zdanie.

Chciałbym tylko wiedzieć, dokąd teraz zmierzamy w tej naszej niesamowitej podróży! Tra-la-la!

* * *

I tu przejdę do największego źródła mojej siły – ukochanej rodziny. Kiedyś na urlopie w Singapurze tak bardzo za nią tęskniłem, że kazałem sobie wytatuować na wewnętrznej stronie przedramienia cztery małe sylwetki; każda wyraża jedną z cech ich charakteru. W jakiś dziwny sposób dzięki temu zawsze mogę czuć się młody.



Z prawej strony jest Kwok-Lyn, mój niesamowity brat, który ma podobne do mojego poczucie humoru, akceptuje mnie takim, jakim jestem, i jest moim najstarszym przyjacielem. To moja bezpieczna przystań. Wiem, że życie dopiero się zaczęło, ale nie lękam się, czego może ode mnie wymagać, bo wiem, że Kwok-Lyn zawsze będzie mnie osłaniał, gdybym się bał. Jestem bardzo dumny z tego, co osiągnął, i uwielbiam jego rodzinę – Lisę i ich piękne córeczki. W moim rodzinnym tatuażu zarezerwowałem miejsce dla bratanic: Mai i Loli, czeka, aż trochę podrosną.

Obok Kwok-Lyna jest Oilen, moja siostra... no, moja miłość do niej jest czasem porażająca. Ogromnie liczę się z jej zdaniem. W roku 2008 „The Times” poprosił Oilen i mnie o wypowiedzi do rubryki *Pokrewne wartości*. Po długich naradach się zgodziliśmy. Dziennikarz pytał o dorastanie w naszej dzielnicy, o wszystko, co się wiąże z mieszanym pochodzeniem, tuszą i – oczywiście – tym, że jestem gejem. Dziwnie było słuchać, jak Oilen o mnie mówi, ale jednocześnie okazało się to szalenie wzruszające. Powiedziała, że jestem dobry, troskliwy i że bardzo się martwiła, kiedy przechodziłem najgorszy dla siebie okres.

– Gok jest jak kropelka kleju – stwierdziła. – To takie fizyczne spoiwo, które nas wszyst-

kich łączy.

Czułem się tak, jakbym na takie słowa czekał całe życie. Jestem dumny z Oilen, jej pracy, inteligencji, hartu ducha, i szczęśliwy, że jestem jej młodszym bratem. Wiąż pomiędzy nami to coś wyjątkowego.

* * *

No i są tu moi rodzice. Tata po lewej stronie, a mama po prawej. Pisząc tę książkę, przypomniałem sobie, przez co wszyscy razem przeszliśmy i jak wiele im zawdzięczam. Mama jest najbardziej wyrozumiałą istotą na świecie. Nigdy nie powie, że nie masz racji, jej drzwi zawsze stoją otworem, a ona wysłucha i doradzi, ale tylko wtedy, jeśli się tego chce. Jeśli nie, to po prostu słucha. Według mnie ma talent do kochania. Stanowi centrum mojego świata.

To, że mogę jakkolwiek odwdziaczyć się rodzicom, dużo dla mnie znaczy. Tata ma już prawie siedemdziesiąt lat, a i on, i mama nadal pracowali sześć dni w tygodniu w barze. W końcu udało mi się im pomóc – spłaciłem ich dług hipoteczny, więc wreszcie mogą przejść na emeryturę. Nadal są w sobie bardzo zakochani i potrafią być szczęśliwi tylko wtedy, kiedy są razem. Czas, żeby bez przeszkód nacieszyli się swoją miłością.

Cokolwiek mam – wszystko – zawdzięczam rodzicom, mojej rodzinie, ich wsparciu. Byli ze mną w latach tłustych i chudych. Jestem szczęśliwy, że mogę być dla nich wsparciem po tym wszystkim, co dla mnie zrobili.

Kochany Tatusiu, nigdy nie myślałem, że pewnego dnia to Tobie będzie mi najtrudniej powiedzieć „kocham cię”. I nie dlatego, żebym kochał Cię choć odrobinę mniej niż wtedy, kiedy byłem zdany na Ciebie jako dziecko. Pewnie boję się po prostu, że nie będziesz słuchał. Ty i ja to jedno. Myślę, zachowuję się, krzyczę i śmieję się jak Ty. Wiem, że pewnego dnia będę miał tak samo bezzębny uśmiech jak Ty. Zawsze mówiłeś o mnie „Mały” i to mnie chroniło. Kiedy jest mi ciężko i czuję, że tracę panowanie nad swoim życiem, wiem, że mam gdzie się schronić i mogę zostawić za sobą stres. Ta przystań to Twoje serce. Dziękuję Ci. Zawsze będę pamiętał, jak zbierałem z Tobą jeżyny na wycieczce. Nie miało znaczenia, że mieszkaliśmy na osiedlu komunalnym. Umiąłeś mi zapewnić bezpieczne miejsce do zabawy. Tatusiu, wiem, że trudno Ci było znaleźć czas dla rodziny, bo restauracja potrzebowała Cię tak samo jak my, ale chcę, żebyś wiedział, że to było w porządku. Robiłeś co trzeba, żeby nas utrzymać, dzięki Twojej ciężkiej pracy nigdy nam niczego nie brakowało. Tęskniłem za Tobą, ale rozumiem. Czułe wspominam, jak kopiesz piłkę tak wysoko do nieba, jakby miała zniknąć między chmurami. W moich oczach mój Tata jest najlepszym piłkarzem na świecie. Pamiętam, jak chodziłem z Tobą do pracy, kiedy miałem sześć lat, ubrany w swój smoking, z włosami szeszanymi na bok i ulizanymi nabieraną na dłoń Twoją brylantyną. Byłem zachwycony, że wyglądam jak Ty. Jest coś, czego Ci nigdy nie powiedziałem. Kiedy byłem mały, siedłem czasami do pokoju Twojego i mamy, zamykałem drzwi i otwierałem pudełko z kosztownościami. Siadałem na stolku naprzeciw wielkiego okrągłego lustra, wkładałem

Twoje pierścienie i udawałem, że jestem Tobą. Patrzyłem na swoje odbicie, unosiłem dłonie do twarzy i wyobrażałem sobie siebie takiego jak Ty, kiedy dorosnę. To było najbezpieczniejsze miejsce na ziemi. Wiem, że nie byłem idealnym synem i że czasem patrzyłeś na moje życie i martwiły Cię moje decyzje, ale chcę Ci podziękować za to, że zawsze pozwalałeś mi popełniać moje własne błędy. To Twoje wsparcie sprawia, że jesteś najlepszym Tatą na świecie. Tatusiu, zawsze będziesz moim bohaterem.

Kocham Cię.

Podziękowania

Przede wszystkim ogromne podziękowania dla mojej rodziny... bez Was nie miałbym żadnej historii do opowiedzenia. To, że zawsze służyliście mi wsparciem i radą, pozwoliło mi odnaleźć życiową drogę, z której jestem dumny i której nie chciałbym już zmienić. Jesteście dla mnie wszystkim. Moją pierwszą myślą z rana i ostatnią wieczorem. Nie mógłbym bez Was istnieć, a ta książka potwierdza, jak wiele dla mnie znaczą. Będę Was kochać zawsze i jeszcze dłużej, i jeszcze o wiele dłużej. Dziękuję Wam.

Moi przyjaciele... Uważam naszą przyjaźń za nasz największy sukces. Nie miałbym dziś tego wszystkiego, gdyby nie każdy z Was. Godzinami imprezowaliśmy, śmialiśmy się całymi dniami, kochaliśmy latami i wiem, że pozostaniemy przyjaciółmi na zawsze. Dziękuję Wam.

Carol... co mogę powiedzieć? Kto by pomyślał, że zajdziemy aż tak daleko? Okazywałaś mi bezwarunkową przyjaźń i wsparcie. Dziękuję Bogu, że Ciebie znalazłem. Może to było przeznaczenie... może to było nam pisane... Cokolwiek nas do siebie zbliżyło, jestem za to wdzięczny, moja słodka! Dziękuję Ci.

Sue Murphy i cały Channel 4... Dziękuję, że wierzyliście we mnie, kiedy ja sam jeszcze nie wierzyłem. Wasze podejście i opieka sprawiły, że stałem się pewny siebie i szczęśliwy jak nigdy dotąd. Znalazłem u Was dom i miejsce, gdzie jestem w zgodzie ze sobą. Dziękuję.

Ebury... Jak wiecie, nie byłem pewien, czy kiedykolwiek dojrnę do tego miejsca. Kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy, wątpiłem, czy starczy mi odwagi i umiejętności do napisania tej książki. I czy w ogóle mam coś do opowiedzenia. Dziękuję, że mnie przekonaliście. To była wspaniała podróż, w której odkrywałem samego siebie. Pomogła mi uporać się z wieloma z moich demonów. Dziękuję Wam.

Kirsty... no... dziękuję Ci. To wszystko byłoby niemożliwe, gdyby nie Twoje zaangażowanie. Wiem, że czułaś mój ból i płakałaś moimi łzami, i jestem Ci za to bardzo wdzięczny. Nie tylko uformowałaś całość w paragrafy, poprawiłaś pisownię i przywróciłaś sens tam, gdzie ja wszystko poplątałem, ale też wyedytowałaś sobie na zawsze drogę do mojego serca.

Wszystkie ekipy producenckie, z jakimi kiedykolwiek pracowałem... Dziękuję Wam za Waszą wiedzę, oddanie, lojalność i pomoc. Bez Was nie miałbym okazji zdobyć doświadczenia, dzięki któremu moje życie jest tak interesujące i spełnione. Dziękuję Wam.

Moi widzowie... Wasze stałe wsparcie i wierność nie tylko dodawały mi sił, żeby dać radę, kiedy już mi się wydawało, że nie podołam, ale też odegrały główną rolę w podtrzymaniu na duchu samotnego, grubego, zastraszonego chłopca z Leicesteru. Gdybyście nie włączali telewizorów, nie oglądali mojego programu i gdybyście we mnie nie wierzyli, to kto wie, gdzie byłbym dzisiaj.

Bardzo Was wszystkich kocham,
Kowkhyn/Mały/Gok/Ciocia Gok